

KLEJNOTY

POEZYI POLSKIEJ,

WYBRANE Z DZIEŁ

NAJZNAKOMITSZYCH DAWNYCH I NOWOCZESNYCH POETÓW

przez

A. F. W.

WARSZAWA

Nakładem Józefa Kaufmana

1882.



Дозволено Цензурою.

Варшава, 2 (14) Февраля 1882 года

INSTYTUT PRAE
LITERARI

701 26-10 500 20-10 31 9 42

Drukiem Bronisława Kopczyńskiego—Miodowa 3.

WESTCNIENIE

za rodzinną chatką.

Darmo błędzę oczyma,
Mokrą mrugam powieką,
Mojej wioski tu niema,
Ach daleko! daleko!

Zkąd te chmury tu płyną,
I zkąd wietrzyk ten wieje?
Tam nad piękną krainą,
Piękniej słońce jaśnieje.

Jak minione dni moje
Kwitnie niwa tam cicha,
Czystsze niebo i zdroje,
Wonniej kwiatek oddycha.

Po za dworem na prawo
Jest gaj piękny i dziki,
Tam zdrój bieży murawą,
W drobne dźwięczy kamyki.

Wyżej góra na lewo,
I krzyż na niej złamany,
A za krzyżem tuż drzewo,
A na drzewie bociany.

Jakże ziemia ta wszystka
Jak w zwierciadle odbita,
Od księżyca do listka,
W mej pamięci rozświta.

Widzę tamże też łany,
Jak i wonią i kwitną;
Jak poranek rumiany,
Płoni wodę błękitną.

I znów żyję jak młody,
Gdym co wieczór, co ranki,
Patrzył w niebo, na wody,
I na oczy kochanki.

Tam gdzie oto umila
Strumień ciszę gaika,
Częstom ganiał motyla,
Podśluchiwał słowika.

Lub namiętny, dłoń w dłoni,
Okiem w oku Zoryny,
Na westchnieniach, w ustroni,
Hojniem ronił godziny.

Ogień ust jej w jej twarzy,
I na jawie, i we śnie,
Dotąd jeszcze się żarzy:
Tli gdzieś w sercu boleśnie.

A z tem czuciem tak miłem
Jak skowronek radosny,
Prześpiewałem, prześniłem
Dnie pogodne mej wiosny.

Gdzież ta przeszłość, swawole,
Ta dziewicza natura?
Zkąd te marszczki na czole,
Ta twarz dzika, ponura?

Bo czas rozdarł zasłonę,
Rozwał mary omamień,
I me serce strapione
Ciśnie boleść jak kamień.

Wszystko nie to co było...
Czemuż czas mi nie spłoszył,
Gdy się nie śni co miło —
Smutnej wspomnień rokoszy?

Jak od zmierzchu aż do dnia,
Smutne światło księżycy,
Smutna wspomnień pochodnia
Wiecznie noc mą oświeca.

B. Zaleski.

Ż A L E.

Już to ubiegło gdzieś lat tysiąc blisko,
A jeszcze świadczy pogańskie Żalisko
Owym to dziejom z tamtej strony krzyża,
I z trwogą serce do „Żalów” się zbliża:
Bo i tu pono świat serdecznie bolał,
I bardzo kochał — to, co łzami polał....

Na wierzchu ziemi ileż tutaj wrzawy?
A tam pod ziemią jakaż cisza głucha?
Bo cała praca żywota i ducha
Składa spokojnie wszystkie swoje sprawy,
Po wielkiej wrzawie, w małą popielnicę,
I stawia przy niej na straży łzawicę...

A przecież w małej popielnicy leży
Wszystko zebrane na króciutkiej wici,
Czem człowiek stoi, co kocha, w co wierzy,
I czem się jeszcze u potomnych szczyci:
Bo popiół zacnych, i krew sere ognistych,
I zbroje dzielnych, i ofiary czystych...

I stare „Żalc“—o to księga stara!
A choć nie bardzo czytelna ta księga,
Lecz że człek tutaj przez łzawicę sięga
Po przeszłe dzieje, więc wszystkiemu wiara,
Co popielnica od wieków tu chowa,
I wszystko świadczy — prócz ducha i słowa.

W. Pol.

Rozmowa ze Słowikiem.

Powiedz słowiczku, powiedz mój mały,
Błagam na wszystko w świecie —
O czem ty śpiewasz przez wieczór cały,
W naszym ogródku w lecie?

Czy opowiadasz swoje przygody
W miłym rozgłośnym śpiewie,
Jakieś przeleciał wonne ogrody,
Na jakim spoczął drzewie?

Czy jak się kryjesz w liście zielone,
Gdy skwarne słońce pali?
Jak rankiem strząsasz piórka zroszone
W cichéj powietrza fali?

Czy o gwiazdeczce maleńkiej, drżącej,
Na lazurówym niebie?
Czy o tej wodzie zwolna ciekącej —
Powiedz mi, proszę ciebie?

— O! ja ci powiem, śliczna pastuszko:
Śpiewam piosenkę twoją,
Kiedy ci za czemś tęskni serduszko,
I oczy we łzach stoją:

Kiedy zanika twój uśmiech słodki,
I patrzysz smętna, blada,
A z rąk ci lecą bratki, stokrotki,
Kwiatek po kwiatku spada.

T. Lenartowicz.

GRABARZ.

(GAWĘDA.)

W kościele trumna — słychać organy,
I śpiew szpitalnych nędzarzy;
A przy kościele grabarz w pół-pijany
Wsparł się na rydlu, i gwarzy:

„Pocziwy rydel!... służy mi godnie,
Kopie tu zwirek i kopie;
Raz... dwa... trzy... cztery... przez dwa tygodnie
Dwie jamy pańskie, dwie chłopie.

„I teraz umarł ktoś od waszeci,
Tak mu sądzono — i basta!
Zostawił żonę, zostawił dzieci,
Oj biedna... biedna niewiasta!...

„Co tam niewiasta! póki odwyknie,
 Płacze, i mówi pacierze,
 Potem... filozof!... jak człowiek łyknie,
 To zdrowiej te rzeczy bierze.

„Naprzykład... ktoś tam schodzi ze świata—
 Grabarz mu jamę otworzy;
 Mniej jednym człkiem zdaje się strata,
 A może zresztą niezgorzej?!

„Człowiek stworzenie boskie, rozumne,
 Już go nie pogrześć jak bydło;
 Szpital za dzwony, stolarz za trumnę,
 Za lampy, świece, kadzidło.

„Ksiądz za msze święte, psalmy pokutne,
 Grabarz, że kopiąc się trudzi, —
 Każdy grosz weźmie,... śmierć—prawo smutne,
 A z niej pożytek dla ludzi!

„Jeden coś traci... to drugi zyska;
 Bo wszyscy — bożą drużyna,
 A tam pod ziemią... trupie kościska
 Gniją—zwyczajnie jak glina.

„Na trupie dziecka wąż się obwije,
 Mędrcom — szczur wlezie do ucha,
 I gniazdo złoży, i mózg mu wyje;
 W piersiach dziewicy — ropucha.

„E! łyzy się kręca... lecz nie ma rady,
 Nie tylko człeka, co z duszą,
 Lecz Pan Bóg stworzył płazy i gady.
 I oneż przecie jeść muszą.

„A potem z trupa korzysta bliźni,
 Bo zgnije trumna i koście,
 A od zgnilizny grunt się użyźni,
 I bujniej trawa poroście.

„Czyż tylko trawa? — na złego grobie
 Rosną pokrzywy i chwasty,
 A dobry człowiek wyda po sobie
 Jagódkę, kwiatek krzewiasty.

„Lub piękne drzewko wyskoczy hożo, —
 Więc idzie korzyść koleją,
 Czasem tak bywa... smętarz zaorzą
 A na nim żyto posieją.

„I kupa kłosów urosnie z ziarka,
 Och! jak to słodko i ładnie!
 Na piersiach ojca, córka żniwiarka
 Mendel zbożowy nakładnie.

„To cóż, że cielsko zjedzą robaki?
 Kiedy grób chleba przymnaża! —
 Boże mój, Boże! gdyby zgon taki
 Naprzykład... dla mnie nędzarza!

„Na chwałę Twoją niech idzie Panie!
 Com ja wycierpiał za młodu,
 Teraz na starość w zdartej sukmanie,
 Ginę od głodu i chłodu.

„Wczora tak słodko, tak miłosiernie,
 Cieszył mię Pleban Dobrodziej:
 Że za łzy moje, za moje ciernie
 Pan Bóg mię niebem nagrodi.

„Chcesz mię nagrodzić Ojczy światłości?
 Będę zapłacon obfito:
 Niech z moich kości, dla potomności,
 Wyrośnie kwiatek lub żyto.”

W. Syrokomla.

ŚPIEWAK TĘSKNIĄCY.

(DUMKA.)

Nigdyż serce stęsknione
Mar minionych nie prześni?
Wiecznież w jedną gdzieś stronę
Zaczaruje me pieśni?

Jak świat długi, szeroki,
Z lutnią moją podróżną,
Zmieniam miejsca widoki,
Ale zmieniam napróżno.

Przez miejsc tyle, chwil tyle...
Każdy dla mnie zakątek,
Wszystkie, wszystkie tu chwile
Są bez wrażeń, pamiątek.

I to serce, o dziwo!
Jak czujące dziś mało:
Indziej było tak żywo,
Tak płomiennie kochało.

Ach! przed mokrą powieką,
Darmo dzień mi tu płonie!
Wzrok, jak pieśni... daleko,
Wiecznie w jednej tkwi stronie.

Ku niej tęsknię z wieczora,
Z jutrznią tęsknię i płaczę...
Bom pożegnał nie wczora,
I nie jutro obaczę!...

B. Zaleski.

DO WISZY.

Śpiewał Klonowicz niegdyś twoje wdzięki,
Kiedy na twoich falach się kołysał,
I mówił kręśląc o „Flisie“ piosenki:
„By to być mogło, radbym złotem pisał
„Twoje pożytki, porty a i wstręty.“
A ile razy patrzę na tve wody,
I na te stare po twych brzegach grody,
A po przylądkach widzę krzyż zatknięty,
Stają przed duszą starzy gospodarze,
Wielej dziedzice twojego porzecza...
I z Klonowiczem „o tym Flisie“ marzę,
I o oraczach od krzyża i miecza.
Miło spoglądać Wisło na tve nurty,
Na te ładowne złotym darem burty...
Lecz jam cię poznał, gdzieś u źródła trysła,
Gdzie cię „Wiselką“ góral zwie w miłości;
Toś też mi miłą niby: dziecię Wisła,—
Bom ja ukochał, co kochają prości,

I tak rozumiem, gdy na ciebie patrzę,
Ze to i dobrze i znamy się dawno.
I lica twoje—dużo dla mnie gładsze,
Bo znam cię dzieckiem i niewiastą sławną.

Gdym u kolebki tego dziecka marzył,
Orzeł tatrzański nad głową się ważył,
I rzekł mi góral: W naszej tutaj stronie
Zwą ją „Wiselką“ bo wesola, młoda,
I jest „Wiselką“ nim minie Ustronie;
Tak ją nazwano tu w górach i rano,
A co tam dalej jej na wiano dano,
To pono lepiej Wy panoczku wiecie
Co tam szeroko chodzicie po świecie.

W. Pol.

PANNA MŁODA.

Owoż insza dzisiaj wcale!
W licach grają niby żale,
Słowo księdza u ołtarza,
Ciągłe w uszach się powtarza:
„Mnóście się ku Bożej chwale;
Wierność — miłość — i na wieki!“
Mokre łzami jej powieki;
Widzi nowe obowiązki,
Świat nieznany i rozległy,
Śni o latkach co ubiegły,
Jeszcze pachnie kwiat z gałązki,
Ale oto wnet obleci!
Pełna czarów jego krasa,
Sama w sobie już przygasa:
Śnią się — dom i mąż i dzieci!
Dziwy! dziwy! i dziewczyna,
Co się dzieje — przypomina.

Lube družki na około,
 Gwarzą—mizdzą się wesoło,
 Tulą się na siostry łonie;
 Rówiennice — co na kwieciech,
 Z nią w porannych, miłszych leciech,
 Przepląsały w dłoniach dłonie.
 Czemuś ku nim dziś nieczuła?
 W bladym czole już powaga:
 Myśl—jak w całun się osuła,
 Rzeczywistość oto naga;
 Niepokoje, smutek wzmaga.
 Raj miłości wnet się prześni;
 Bądź jej zdrowa luba maro!
 Dźwięk ostatni oto pieśni,
 Co czarował wiosną jarą;
 Dziwy! dziwy! i dziewczyna,
 Co się dzieje — przypomina.
 Pierzcha od niej wlot družyna
 Oto krewni i rodzice
 Zapłakane głaszczą lice,
 Błogosławią jej do drogi:
 Już po cierniach gdzieś żywota!
 Skarb to święty — wiecznie błogi,
 Działkom jej puścizna złota.
 Serce się jak na gwałt miota,

Dziwna nowość w każdym słowie!
 Co tak wiele, słodko, miło
 Śnić się miało: już prześniło!
 Przyszłość, straszna jak pustkowie,
 Spłasza lubę sny omamień,
 Na miniony wiek zawala
 Nagrobkowy niby kamień.
 Rzeczywistość jeno zdala!
 Dziwy! dziwy! i dziewczyna,
 Co się dzieje — przypomina.

Po modlitwie — coś weselsza,
 Wstaje oto sromem drżąca;
 Płomienisty słup miesiąca
 Oknem wpada. Żywsza — bielsza,
 Jak w kąpieli myśl się zmaca:
 Przewroczone wskroś z pod rąbka,
 Muska ciało, szyję, włosy,
 Niby z piórek swych gołąbka
 Strząsa krople srebrnej rosy;
 I świecąca, śliczna, hoża,
 W lot podnosi się do łoża.
 Blask miesięczny, zwierciadlany,
 Opromienia jaśniej ściany;

Ptaszek, w gniazdku oto marzy!
Cóż po szerszej dziś pościeli,
Czemuś wzrokiem żywiej strzeli!
Płomyk jakiś mignie w twarzy!
Buchaż mocniej woń od wieńca?
Słyszy kroki oblubieńca,
Dziwy! dziwy! i dziewczyna
Co się dzieje — przypomina.

B. Zaleski.

ZŁOTY KUBEK.

W szczyrem polu, na ustroni,
Złote jabłka na jabłoni,
Złote liście pód jabłkami,
Złota kora pod liśćiami.
Aniołowie przylecieli
W porankową cichą porę:
Złote jabłka otrząsnęli,
Złote liście, złotą korę.

Nikt nie wiedział w całym świecie,
Ludzkie oczy nie widziały,
Tylko jedno małe dziecię,
Małe dziecię z chatki małej.
Pan Bóg łaskaw na sierotę:
Przyleciała z nad strumyka,
Pozbierała jabłka złote,
Zawołała na złotnika:

„Złotniczeńku zrób mi kubek,
 Tylko proszę, zrób mi ładnie,
 Zamiast uszka ptasi dzióbek,
 Moją matkę zrób mi na dnie,
 A po brzegach na około
 Liść przeróżny niech się świeci,
 A po bokach małe sioło,
 A na spodku małe dzieci.“

— „Ja ci zrobię złoty kubek
 I uleję wszystko ładnie:
 Zamiast uszka ptasi dzióbek,
 Twoją matkę zrobię na dnie,
 A po brzegach na około
 Liść przeróżny się zaświeci,
 A po bokach małe sioło,
 A pod spodem małe dzieci,
 Ależ czyjeż ręce, czyje,
 Będą godne tej roboty?
 Ale któż się nim napije,
 Komu damy kubek złoty?
 Kto się w dłonie wzięść ośmieli,
 W złotem denku przejrzyć lice?“
 — „Sam pan Jezus i anieli,

I Maryja i dziewice.
Złotniczeńku patrz weselej,
Czemu twoje w łzach źrenice? —
Sam pan Jezus i anieli
I Maryja i dziewice.“

T. Lenartowicz.

GAWĘDA O BOCIANIE.

I.

Wiatr chłodno westchnął, i mgłami kręci,
Zima już blisko, ej blisko!
Bocian poważny stróż sianożęci,
Rozpuszcza skrzydła, tumany męci,
I zwolna płynie na rżysko —
Siadł, zaklekotał, zwiesił dziób duży,
I zamknął poważnie oko.
Snadź syn litewski marzy głęboko
O swęj zamorskiej podróży.

II.

„Miłoś to lecieć w Auzońską stronę,
„Miłoś coś widzieć i wiedzieć,
„A rozważając trudy minione,
„Płądrować Nilu brzegi zielone,
Na piramidzie posiedzieć.

„Lecz ach! wiadomo jednemu Bogu,
 „Czy ujdę śmierci lub klęski?
 „Czy wrócę jeszcze w kraj Nadniemieński,
 „Siądęż na kupie murogu?

III.

„O błonie Litwy! cudneż to błonie!
 „Tu wszystko szczęściem rozmarzy,
 „Słonko ciepłuchne, sianożęć wionie,
 „Dziatwa klekocze a tam na stronie
 „Słysząc brząkanie kosarzy.
 „Słodkoż tu było — Bóg wie co dalej,
 „Czy wracać będzie już po co?
 „Może dąb z gniazdem zamieć obali.
 „Lub kry wiosenne zgruchocą?!

IV.

„Lepiejby swemi czuwać oczyma,
 „W miejscu gdzie szczęścia tak wiele,
 „Lecz piersi czują, że idzie zima,
 „Na żółtej łące już żeru niema,
 „Za chwilę śnieg ją zaściele!“
 I ptak — opiekun błoni ojczystej,
 Wyprężył dziób swój czerwony,
 Podbiegł, rozwinął lot zamaszysty
 Uleciał w Auzońskie strony.

W. Syrokomla.



TEŚKNOTA.

I.

Błądziłem duszą jak świat szeroki,
I wszędym duszy wiódł brzemie,
Teśknota za mną szła na obłoki,
Teśkniejszym wracał na ziemię.

Do listka róży, do gwiazd szkarłatu,
Tuliłem serce i oczy —
Czy może w serce, z gwiazdy lub kwiatu,
Kropla się szczęścia nie stoczy.

Ludzie — znam ludzi: to brzeg ze skały,
Żagiel połamie, łódź skruszy;
Mniej boli w morskie rzucić się wały,
Niż trącić o brzeg ich duszy.

Była i wiosna z nią wietrzyk lotny
 Całował puchy bławatów,
 Ale dla duszy tęsknej, samotnej,
 Nie ma ni wiosny ni kwiatów!

Budziłem echa całej przyrody,
 Chcąc czemś zapełnić pierś moją;
 Pytałem: gdzie źródł, którego wody
 Pragnienie duszy napoją.

A gdy wieczorne nastały mroki,
 Myśl, wdziawszy szatę żałoby,
 Sama milczące wiodła mi kroki
 Kędy zwaliska i groby...

II.

...Byłto czas wiosny! Dziś — na inną nutę
 Brzmi echo życia: — dziś słoneczną spicką
 Myśl wypalona, i serce wyczute,
 Obojętności oblały się rzeką.
 Tęsknić za szczęściem, które duszą miota,
 Życ w omamienia zawonionój sferze,
 Jestto z nadzieją w wieczne wejść przymierze:
 A żyć z nadzieją — choć w sercu tęsknota,
 Już być szczęśliwym. Lecz—gdy łódź żywota

O taką falę przeczaczeń uderzy,
 Że sercu tylko zostaje z rozbicia
 Rozczarowanie ze wszystkich mar życia,
 A w miejscu uczuć, co ciskają groty,
 I wrzących myśli, co budzą natchnienia,
 Czuć w martwej piersi jad gorzkiej tęsknoty,
 I okropniejszą ciszę otrętwienia.
 O! stokroć sroższy ból to do znieśienia,
 Niż wszystkie bóle.— Jest szczęście u ludzi,
 Jedno, najwyższe: ono tylko w stanie
 Nakarmić duszę prawdą, co nie ludzi.
 Tem szczęściem miłość: resztę rachub świata
 Nie warte prochu, którym wiatr pomiata.
 Ale to szczęście, ten zenit użycia,
 Świat tak zatrutym oddechem owionął,
 Że kto miłości łódź powierzył życia,
 Na morzu świata w fali łez utonął!
 Bo świat — to zmija! której jad zatrucia
 Na sam najczystszy pała kwiat uczucia,
 I póty łono jego toczy zdradnie,
 Aż kwiat z nadziei liścia nie opadnie,
 Aż obnażony, z sercem rozkrwawionem
 Obojętności nie zakończy skonem!

Cieszkowski.

CICHO A CICHO.

To stara cerkiew!—może rówiennica
Peczerskiej Ławry, bo dziwnie zakonna,
I w koło mury potężnie obronna.
Na stariej baszcie zawisła dzwonnica,
Na pięknym wzgórzu najczyła krzyże...
Poważna rzeka stopy góry liże,
Stare ją dęby obsiadły do koła,
A srebrny dzwonek na modlitwę woła...

Od wieków widzę rozwarta tu brama,
Jakby czekała dobrych wieści pośła...
Kula kamienna na wpół w ziemię wrosła
Straż tutaj trzyma, jeszcze tylko sama.
W starych strzelnicach kwitną polne róże,
A na wyłomie leżą działa duże...

Jedno znać pękło z ostatniego strzału,
 A w drugim zabił ktoś gwóźdź do zapału...
 I w jednym usłał, na samym wylocie,
 Ptaszek swe gniazdo—w drugim mrówek krocie...

Już na smętarzu sterczą dwie mogiły
 Tuż za wyłomem—więc wiem kogo skryły,
 Kiedy piołunem tak porosły sobie—
 Nie darmoć piołun to rośnie na grobie:
 Piołun—to hasło gorzkiego żywota,
 Piołun na febrę zachwala prostota,
 A tutaj rośnie — choć tylko dąb stary,
 Pamięta jeszcze rzezie i Tatary....

Na kropielnicę do wody święconej,
 Widzę, tu stary moździerz obrócony...
 A co zniszczenie i zagładę niosło,
 To panu Bogu na pocziwe wzrosło:
 Po nad moździerzem wisi na uboczy,
 Obraz Maryi złocisty, uroczy,
 I w tym ikonie widać sądy Boże,
 Bo u stóp Maryi zawieszzone noże.

Z rzezi tatarskiej—razem z temi kwiaty,
 Co je lud znosi Pani na objaty...

A i zwycięskie i to zwyciężone,
 Może się uciec tutaj pod obronę —
 Choć z różną prośbą — razem czy nie razem,
 Bo nie przepuści Bóg nikomu płazem.

Cicho a cicho — i głucho a głucho...
 Brzęk tylko pszczoły uderza o ucho.
 Legli hetmani, legli wojownicy...
 I krew zakrzepła; szczeźli najezdźnicy...
 I pozostała po nich tylko wzmianka,
 Ale Najświętsza korony hetmanka,
 Jak hetmaniła tak światu hetmani,
 I bierze kwiaty i modlitwy w dani.

Pan Bóg na pokój zamienił tu wojnę...
 I wszystko ciche i wszystko spokojne...
 Mrowie i piołun każdy rok rozmnaża —
 I wielka cisza starego smętarza.

W. Pol.

WIECZNIE TO SAMO.

Zniknęły już śniegi, spłynęły już lody,
I rzeka porusza się gładko;
Jaskółki szczebiocząc wybiegły z pod wody, —
Całe ich unosi się stadko.
Kręcą się, wiją się, to niżej, to wyżej,
Nad czystą jak kryształ rzeczulką;
A coraz to szybciej, a coraz to chyżej,
A w kółko, a w kółko, a w kółko.
Na brzegu zielonym, na bujnej na trawce
Pasą się dwie krówki, baranek,
A pastuch przygrywa na długiej ligawce,
I słońko przygrzewa w poranek.
Przelotny wiaterek to trawką zawichrzy,
To w trzcinę, w tatarak się wkradnie,
Zakłóci, zamąci, i cichszy, i cichszy,
W zielonym gajku przepadnie.

Ligawka przycichnie — to dzwonek z kościołka,
 Na ranne modlitwy zadzwoni;
 A dzwonek zamilknie to złota mi pszczołka,
 Zabrzączy na kwietnej, na błoni;
 A pszczołka przysiedzie na świeży sasanek,
 O! Boże mój drogi — w wiosenny poranek.
 Jak wszystko i świeższe i letsze.

Ja siedzę pod lipą odwieczną, schyloną,
 Co ledwie że w pączki rozpuka:
 I słucham jak w lesie, pod sosny koroną,
 Kukułka wciąż kuka i kuka.
 Kukułko! kukułko! a dużo tam jeszcze,
 A dużo naliczysz mi latek?
 O ptaszę ty moje! o ptaszę ty wieszce,
 I kiedyż tam będzie ostatek?...
 Już dziesięć, dwanaście i jeszcze wciąż dzwoni.
 Zawiele moja ty ptaszyno. —
Nie bój się, niewiele — w ojczystej ustroni
 Twe lata jak woda przepłyną.....

II.

Bławatki, kąkole, zbielały od słońca,
 Gdzie niegdzie się tylko niebieszcza;
 A polne koniki w zbożu bez końca
 Zwyczajną piosenkę szeleszcza.

Małeńka przepiórka już woła z pod prosa:
 Pójdźcie żać! pójdźcie żać! co żywiej!
 Bo jeżeli w pogodę nie puści się kosa,
 To potem się słota sprzeciwi.
 Bóg zapłać przepiórko! — twój głosik kochany
 Wesoło przypada mi w ucho;
 Pójdź koso z komory, pójdź sierp ze ściany,
 Bo w chacie wieśniaka już krucho.
 Pocieszcie się dzieci, chleb będzie, chleb nowy,
 Nasz chlebek kochany, dar boży;
 Matuchna upiecze, i na stół dębowy
 Jak słońce bochenek położy.
 Wychodzim na kośbę wesołą gromadką,
 Chłopaki, dziewczęta jak róże;
 O! chwałaż ci Boże za nowe za latko —
 Hej! chłopcy, dziewczęta, a nuże!
 Brzęk brzęku, brzęk brzęku pospiesznie a chyłkiem,
 Śmiech słyhać, spłoszyli zająca.
 I oto się bielą nad rannym posiłkiem,
 Pod gruszą co chroni od słońca.
 A niebo tak równe jakby je wygładził,
 A słońce tak jasne choć małe;
 A w łąkach tak kwiecica jak gdyby nasadził,
 Czerwone, niebieskie i białe.

III.

Jabłonka i grusza podpórek aż proszą,
 Tak na nich i jabłek i gruszek;
 Podpórki dziewczęta z podwórka przynoszą,
 Gdzie struże dziadulo staruszek.
 Gdy spojrzę na dziadka jak z niemi się bawi,
 Jak zawsze szczęśliwy jednako,
 To cichą modlitwą żrenica się łzawi,
 O! Boże daj starość mi taką.

IV.

Na polu omglonem jak oko zasięga,
 Skończone ostatnie roboty;
 I cisza w około, a gąsior gdzieś gęga,
 I ziemia już tylko a płoty;
 Po drodze to wózek podróżny zadudni,
 To bydle się przemknie u rowu;
 To żóraw wysoki zaskrzypi u studni,
 I spokój rozsiada się znowu.
 Brat w małym ogródku motyką wciąż kopie,
 Dziadulo jak struże tak struże,
 Dwie siostry przed chatą trą białe konopie,
 A klekot odbija podwórze.

I jakos nam błogo choć chmurno na dworze,
 Nam woda do chaty nie leci.
 Człek żyje jak może, i robi jak może,
 Dla ojca, dla żony, dla dzieci.

V.

Mnie wszystko tak cieszy, co swojskie, co nasze,
 I ludzie mi drodzy i mili;
 I nie wiem co miłsze nad wiejskie poddasze?
 Nad ptaka co w krzakach wciąż kwili?
 Nad żonę co w białej len przędzie świetlicy?
 Nad ziemię co zboże mi rodzi?
 Nad gwiazdkę co w czystej kapie się krynicy?
 Nad miesiąc co z lasu wychodzi?
 I nie wiem co miłsze nad ludzkie wejrzenie?
 Co czystsze nad wodę przeczystą?
 Co lepsze nad dobre u ludzi wspomnienie?
 Co droższe nad ziemię ojczystą?
 I nie wiem co szybsze nad myśl niezgonioną?
 Nad serce poczciwe gorętsze?
 Co bardziej smutniejsze nad młodość straconą?
 Nad pracę i miłość co świętsze?
 Co prędzej nad wiarę łzy z oczu osusza?
 Co więcej nad radość upaja?

Są różni na świecie, są tacy i tacy,
 Są dobrzy, niedobrzy — któż nie wie ?
 Ja o tem nie myślę; co zbywa od pracy,
 To spędzam przy dzieciach, przy śpiewie,
 To z ojcem, to z dziadkiem, to z dziećmi się bawię;
 To niby na niczem, tak oto
 Jak teraz gdy stojąc przy zżętej otawie, *)
 Patrzę się na zorzę, na złotą...

T. Lenartowicz.

*) Otawa—potraw.

DO KONIKA POLNEGO.

Zkądże to wiejski śpiewaku,
Pod mem oknem twoje głosy?
Jakież cię miły żebraku,
Aż tu, zapędziły losy?

Wysieczono twoje łany,
Gdzieś swobodnie pieśni nucił,
Aż do miasta zabłąkany,
Jakżeś mię bardzo zasmucił!

Nie tobie śpiewaku polny!
Miejskie przystało schronienie;
Ciche gaje, umysł wolny,
Natchnie tylko lube picie.

I mnie dzisiaj miasto więzi,
Com lubił wiejskie zacisze;—
Zawieszoną na gałęzi,
Wiatr moję fletnię kołysze.

Więc gościnę w równym stanie,
Przyjm żebraku w oknie mojem, —
Z kwiatów ci zrobię posłanie,
Czystym uroszę je zdrojem.

Siądziesz czasem na mej lutni;
Tu samotni w wolnej chwili,
Oba tęskni, oba smutni,
Po wiejsku będziemy nucili.

K. Brodziński.

DUMANIE.

Narzekasz na twe cierpienia,
Przeklinasz losy człowieka,
Jak gdyby chwila ulżenia
Tak była od nas daleka.

Dzień tego życia tak krótki,
I twoje słońce już nisko;
Na cóż więc żale i smutki,
Kiedy do kresu tak blisko.

Po cóż w ranne lat twych zorze
Żałościem wracać spojrzeniem,
I burzliwe życia morze,
Smutnem przebiegać wspomnieniem?

Po cóż nowemi trucizny
Powiększać mękę tak srogą,
I jeszcze liczyć te blizny,
Co się już zgoić nie mogą.

Wartaż tej czarnej rozwagi
 Boleść co z nami zaginie?
 Chwila już tylko odwagi,
 A wszystko wicznie przemienie.

Ale próżno moim głosem
 Twojego męstwa przyzywam:
 Próżno się godzę z twym losem,
 I od tej ziemi odrywam.

Ciebież to swoim urokiem
 Świat ten pociąga i ludzi?
 Czegóż to jeszcze twem okiem
 Zdajesz się szukać wśród ludzi?

Tu gdzie zdradnemi uśmiechy
 Srogie nas zwodzą nadzieje,
 Tu gdzie nawet świat pociechy
 Zaledwie wzrośnie—wiednieje!

Tu gdzie całą świata siłą
 Jednej chwili nie ustalem,
 I co z rana szczęściem było,
 To już z wieczora jest żalem.

Wszystko tu z czasem ustawa,
 Wszystko przemija niestety;
 Najgłośniejsza nawet sława,
 Dojdzie kiedyś do swej mety.

Tembardziej ciche twe jęki,
 Które skryty żal wywodzi,
 Zginą jak znikome dźwięki;
 Nie ta je ziemia nagrodzi.

Czas, co cię wywiódł z powicia,
 Znów cię zwróci do nicości,
 I tę mętną kroplę życia,
 Zatopi w morzu wieczności.

Wszystko w krótkiej zniszczy dobie,
 Wszystko, czy przykre czy miłe;
 Zgasi płonny żal po tobie
 I z ziemią zrówna mogiłę.

I nikt z ludzi nie przybędzie
 Łzami cię uczyć swojemi,
 Ani nawet wiedzieć będzie
 Czyś kiedy cierpiał na ziemi.

Zginiesz wiecznie zapomniany;
 Tak istność twoja przeminie,
 Jak ten obłok niewidziany,
 Co w czarnej nocy przepłynie.

Zegnaj więc—żegnaj niezwrotnie,
 Wszystko coś kochał i cenił,
 Coś oplakał tylokrotnie,
 Coś szczęściem twojem być mienił.

Uciekło widmo znikome,
Żadna łąza go nie odwoła:
Poszło w strony nieznajome,
I nic go zwrócić nie zdoła.

Już nie prześle sercu twemu,
Żadnej pociechy, nadzieje,
Już i żaden wiatr ku niemu
Głosu twego nie zawieje.

Lećcie, lećcie dnie daremne
Bez celu, troski, życzenia;
Lećcie dnie puste i ciemne,
Uciekajcie bez wspomnienia.

Lećcie jak ten liść opadły,
Co jeszcze z wiatrem ulata;
Rzuca nim wichher zajadły,
Lecz już umarłym pomiata.

Fr. Morawski.

Ż Y C I E S E N .

Oj! dziecino kochana!
Jak różyczka różana,
Oj! dziecino śpij sobie,
Matka czuwa przy tobie.
Jeżeli mucha z doliny
Do twój zbliży się skroni,
To ją liśćmi kaliny
Dobra matka odgoni.
Jeżeli słońca na niebie
Błyśnie jasność rażąca
To ja stanę od słońca,
I cień rzucę na ciebie.
Moja droga pociecha,
Jak się przez sen uśmiecha,
Jak pod drobną powieką
Czarne oczka drżą lekko!

Co też ciebie obudzi
 Czy głos ptaków, czy ludzi?
 Oj! daleko z za sioła,
 Zaśpiewała ptaszyna;
 Po gościńcu wesoła
 Zaśmiała się dziewczyna.
 Lecz śpiew ptaka z gajku,
 Ni śmiech słodkiej roskoszy
 Nie zbudzi cię chłopczyku,
 Snu błogiego nie spłoszy.
 Pot okropła mu skronie
 Żywy szkarłat jagody,
 Poruszają się dłonie,
 Piersi pragną swobody.

Oj! z cienistej dąbrowy,
 Rozlegają się strzały;
 Czemuś taki surowy?
 Czemu drgnąłeś mój mały?

W cichym wiejskim kościółku
 Grają wdzięcznie organy, —
 Czy je słyszysz aniołku
 Rozjaśniony, rumiąny?

Kędy lipa zielona,
 Dwóch przyjaciół coś gwarzy,
 I ty wznosisz ramiona,
 Z jakimś szczęściem na twarzy.

Na ugorze człek orze,
 Słychać długie wołania...
 Drogi Boże! mój Boże!
 I mój przez sen pogania:

Czy te śmiechy dziewczyny
 Strzały, wiejskie [?]organy,
 Śpiewy, głosy z doliny,
 Gwar przyjaciół zmieszany,
 Czy chłopczyno mój miły,
 Na sen ci się złożyły?
 Na sen długi, czarowny,
 Na sen życia cudowny?
 Miłość, śpiewy i boje,
 Przyjaźń szczerzej prostoty,
 Lube dziecię ty moje.
 Och! to cudny sen złoty!
 Chmury ciągną z za dworu,
 Bańki widać na wodzie,
 Stary owczarz przy trzodzie
 Idzie żwawo od boru.

Błyskawice oblały
 Ciemne kąty wieśniacze,
 I obudził się mały,
 Lecz spokojny, nie płacze.
 Tylko oczka przeciera,
 Co znieść światła nie mogą;
 Tylko nóżką przebiera,
 Jakby swoją szedł drogą.

Pójdiesz! pójdiesz zbudzony,
 Kiedy życie—sen minie,
 Łaską bożą olśniony,
 Ku wieczności krainie.
 Pójdiesz! pójdiesz mój drogi,
 I nie będziesz się smucił,
 Że ci zniknął sen błogi,
 Żeś z kąd wyszedł, powrócił.
 Nie uzaliesz się w górze,
 Na ubóstwo, niedole,
 Z wieczną ciszą na czole,
 Znikniesz w jasnym lazurze.

T. Lenartowicz.

J A G O D A.

Po brzozowym cichym lesie
Dziewcze idzie, dzbanek niesie,
Niesie dzbanek z jagodami,
Z jagodami borówkami.
A dla Boga, co się dzieje,
Kto się śmieje? las się śmieje—
Kłaniają się przed nią drzewa,
Ona śpiewa i las śpiewa.
Więc przystanie, dech zatrzyma,
Patrzy w koło i nie niéma.

Dzięcioł co ma dziobek spory,
Przysiadłże się też do kory,
A wiwilga coraz świeżnie—
Gęstwa, ledwie się przecięnie.

Z pod jałowcu zając skoczy,
Z otwartemi śpiący oczy.
Mój zając nie bójże się,
Ja borówki zbieram w lesie.
A toż ja ci nie przeszkodzę,
Że ze dzbankiem sobie chodzę.
Gdybyś był nie uciekł w chrusty,
Dałabym ci liść kapusty,
Jak królikom, kiedy z jamki
Wyjdą z rana stare samki,
A za nimi ich przychówek,
Powymyka się z kryjówek.
Stara matka uchem strząśnie,
Przybliży się, liścia kąśnie,
I powoli się oswoją,
Że i burka się nie boją.

Już powiadam że uciecha.
Oj frunęło coś z orzecha,
Z czubka drzewa co się chwieje,
Choć najmniejszy wiatr nie wieje.

Cóś zalata, cóści słyhać,
Że aż chce się piersiom dychać,

Nocą spadły świeże deszcze,
 Bo się krople świecą jeszcze,
 A na wrzosie, co mnie moczy,
 Jak perłki stoją oczy.

Jagódeczko!—pójdź do dzbana
 Moja, moja, dana, dana!

(śpiewa)

Miała matka dwie sieroty:
 Chłopiec starszy siedmiolatek,
 Jak aniołek jaki złoty,
 Co otwiera drzwi do chatek.

W koszulinie zawsze bosy,
 Przepasany wąską krajką;
 Opalony, białe włosy,
 Bóg wie gdzieby szedł za bajką.

A dziewczyna jakby fryga
 Nigdzie miejsca nie zagrzała,
 O! śpiewała, o! biegała,
 Tylko że się w oczach miga.

Dobrze tym co mają matkę:
 Miłe życie, czas wesoły—
 Lecz gdy zajdzie wóz przed chatkę,
 Zaprzężony w siwe woły,
 I kościelny dziadek stary,
 Od dzwonnicy linkę chwyci, —
 Za smętarzem dzionek szary,
 Smutną zorzą się rozświeci.
 I krzyżyków tyle, tyle,
 Pokaże się z po za płoty,
 I sieroty na mogile, —
 Były we wsi dwie sieroty.

Jak zalata boże ziółko. ..
 Gdzie tak spieszno pani pszczołko?
 Już za sosną, już za górką,
 Przyjdiesz do mnie na podwórko.
 Jak mateńka miód wysyci,
 To się przecież coś zachwyci.

Danaż moja, dana, dana!
 Gdybym była poszła z rana,
 Kiedy świat był w cieniu grubym
 To już byłby dzbanek z czubem.

Już południe, słychać dzwonki,
 Stary pastuch spędza z łąki.
 To pawłowa, to graniata,
 Co kołatką tak kołata.
 A to nasza krówka goni,
 Co jej dzwonek cienko dzwoni.
 I od gaja aż do gaja,
 Rozlega się ryk buhaja.
 Jak zobaczy cudze chłopię
 Zaraz staje, ziemię kopie,
 A burek go łap za nogę,
 Nie przestępuj ludziom drogę.
 Dobrze psisko nie napada
 Na starego ze wsi dziada,
 Ale za to jak posłyszysz:
 Pójdź tu burek! — myszy, myszy!
 Toż pod siebie ziemię spycha,
 Kopie, kopie, potem kicha.
 Coraz dalej dzwonki dzwonią
 A brzęk leci równą błonią.

(śpiewa)

Pożegnała siostra brata,
 Pożegnała temi słowy:
 Kiedy idziesz za kraj świata
 Mój braciszku, bywaj zdrowy.

Jak za siódmą będziesz rzeką,
 Jak ci zgłuchną wiejskie dzwony,
 Albo ja wiem jak daleko: —
 Obejrzyj się w nasze strony.

Gdzie nad chatą rozwaloną,
 Nad kominem, het! wysoko!
 Takie nieba jasne łono,
 Jak nieboszczki matki oko.

Nie oglądaj się na człeka,
 Ni na swoich co już w grobie,
 Ale bracie wspomnij sobie:
 Ze cię nasze niebo czeka.

Rosną wierzby nad wodami,
 Nad zieloną pochyłością. —
 Kto pożegnał się ze łzami,
 Ten powita się z radością.

Bywaj zdrowy! — bywaj zdrowa!
 Smutno świeci zachód złoty,
 Długa żalność krótkie słowa. —
 Żegnały się dwie sieroty.

Danaż moja! dana, dana!
 Jagódeczko!—pójdź do dzbana!
 Jakoś idzie mi powoli,
 A tu trzeba kupić soli.

Latoś było co niemiara.
 Dziwiła się matka stara:
 Że jak tylko w gaik wpadnę,
 Wnet borówki niosę ładne.
 A ja wcale się nie siłę,
 Wszędzie pełno, gdzie się schylę.
 Rumienią się wkoło przy mnie:
 Weźże i mnie, weźże i mnie,
 I ja świeża i ja świeża! —
 I już dzbanek po wybrzeża.
 I mówiła mi jagódka:
 Zjedz mnie, zjedz mnie, bo ja słodka.
 A ja kładę do kozubka,
 Tyś dla matki, moja lubka.
 Ja dziewczyna nie łakoma,
 Dadzą mi, jak wrócę doma —
 A dziś chodzę dzionek cały,
 Czyby ptaki wydziobały?
 Oj! wy ptaki nienasyte,
 Widzę ja was choć ukryte, —

Dziwuje się, kręci główką,
 Nie pocieszysz się borówką!—
 Otóż widzisz, że nie twoja,
 Tylko boska, potem moja.
 Danaż moja! dana, dana!
 Jagódeczko! pójdź do dzbana!

(*śpiewa*)

Płyną wody za wodami,
 I z gałązek liść oblata;
 Sierotęńka za górami,
 Przewędrował kraje świata.

A chociaż mu nie zbywało
 Ani soli, ani chleba,
 Ale wszystko to zamało —
 Bo swojego nie miał nieba.

I napisał liścik drobny,
 Złotoocznem piórkiem pawia,
 Ale taki niepodobny,
 Że co słówko to zakrwawia.

Niby nic mu nie potrzeba,
 Nad wodami, nad cudzemi,
 Ale chciałby krzynek nieba
 I wietrzyka z swojej ziemi.

Wzięła siostra liść kaliny,
 Napisała mało wiele:
 Tyś braciszek, ty jedyny,
 Tyś mi anioł w ludzkim ciele.

I co przyszło jej do głowy,
 Wypisała wszystko na nim:—
 Teraz wietrze, cichem wianiem,
 Zanieś listek kalinowy!

Przeleciałam kawał lasu,
 Zarosiłam się do pasu,
 Trzeba wracać, bywaj zdrowy
 Mój gaiku brzeziny!

Spiesz dziewczę drogą z lasku,
 Dobrze nogom w ciepłym piasku,
 A wciąż jedną nutę nuci,
 Czyż jej piosnka nie porzuci?
 Nie porzuci — trudna rada,
 Z wschodnim wiatrem na nią spada,
 Między myśli jej się płacze,
 Skończ mnie, skończ mnie—nie, nie skończę.

(*śpiewa*)

Miała matka dwie sieroty,
 Chłopiec starszy siedmiolatek,—

Cicho piosnko! dosyć psoty!
Najciekawszy był ostatek:
Cóż o koniu, o szabelce, —
Najpiękniejszy koniec dzieła.
Ja sam ciekaw byłem wielce,
Lecz dziewczyna się zawzięła,
I ustami różancmi
Szeptala, jak woda zdroja,
Cichy paciierz: *Wola Twoja,*
Jak na niebie tak na ziemi.

T. Lenartowicz.

Bnaki gniewu Pańskiego.

Patrzcie, i w innych rzeczach co za sprawy mamy?
Prawie Pańskiego gniewu ze wszystkim czekamy,
Który się nam już jawnie zewsząd okazuje,
Bo nam mądre i radne ze wszech stron wyjmuje.
Dawa nam przełożone tak jako obiecał,
Wedle serca naszego jakie w nas będzie znał.
Patrz, jeżeli w której rzeczy idą z sobą zgodą?
Albo gdy co dobrego ku statku przywiodą.
Choć w Rzeczypospolitej wielkie szkody znają,
By o żelaznym wilku o niej sobie bają,
A są już słyseż drudzy, nie wiem jakiej wiary,
Coby radzi wprawili nas w jakieś pomiary:
A potem z czasem szczęście może im to zdarzyć,
Iż będą chcieli wiedzieć co będziemy warzyć.
Powiadają iż tego potrzeba dla wojny,
By jeden jako drugi pospołu był strojny;

Ale niżli tój wojny strojnej doczekamy,
Pewniejszą na każdy rok na zapłociu mamy;
Bo jeżeli co przekopasz, możesz temu wierzyć,
Pewniejszą na każdy rok musisz znowu mierzyć.
Potem cię tym pomiarem tak ukoledują,
Co masz dać na każdy rok pewnicie oszacują.
Nie trzeba nam pomiarów, rozmierzy nas cnota,
Że i więcej przystawi w kim będzie ochota.
Bo już tam każdy musi wszystkiego przestrzegać,
Gdyż mu o gardło idzie,—trudno więc ulegać.

Rej z Nagłowic.

(Mikołaj Rej z Nagłowic, herbu Oksza, ur. około r. 1507 w Żórawnie na Rusi, ze Stanisława i Barbary Herburtówny. † około r. 1568).

TRENY

Jana Kochanowskiego.

(po śmierci córki Urszuli).

II.

Jeżlim kiedy nad dziećmi piórko miał zabawić,
A kwoli temu wieku lekkie rymy stawić,
Bodaj żebych *) był raczej kolébkę kołysał,
I z drugimi nieważne mamkom pieśni pisał,
Któremiby dziecinki noworodne śpiły,
I swoich wychowańców lamentsy tuliły.
Takięj fraszki mnie zbierać pożytecznięj było,
Niżli, w co mię nieszczęście moje dziś wprawilo.
Płakać nad głuchym grobem mój wdzięcznięj dziewczyny
I skarżyć się na srogość ciężkięj Proserpiny,

*) Bodaj żebym.

Ależ użyć w obojgu jednakiej wolności
 Nie mógł; owom ominął jako w dojrzałości
 Dowcipu coś rannego; na to mię przygoda
 Gwałtem wbiła i moja nienagrodna szkoda.
 Ani mi teraz łaeno dowiadać się o tem,
 Jaka mię z płaczu mego czeka cześć na potem.
 Nie chciałem żywym śpiewać, dziś umarłym muszę,
 A cudzej śmierci płacząc, sam swe kości suszę.
 Próżno to: jakie szczęście ludzi naśladuje,
 Tak w nas abo dobrą myśl, abo złą sprawuje.
 O prawo krzywdy pełne! o znikomych cieni
 Sroga, nieubłagana nieużyta ksieni!
 Takli moja Urszula, jeszcze żyć na świecie
 Nie umiawszy, musiała w rannym umrzeć lecie?
 I nie napatrzywszy się jasności słonecznej,
 Poszła nieboga widzieć krajów nocy wiecznej.
 A bodaj ani była świata oglądała:
 Co bowiem więcej, jeno ród a śmierć poznała?
 A miasto pociech, które winna z czasem była
 Rodzicom swym, w ciężkim je smutku zostawiła.

III.

Wzgardziłaś mną dziedziczko moja ucieszona,
 Zdałać się ojca twego bardziej uszczuplona
 Ojczyzną, niżlibyś ty przestać na niej miała;
 To prawda żeby była nigdy nie zrównała

Z rannym rozumem twoim, z pięknemi przymioty,
 Z których się już znaczyły twoje przyszłe cnoty.
 O słowa, o zabawo, o wdzięczne ukłony!
 Jakożem ja dziś po was wielce zasmucony!
 A ty pociecho moja, już mi się nie wrócisz,
 Na wieki, ani mojej tęsknicy ukróćisz.
 Nie lza, nie lza *), jedno się za tobą gotować,
 A stopczkami twemi ciebie naśladować:
 Tam cię ujrzę, da Pan Bóg, a ty więz z drogiemi
 Rzuć się ojcu na szyję ręczynkami swemi.

IV.

Zgnębiłaś, niepobożna śmierci, oczy moje,
 Żem widział umierając miłe dziecię swoje;
 Widziałem, kiedyś trzęsła owoc niedojrzały;
 A rodzicom nieszczęsnym serca się krajały.
 Nigdyćby ona była bez wielkiej żałości
 Mojej, umrzeć nie mogła nigdy bez ciężkości
 I serdecznego bólu, w którymkolwiek lecie
 Mnieby smutnego była odbiegła na świecie;
 Alem ja już z jej śmierci nigdy żałościwszy,
 Nigdy smutniejszy nie mógł być ani tęskliwszy,

*) Nie łatwo, trudno, inaczej być nie może.

A ona (by był Bóg chciał) dłuższym wiekiem swoim,
 Siła pociech przymnożyć mogła oczom moim,
 A przynajmniej tymczasem mogłem był odprawić
 Wiek swój i Persefonie ostatniej się stawić,
 Nie uczuwszy na sercu tak wielkiej żałości,
 Któręj równia nie widzę w tój tu śmiertelności.
 Nie dziwuję Niobie, że na martwe ciała
 Swoich najmilszych dzieciętek patrząc, skamieniała.

V.

Jako oliwka mała pod wysokim sadem,
 Idzie z ziemi ku górze macierzyńskim śladem;
 Jeszcze ani gałązek, ani listków rodząc,
 Sama tylko dopiero szczupłym prątkiem wschodząc,
 Tę, jeżeli ostre ciernie lub rodne pokrzywy
 Uprzątając, sadnik ów podciął ukwapliwy,
 Mdleje zaraz, a zbywszy siły przyrodzonej,
 Upadła przed nogami matki ulubionej:
 Takei się mój najmilszej Urszuli dostało:
 Przed oczyma rodziców swoich rosnąc *), mało
 Od ziemi się wzniosłszy, duchem zaraźliwym
 Srogięj śmierci otchniona, rodzicom troskliwym

*) Rosnąć — ztąd rość.

U nóg martwa upadła. O zła Persefono,
Mogłażesz tak wiele łzom dać upłynąć płono?

VI.

Ucieszna moja śpiewaczko, Safo; Słowiańska,
Na którą nietylko moja częśćka ziemiańska,
Ale i lutnia dziedzicznym prawem spaść miała,—
Tęś nadzieję już po sobie okazowała,
Nowe piosnki sobie tworząc nie zamykając
Ustek nigdy ale cały dzień przyśpiewając,
Jako więc lichy słowiczek w krzaku zielonym,
Całą noc prześpiewa gardłkiem swem ucieszonym.
Prędkoś mi nazbyt umilkła; nagle cię sroga
Śmierć spłoszy, moja wdzięczna szczebiotko droga!
Nie nasyciłaś mych uszu swemi piosnkami —
I tę trochę teraz płacę sownie łzami;
A tyś ani umierając śpiewać przestała,
Lecz matkę ucałowawszy takeś żegnała:
Już ja tobie moja matko służyć nie będę,
Ani za twym wdzięcznym stołem miejsca zasięde;
Przyjdzie mi klucze położyć samej precz jechać,
Domu rodziców swych miłych wiecznie zanicchać,
To, i czego żal ojcowski nie da serdeczny
Przypominać więcej, był jej głos ostateczny;

A matce, słysząc żeganie tak żałośliwe,
Dobre serce że od żalu zostało żywe.

(Jan Kochanowski, ur. r. 1530 w Sycynie w Radom-
skiem, z Piotra sędz. ziem. Sand. i Anny Odrowążówny
z Białaczewa, † 16 Sierpnia r. 1584 w Lublinie).

SATYRA.

ŚWIAT ZEPSUTY.

Wolno szaleć młodzieży, wolno starych zwodzić,
Wolno się na czas żenić, wolno i rozwodzić;
Godzi się kraść ojczyznę łatwą i powolną,
A mnie sarkać na takie bezprawia nie wolno?
Niech się miota złość na cię i hytrość bezczelna,
Ty mów prawdę, mów śmiało, satyro rzetelna.
Gdzieżes cnoto? gdzieś prawdo? gdzieście się podziały?
Tuście niegdyś najmiłsze przytulenie miały,
Czczyły was dobre nasze ojce i pradiady:
A synowie, co w bite stąpać mieli ślady,
Szydząc z świętej pocziwych swych przodków prostoty,
Za blask czczego poloru zamienili cuoty.
Słów aż nadto, a same matactwa i łgarstwa;
Wstręt ustał, a jawnego sprosność niedowiarstwa
Śmieć się targać na święte wiary tajemnice.
Jad się szerzy, a źródło biorąc od stolice,

Grozi dalszą zarazą. Pełno ksiąg bezbożnych,
 Pełno mistrzów zuchwałych, pełno uczniów zdrożnych,
 A jeżeli gdzie się cnota i pobożność mieści,
 Wyśmiewa ją zuchwałość; nawet w płci niewieściej,
 Wszędzie nierząd, rozpusty występki szkaradne. —
 Gdzieżeście o matrony święte i przykładne?
 Gdzieżeście ludzie prawi? przystojna młodzieży?
 Oślep tłuszcza bezbożna w otchłań zbytków bieży.
 Co zysk podły skojarzył, to płochość rozprzęże;
 Wzgardziły jarzmem cnoty i żony i mężę.
 Zapamiętałe dzieci rodziców się wstydzą,
 Wadzą się przyjaciele, bracia nie nawidzą,
 Rwą krewni łup sierocy, łzy wdów piją zdrajce,
 Oczyszcza wzgląd nieprawy jawne winowajce;
 Zdobycz wieków, zysk cnoty, posiadają zdzierce,
 Zwierzchność bez poważania, prawo w poniewierce.
 Zysk serca opanował, a co niegdyś tajna,
 Teraz złość na widoku, a cnota przedajna. —
 Duchy przodków, nagrody cnót co używacie,
 Na wasze gniazdo okiem jeżeli rzucacie,
 Jeżeli odgłos dzieł naszych was kiedy doleci,
 Czyż możecie z nas poznać, żeśmy wasze dzieci?
 Jesteśmy, ale z gruntu skażeni, wyrodni,
 Jesteśmy, ale tego nazwiska niegodni.

To, co oni honorem, pocziwością zwali,
 My, prostotą ochrzčili,—więc co szacowali
 My tem gardzim, a grzeczność przenosząc nad cnotę,
 Dzieci złe, psujem ojców pocziwych robotę.
 Dobra była uprawa, lecz złe ziarno padło.
 Ztądci teraz Fenixem prawe, zgodne stadło;
 Zysk małżeństwa kojarzy, żartem jest przysięga,
 Lubieżność spaja węzły, niestatek rozprzęga.
 Młodzież próżna nauki, a rozpusty cheiwa,
 Skora do rozwiążności, do cnoty leniwa.
 Zapamiętałe starcy, zhańbione przymioty;
 Smieje się zbrodnia syta z pognębionej cnoty.
 Wstyd ustał, wstyd, ostatnia niecnoty zapora.
 Złość zarazna w swem źródle, a w skutkach zbyt spora,
 Przeistoczyła dawny grunt ustaw pocziwych.
 Chłubi się jawna kradzież z korzyści zelżywych,
 Nie masz jarzma, a jeżeli jest taki, co dźwiga,
 Nie włożyła go cnota: —fałsz, podłość, intryga.
 Płodzie, szacownych ojców noszący nazwiska,
 Zewsząd cię zasłużona dolegliwość ścisła!
 Sameś sprawcą twych losów. Zdrożne obyczaje,
 Krnąbrność, nierząd, rozpusta, zbytki —gubią kraje.
 Próżno się stan mniemaną potęgą nasrożył,
 Który na gruncie cnoty rządów nie założył;

Próżno sobie pochlebia. Ten co niegdyś słyzył,
 Rzym cnotliwy —zwyciężał, Rzym występny zginął.
 Nie Goty i Alany do szczętu go zniosły:
 Zbrodnie, klęsk poprzedniki i upadków posły,
 Te go w jarzmo wprawiły; skoro w enocie stygnął,
 Upadł i już się więcej odtąd nie podźwignął.
 Był czas kiedy błąd ślepy nierządem się chlubił:
 Ten nas nierząd, o bracia! pokonał i zgubił;
 Ten nas cudzym w łup oddał; z nas się złe zaczęło;
 Dzień jeden nieszczęśliwy zniszczył wieków dzieło.
 Padnie słaby, i lęze — wzmoże się wspaniały;
 Rospacz podział nikiemnych. Wzmagają się wały,
 Grozi burza, grzmi niebo, okręt nie zatonie, —
 Majtki zgodne z żeglarzem gdy staną w obronie:
 A choć bezpieczniej okręt opuścić i płynąć,
 Poczciwiej być w okręcie;— ocalić lub zginąć.

Ignacy Krasicki. ↵

(Ignacy Krasicki ur. r. 1734, w Dubiecku woj. Ruskim, † 14 Maja 1801 w Berline).

J O D Ł A.

Kochanko! w cieniu tój jodły
Słodkie godziny się wiodły;
Ja przeczuwam, ja się smucę,
Że tu więcej nie powrócę.

Gdy legnę w kraju potrzebie,
A księżyc błysnie na niebie,
Wyrwijże się matce z domu
Pospiesz tutaj pokryjomu.

Zaśpiewaj dumkę miłosną,
Którą nuciłaś mi wiosną,
Którą echa roznaszały
Na doliny i na skały,

A potem w ufnem westchnieniu,
Pojrzyj ku nieba sklepieniu:
Tędy do mnie droga będzie,
Tam mój tęskny duch osiedzie.

Gdy, jak przy wiatru powiewie,
Zaszumią liście na drzewie,
Ja to będę, który skryty,
Spieszę się nad jodeł szczyty.

Wtedy gdy dłońmi zimnemi
Spuszczę gałązkę ku ziemi,
Zanieś w chatkę dla pamięci,
Co ci tęskny duch poświęci.

Kazimierz Brodziński.

(Kazimierz Brodziński ur. w Galicji 3 Marca 1791 r.
† w Dreźnie 10 Października 1835 r.).

FRYDERYK SZOPEN.

(FANTAZJA).

I.

Czy słyszycie z pod dłoni kobiety namiętnej,
Pieśni jego rokoszne i dziwne uroki? —
Czy widzicie w jej oczach ten ogień głęboki,
Jakby obłęd pałacy, a jak wiara smętny?
Czujecie jak w tej nagłej i mistrzowskiej nucie,
Nie tylko tonów przemoc duszę jej podbiła,
Lecz inne, nowe jakieś powstaje uczucie,
Jak krzywda bolejące, głuche jak mogiła?

II.

A tony się płaczą, jak sicią pajęczą,
Dokoła nas wiążą wrażenia nitkami;
I śmieją się, płaczą i tęsknią i dźwięczą,
Drżą w uchu, lśnią w oczach i nikną nad nami,

Lecz w sercu zostają. Uśmiechem proroctwa
 Daleką gździeć palmę wskazują w pustyni ,
 A potem, jak w oczach namiętnęj mistrzyni,
 Drżą żalem tęsknoty, wrą bólem siéroctwa.

III.

Ból! siéroctwo! — To nie krzyki,
 To wnikliwszėj dźwięki mowy!
 Tak jak odźwięk tēj muzyki
 Cichy, rzewny, pogrobowy,
 Ból! siéroctwo!—To nie krzyki,
 To jest prawdy dźwięk niemylny!
 Tak jak odźwięk tēj muzyki
 Dziwny, smutny, — ale silny.

IV.

Lecz cóż śpiewać wyrazami?
 Gdy muzyka na pamięci,
 Tak wonnemi myśl wieńciami
 Opasuje, i tak smęci!...
 Od mazurków wieńca zacznę,
 Co to wrzkomo bałamutne,
 Swietne, lekkie i dziwaczne,
 A tak smutne, a tak smutne!..

† Jak to dziewczę, co to brata
 Wciąż z wojenki się spodziewa,
 I ze łzami warkocz splata,
 I ze łzami piosnki śpiewa.
 W taniec proszą rówiennice,
 Choć do tańca jest ochota,
 Dziewczę smutno skłania lice,
 Bo gdzież tańczyć ma sierota?
 Na bułanym wtem ktoś jedzie...
 Dziewczę biegnie, klaszcze w ręce,
 Obcy człowiek konia wiedzie,
 A brat zginął na wojence. †

Smutne, smutne, to mazurki!
 Jak ta matka co dla córki
 Na wesele przystrajała
 Białą suknię. Lecz martwica
 Wnet poczuła— i zatrwała
 Tchem śmiertelnym córki lica.
 Matka białą suknię szyła,
 To też w białą przystroiła
 Córki zwłoki — pochowała —
 Spij, śpij cicho—liljo biała!

V.

Teraz brzmi ów tańca dźwięk,
Co i w czapkach go tańczono;
Co na zwrocie w szablę szczęk,
Pas podjęto, wąs kręcono!

Już się snują pary tłumne,
Wygolone głowy dumne,
Wąs sumiasty, lub ze szwedzka,
Ale mina tak szlachecka,
Że kto nawet i z kielicha
Jój nie pozna, to zjé licha!
A tu przy nich tanecznicze,
 Tak urodne,
Tak rzewnością tchnące lice,
Choć w robronach, tak swobodne!

Polonezów jednak tony
Czasem tworzy dziwaczniejsze!—
Mazur smutny rozżalony,
Te bolesne, posępniejsze,
Jakby dworek modrzewiowy,
Niski, stary, pochylony;

A na ganku, od ogrodu,
 Siedzi starzec pogarbiony,
 Z szramą podłuż łąsęj głowy,—
 Patrzy w krwawy blask zachodu.

A tam — tam, ku zachodowi,
 Wiejski kościół słomą kryty.
 Dalej smętarz i krzyż wbity
 Tu i owdzie. A starcowi
 Czoło marszczy się powoli,
 Gdy zachodu barwy chyże
 Zrumieniły czarne krzyże,
 Jakby mówił: Jam sierota!
 Krzywda losu człeka boli;
 W tem smętarza proste wrota
 Zawiózł syna mego zwłoki,
 Drugi gdzieś tam w świat szeroki
 Pierzchł i zniknął; zginął trzeci.
 Starzec! krzywdę mam bez dzieci.

Jeszcze jakby z ust sędziwych
 Wyszło kilka skarg za żywych,
 Aże w niebo spojrzzał stary,
 I zapłakał — pełen wiary.

Wtem chłopczyna z jasnym włosem,
 I oczyma niebieskiemi,
 Wbiegł i zaczął srebrnym głosem
 Nucić piosnkę.— Starzec z ziemi
 Znowu podniósł wzrok ku niebu
 I tak słuchał piosnki wnuka,
 Jak rozrywki to się szuka,
 Kiedy wróci się z pogrzebu.

VI.

Teraz taniec ten niemiecki,
 Niby wesoły—a tak mglisty,
 Tak powolny—a ognisty,
 Tak przelotny i zdradziecki—
 W jakież barwy kształtne, świetne,
 Nowe, rzadkie i szlachetne,
 Dziwne pieśni te ustroił...
 Jakby dumał, jakby roił
 O mazurkach, krakowiakach,
 Kołomyjkach, kujawiakach,
 Śród Webera tęsknych czarów;
 Jakby dumkę ktoś zanucił
 Śród czarnego lasu jarów,
 A niedawno Dniepr porzucił.

VII.

A słyszycie marsz żałobny?
 Dzwony dźwięczą śpiew przedgrobny,
 I karawan zwolna sunie,
 Ten, co go to dają biędzie.
 Na nim trumna a na trumnie
 Pałasz z czapką w krzyż złożone,
 A za trumną nikt nie idzie.
 Niebo szare, zachmurzone,—
 Ani trąbka nie uderza
 Wojennego marszu dźwięki,
 Ani matki, braci jęki
 Nie zatęsknią na mogile
 Siéroty — żołnierza.—
 Przecie, nagle ktoś na chwilę
 Wyrzał z okien pałacowych;
 Jakaś twarz kobięca, blada,
 Oczu szarych, włosów płowych,
 I łza po łzie jęj upada.
 Czy siéroctwa współcierpienie?
 Znałż tego, co chowają?
 Dawnych marzeń łez wspomnienie?
 Dość, że płacze... Dzwony grają.

VIII.

Lecz ziemi już dosyć!
Teraz trzeba lot wznosić!
Trza i na Tatrów szczytach
Słuchać dźwięków potoku,
Gdy po siwych granitach
Pędzi fale—o mroku.—
Trzeba słuchać jak w borze
Jodły szepeczą tak z cicha;
Trzeba słuchać, jak morze
Rozburzone oddycha.
Harmonję letniej nocy,
Melodję dziwną mroku,
Tęskną groźbę północy,
I po za-świat uroku.
Trzeba słuchem muzyka
Pojąć, ująć, i stworzyć;
Trzeba drzwi te otworzyć,
Które geńjusz odmyka.
Tęczowych marzeń trzeba
Odblaski pojąć lśniące,
Kiedy płyną do nieba
Fantazjami tęskniące.

Albo dusza gdy chmurna,
 Pół boleje, pół śpiewa,
 I w ustępy nokturna
 Żalu boleść wylewa.

Trzeba pojąć śpiewaka,
 Gdy dla siebie śpiewa,
 I lotem króla ptaka
 Nad te góry i drzewa,
 Nad ludzi — skrzydła wzbil;
 A świat pierzcha daleko,
 Jak mgła ranna nad rzeką,
 Jak pył!

I czasem się zatrzyma,
 Gdzieś nad wioską płonąca,
 Dym kłębami się wzdyma,
 Matki z twarzą cierpiącą,
 Do piersi tulą dzieci.
 Płomień bucha czerwony—
 On w niebieskie swe strony
 Leci.

Trzeba wpoić się w żale,
 W młodej duszy rozczary,
 I zrozumieć, że w chwale

Najpiękniejsza korona,
 Ta, co łzami zroszona,
 Ofiary.

IX.

Bo nie wszystkim jest dane
 Umieć siebie wynucić,
 I marzenia rozwiane
 Wstęgą chwały obrzucić.
 I nie wszystkim też dane,
 Pojąć chwały tej blaski,
 I najdroższe klejnoty,
 Z tej kosztownej przepaski,
 Spoić w jeden strój złoty.

X.

Bo geńjusz, choć z wszystkimi—
 Sam przez życie przechodzi;
 Tylu wiedzie na ziemi,
 Ale sam schodzi;
 Sam tylko jeden wśród ludzi wielu,
 Których tak różna robota,
 Łączy ją, wznosi do swego celu,
 Sam tylko jeden—sięrota.

XI.

Ból, sieroctwo i wiary promieniujące koło,
 Przędę pieśni w żałobnych kwiatów wieńczę zwoje...
 Tworząc postać z tych pieśni, ubrałbym jęj czoło
 W gwiazdy wiary, a w oczy wlałbym smutku zdroje;
 Jednakże, by w nich świecił ten blask przenikliwy,
 Ta moc cierpień, uniesień, co uświęca wzrok.
 Usta ubrałbym w uśmiech tęskny i cierpliwy,
 Dniem za nią, przed nią świecił—a w koło niej mrok.

XII.

Bo to mroku był śpiewak tak cichy i łzawy,
 Jak od listka akacji drżący cień na ścianie.
 A czasem tak posępny — lecz mało jaskrawy,
 Jak zachodu nad rzeką powolne konanie.
 On swemi marzeniami, on swemi pieśniami
 Wszak o szarej godzinie najmilej nas pieści;
 On tęsknoty dźwiękami i tęsknoty łzami,
 Wyśpiewał chwilę żalu, i syty boleści.
 O! to mroku był śpiewak! Dzień za nim daleki,
 Przypominał mu słońca swojego odbłyśki;
 I łudził go, i nęcił, że świtania bliski,
 Lecz mrok wieszczą swojego omroczył na wieki.—

XIII.

I losy skrzywdziły Słowiańską ziemię,
 Że smutku śpiewaka tak nagle zabrały;
 I dzieciom jej licznym zsepiło się lice,
 Że o jednego znów osierociały!
 Ale ty blady, uroczy cieniu!
 Już wynuciłeś, co nucić miałeś;
 Ty na melodji srebrnym promieniu,
 Leć, leć w te strony, którym śpiewałeś.
 Pieśni twych tęskne, świetne przedziwo,
 Już się wieczystym snuć będzie ciągiem.
 Ty w sercach naszych, co biją żywo,
 Choć bez posągu—będziesz posągiem.
 Leć, leć śpiewaku! To dzień twój świta!
 Leć bracie do braci swojej!
 Tam cię z nich każdy pieśnią powita,
 I czoło blaskiem ustroi.

XIV.

Był ongi zwyczaj, że gdy chowali
 Zasłużonego rycerza w boju,
 Pili na stypie, pieśni śpiewali,
 By wędrowała dusza w spokoju.

Ty śpiewak, w obcym usnąłeś kraju,
Obcy ci piasek w oczy się sypie;
Ja, według przodków naszych zwyczaju,
Choć pieśń żałoby nuceę na stypie.

Włodzimierz Wolski.

W I O S K A.

FANTAZJA.

Niekształtne wierzby nad lśniącą rzeką,
Dziwaczne cienie rysują,
Za niemi strome piasku wybrzeże,
Na niem się topól wierzchołki snują;
Nad niemi dymu fałdy się wleką,—
W głębi, bór ciemny, za nim daleko
Jak dwa mgły słupy, dwie szare wieże....
Niebo pogodne i księżyc biały
Spokojnie świeci.

A na wybrzeżu chałupy stały —
Lecz się w nieładzie w koło rozsiadły,
Jak w schowanego, gdy grają dzieci.
Z jednego dworka światła błyskały,
Który we środku z topól spoziera,

Jako staruszek wiekiem poblady,
 Ciekaw czy wnuki spać się pokładły,
 Patrzy przez szpary.
 Cicho! dym coraz wolniej się zbiera
 Koło topoli, coraz mniej szary;
 Już tylko blade węże się snują,
 Już go nie widać, tylko szemrzące
 Marzenia boru, tylko pluszczące
 Pieszczoty rzeki zdala wtorują
 Bolesnym dźwiękom, które jak mary
 Blado, niekształtnie, zwolna się płaczą
 I w jakieś słowa, zcicha się łączą —

A wioska spała. —

Nad rzeką jakaś postać śpiewała,
 Brunatną płachtą odziana cała.

Biednaż ja biedna!

Byłaś mi jedna —

Moja dziecino,

Moja jedyno!

Panicz pokochał,

Potem porzucił —

I jak odjechał.

Już nie powrócił.

Tak się maleńka

Weiż do mnie tuli,

Ale wciąż straszno
 Biędnej Hanuli.

Oj biała rzeko!
 Płyniesz daleko,
 Choć nie szeroko
 Ale głęboko.—

Maleńką moję
 W objęcia swoje
 Czemuś zabrała
 O rzeko biała?

Czemuś wydarła
 Moję dziecinę?
 I ululała
 Moję jedyne?

Fala ku fali
 Zwolna się trąci, —
 W sercu się pali,
 W głowie się mąci.

Biednaż ja biedna!
 Byłaś mi jedna,
 Moja dziecino,
 Moja jedyne!

Postać śpiewała... aż rzeka biała
 Nagle plusnęła. — Pieśni nie słychać,
 I lśniąca woda zda się oddychać,

I znowu pieści się lśniąca woda,
 Zdala bór szumi, — niebios pogoda
 Rozmowa jasna z temi gwiazdami,
 Co to srebrnemi ciągnąc pasami
 Nikną w przestrzeni. —

I tylko z bladym uśmiechem ciszy,
 Anioł spokoju zwolna się wije.
 Śpi wioska cała nikt nie usłyszy
 Jak tu kto cierpi, jak tu kto żyje.
 Wije się biały anioł spokoju,
 Twardo śpią czoła zorane troską,
 Ciężą powieki spuchłe od znoju —

A sny wesołe. —

Anioł spokoju

Blado się wije w powietrza fali,
 I mknie tak cicho dalej i dalej,
 Przejrzystym pasem nad śpiącą wioską. —

Wioska śpi!

Śpi w spokojnem zapomnieniu
 O dniu przeszłym, o cierpieniu
 Dnia przyszłego — śpi. —

Włodzimierz Wolski.

WIELKI PAN.

USTĘP Z POEMATU.

I.

Byłto sobie wielki Pan :
Dzień w dzień wypił wina dzban.
Miałci malowany dwór,
Tysiąc koni, dwieście sfór,
Rój hajduków, strzelców, sług,
Dwie kapele, gości huk.

Biały żupan nosił wciąż,
Złotej szabli kręty wąż,
Od kamieni drogich lśniał,
Jakby oczu tysiąc miał.
A kolasę w koni sześć,
Gdy się wkoło kazał wieść,

Każdy pan brat czapkę zdjął,
 Chłopiek każdy w duszy kłął.
 Wielki Pan dość młody był,
 Bładych lic, lecz pełen sił,
 Nie raz kiedy bywał sam,
 Myślał: cóż że wszystko mam?
 Jestem jak ten w polu bróg:
 Wszystkich moich zabrał Bóg,
 Świat w około i ja sam.
 Na djabłaż mi to, co mam! —
 Nie próżnował wina dzban,
 Gdy tak myślał wielki Pan.

A przy dworze owym żył
 Stary szlachcic — w łaskach był.
 Walny lizacz kuflów, mis,
 Zwał się Wyga, herbu Lis.
 Widząc, że tak Panu czczo,
 Myśli: ja rozruszam go.
 Rzekł więc: „Jaśnie Pan czy zgadł.
 Jak na concept dziwny wpadł
 Czcśnik? Aż mi szkoda słów!
 Toć szlachciura mściwy ów,
 Że mu chamów każem bić,
 Jaśnie Pana, łotr śmie lżyć!“

—Lżyć? Ej! myśl co mówisz Waśc,
Boć co z reszty może spaść!

—Jasnie panie! toć nie sen!

Po sejmiku cześnik ten
Śmiał do braci szlachty rzec:
Ze wolałby dać się spiec,
I z dziadowską torbą iść,
Niż, Jaśnie Pan gdyby doń
Dłoń wyciągnął, podał dłoń! —
„Gdyby też, wypadki są,
Chciał za żonę córkę twą?“
(Tak zagadnie łowczy go).

A tu cześnik nagle: „co?
Córkę, córkę?... Waścin żart
Razem z wami djabła wart.
Za ubogi chaty próg,
By swat pański wstąpić mógł.
Zresztą, wolę dziewczkę tę
Pierw w śmiertelnem widzieć źgle,
Boże odpuść! niżli w tem —
Panie bracie, gnieździe złem.“
Prawda, że dość nalał w czub,
I że marny jego ślub
Tyle w uchu wagi ma,
Co szczekanie złego psa.

I choć niby, mówią to :
 Szlachcic z panem braćmi są—
 Ale z kąd szlachecka złość,
 Śmie dotykać pańską mość?
 Więc luminarz naszych stron,
 Co to równych stanem żon,
 Z tylu dziewic, paniów z pań,
 W krwi magnackiej czeka nań,
 A tak trudno chęć mu mieć—
 Szlachcianeczki miałby chcieć?
 Cóżby na to nagle rzekł
 Antenatów cały stek?
 Antenatek cały rząd,
 Na ten w pańskim łożu trąd?
 — Brzęczysz Wasze, jakby ul,
 Radzę także buzię stul!

—Jasnie Panie! trudno znieść!

— Przestańże Waść, przestań pleść!

Bo gdy ludzic tacy źli... .

— Do stu czartów! milczeć mi!

Nagle wstając, pan mu wrzasł,
 Ręką ujął się za pas,
 I w podłogę tupnął tak,
 Że na ziemi został znak.

Wyga głowę schylił w dół,
 I szczękami tylko żuł;
 Wzdychał, sapał, jakby miech,
 Snadź coś trawił: strach czy śmiech;—
 Prędzęj drugie, bo pan znów
 Mniej już gniewnych użył słów:

— No, a pięknaż dziewczka ta?

— Jaśnie Panie, jakby skra!

—Piękna, mówisz?—Wiem, że Waść
 Lubisz konie,—jaką maść?

— Gniadą, panie jasny!—No,
 Jakiej maści dziewczce to?

— Jaśnie Panie: ciemny włos,
 Mała rączka, kształtny nos,
 Zęby perły, z ognia wzrok,
 Biała i szesnasty rok.

— Kiedy gniadą lubisz maść,
 To ze stajni weź-że Waść,
 Na podarek gniadych pięć,
 Za tę dobrą ku nam chęć.
 No, a teraz można precz!

— Panie z panów jasny! Lecz
 Gdyby pierwszy z jego sług,

Jakiem słówkiem drasnąć mógł!...—

Czasem bo się wypsnie rzecz...

— Potem o tem! Teraz precz!

Odszedł dworus. Wielki pan

Kazał podać wina dzban,

Popił i najeżył wąs.

Twarz mu bladą oblał pas,

Potem pobladł ażę strach!

A od stąpań trząś się gmach.

II.

Dwa miesiące przeszły już

A to czasu kawał!

Wielki pan i wszere i wzdłuż

Chodził, to znów stawał.

Płowy, potem szary mrok

Na komnatę spada,

-- O! tak, tak... szesnasty rok.

Nagle pan zagada.

— Ha! przeklęty Wyga ów!

Dawniej puchar, dawniej łowy

Nie trapiły serca, głowy:

Człek był smutny ale zdrów!

Dziś do czarta i pioruna!

W sercu pożar, w głowie łuna!

Nie raz, gdy na łowach wpadł
 Tuż, pognany na mnie dzik,
 Wkoło przestach, wkoło krzyk;
 Czylim zadrzał albo zbladł?

Teraz gdy jał szatan kusić,
 Nie lepićż to było zmusić?
 Porwać dziewczkę, zawieźć gdzie
 Djabeł nie wynajdzie sam,
 I tam rozmiłować się
 I swobodnie szaleć tam.
 Całe życie, teraz marne,
 Złać w lubości jednym śniec,
 Śnić o oczach, że tak czarne,
 I na jawie patrzeć w nie.
 Gdyby zaś kto śmiał się żalić,
 To go zrąbać, to go spalić!—
 Bo tak mogłem, bo mój stan
 Nie zna przeszkód, bo ja pan!

By wywołać wilka z lasu,
 Nie tak wiele trza hałasu.
 Gdy szlachciura marny śmiał
 Do żywego dopieć mi;
 To on wzbudził gniew i szal

To on winien żem tak chciał.—

Po co gada, na co drwi?

Lecz w ubogiej gdy komnatce
 Widzę smutne dziewczę to,
 Jak ku świętej Boga Matce
 Wznosi modłów czystych woń:—
 Czemu oko zajdzie łzą,
 Czemu zadrży męska dłoń?
 Zkąd tak nagle i tajemnie,
 Głos nieznany zabrzmiał we mnie:
 „Jak opryszek chciałeś podle,
 Dzikich pragnień tłumić zdrój,
 Na herbowem twojem godle
 Krwawy napis dodać: „zbój“
 Wszak u mego tam klejnota,
 Co to zawsze świecił wprzód,
 Stoi rzymski napis: *enota*,—
 A gdzie znamie moich enót?

I pan chodził po komnacie,
 W białym swym żupanie,
 A w obrazach co na ścianie
 Patrzy przodków szereg długi,
 Zbrojnych i w kościelnej szacie,
 Gdzie złożone znów podwoje,
 Różne bronie, różne zbroje.

Wszystko mężnych to zasługi,
Krwią je swą broczyli.
Oszczep, Piastów co pamięta,
Ku tarczy się chyli.
Tu kolczuga, tu rozpięta
Cała zbroja pod przyłbicą;
Owdzie kopja nad zbroicą.
Tam tatarski przybór cały:
Lśnią kołczany, strzały, łuki,
Tam demeszki i buńczuki
Od klejnotów połyskały.
Owdzie rzędy dwa tureckie,
Owdzie miecze tkwią niemieckie,
A przy końcu godła sławy,
Buzdygany i buławy.
Wraz pan stanął przed obrazem,
Topiąc w niego wzrok ponury.
Był to przodek jego, który
Zginał w więzach bisurmana.
I choć coraz większy mrok,
Groźna postać kasztelana
Jakby żywa, lśni żelazem;
Zda się mężny, bystry wzrok
Samym blaskiem wroga depece.
Pan odwrócił nagle lice,

Zapłonęły mu źrenice,
Znowu chodzi, znowu szepcze:

„Nadaremne moje chęci,
Próżno sercu robię gwałt,
Już nie wyjdzie mi z pamięci
Tęj dziewoi cudny kształt.
On się wszczepił w istność moję.
Jak w dębinę wrasta mech,
Ja zeń czerpę życia zdroje
I zapału święty dech.”

Stanął, pot mu z czoła ciekł,
Chwilę milczał nagle rzekł:

„Mam lirnika, który śpiewa
Cudne pieśni. Gdy nastroi
Dźwięczne struny, czy je zrywa?
A pieśń smutna lub wesoła,
Czy się przy mnie śpiewać boi?
Mam się dręczyć wciąż i smucić?!
I ja lirnik, chcę zanucić,
Jak w dziewicy białolicěj,
Co ma tęskny wzrok anioła,
Królewicz się rozmiłował.
Prawda, prawda, że to dalej
Smutku lirnik nie żałował,

Bo się krótko miłowali:
 Gdy niestały gaszek młody,
 Dziewczę kona gdzieś w klasztorze. —
 Dość mam smutku, chcę swobody,
 Więc też inną śpiewkę złożę.”

Nagle czapkę na stół ciska,
 Z oczu zamiar jakiś błyska;
 Już mu czoło namysł daje,
 Już go w pewność uśmiech zmienia;
 Lecz znów nagły cień powstaje,
 Zamyślenia czy zwątpienia.
 Cóż go trapi, coś go dąsa,
 Bo wykrzyknął, kręcąc wąsa:

„Ha! A gdyby za złe wzięli,
 To do djabła afekt bratni
 Całej młodej paranteli.
 Z mej gałęzi, jam ostatni!
 Gdyby jednak w chęci złej
 Cześnik wtedy jeszcze trwał,
 Lekceważyć gdyby śmiał:
 Hola! mimo córki twój,
 Niechno Waszmość się nie drażni;
 Aniś śnił o takiej łaźni,

Jaką bym ci sprawił, stary!
 Ja-ć karmazyn dobrej wiary!"

Do podwoi pobiegł wraz,
 Tam pacholków cały rój, —
 „Wołać Wygę!” nagle wrzasł,
 Aż wśród starych brzękło zbrój.

III.

Już na północ kury piały,
 Księżyc bujał się w jeziorze,
 Bór szeleścił, sad przy borze,
 A we środku dworek biały.
 Dalej—kilka chat, co szare,
 Tu i owdzie się rozbiegły;
 Przy nich szemrzą grusze stare,
 Słysząc młyna szum odległy.

Zatętniło nagle w boru,
 Przech płot nagle ktoś przeskoczył;
 Potem sadem zwolna kroczył
 Aż pod samo okno dworu.

A w tem oknie, co się całe
 Otworzyło, jakby czarem,
 Błysły na tle nocy szarem,

Jak dwa z kwiatów wieńce białe,
 Dwa ramiona. Potem, chwila!
 Cała postać się wychyla,
 Wiotko, giętko, bielejąca.

Lubisz brzozę, gdy płacząca,
 Ze smukłego zwiesi drzewa
 Gałęzisty strój przezroczy,
 I tak gnie się, tak omdlewa —
 Kiedy w stawie go umoczy?

Księżyc, jakby na meczecie,
 Lśnił pół-licem z za drzew ciągu,
 Jakby kształtną twarz posągu,
 W promieniste światła siecie
 Ujął białą twarz postaci.

Nocy, nocy tyś macocha
 Dla spojrzenia, co nie kocha,
 Co się zbędzić w ciżbie miejskiej
 Ułud tkanki czarodziejskiej,
 I wspomnienie jej utraci.

Lecz niech czoło twoje świeci
 Ciszy wiejskiej urokami,
 Lecz chciej darzyć twoje dzieci,
 Jakby matka, pieśczętami—
 To na cieniów twych pościeli,
 Choć wesołość sposepnieje,

Lecz się smutek rozweseli,
 A marzenie wyświećcie.
 Wychylona postać biała,
 Coś powoli zaszepiała
 Do przybysza, który w ciemnej,
 Długiej burce osłoniony,
 Jakby jaki duch podziemny,
 Stał posępny, zamyślony:

— Cóż mnie począć? mnie niewieście,
 Że wciąż smutni tak jesteście?
 Czym już niedość nagrzeszyła,
 Że szlachecka ja dziewica,
 Tylem z wami słów mówiła,
 A bez wiedzy to rodzica.
 Więc zlitujcie się nade mną,
 Pożegnajcie—to daremno!

Wy pan wielki, ja uboga.
 Tak! Wy w radość niebogaci,
 Lecz ja modłę się do Boga,
 Za cierpiących wszystkich braci —
 Więc pomodłę się ze łzami,
 Za wasz smutek, za was, bracie!
 Choć zapomnieć mnie zdołacie,
 Będę modlić się za wami.

— Łatwiej tobie znieść cierpienie,
 Lecz mnie trudniej już, Heleno!
 Nie znam ceny, którą ceną
 Można kupić zapomnienie.
 Gdy znasz sposób niepamięci,
 Nie wymodlisz mi sposobu:
 Męskie serce gdy co święci,
 To już święte mu do grobu!

I Heleny spojrzeń śledzi, —
 Ona w swem okienku stała,
 Jak kapłanka owa biała,
 Która w duszy udręczeniu,
 Kiedy pragnie myśl spowiedzi,
 Promienieje nam w sumieniu.
 To rozdrażnia, to osłania
 Tajne rany zadawniałe, —
 A oblicze ma tak białe,
 Ta kapłanka przekonania.

Jakoś smutno okiem rzucił,
 Przykrą pewno myśl odpycha,
 Nagle burkę z siebie zrzucił,
 Mówił prędko, chociaż zeicha.

—Wszak o dworskość jam niedbały.
 Czcze jej miękkie świegotanie,

Bo nie młodzik ja niestały,
 Co mu starczy lubowanie.
 Lecz w twój świętej niewinności,
 Czy twa młoda myśl ogarnie
 Całą prawdę mej miłości,
 Jej płomienie i męczarnie?
 Może pojdziesz—więc posłuchaj....

Miałem w borach mych bagnisko,
 Niedostępna gąszcza głucha;
 Stariej baszty tam zwalisko,
 Jak przeszłości smutną marę.
 Podnosiło gruzy szare.
 Nieraz gdy się gnało zwierza,
 Dobrze mając go na oku,
 To już ani rusz ogarów
 Skoro bagnisk tych dotarły:
 Tylko żarły się, a darły,
 Ale dalej jak od czarów,
 Szczuj, zabijaj—ani kroku!
 Wiejska gawiedź wciąż prawila,
 Że tam złe ma swoje leże; —
 Smutna bo też ustroń była!

Myszę: zniszczę starą wiczę.
 Ogniem strachów z niej dostanie,

W zrębie boru, na polanie,
Będzie nowe potem sioło.
Więc na staje dobre wkoło,
Sosny legły jak pokosem,
I potrójnym drzewa stosem,
Starą basztę obłożono.
Ot, postrachu było pono,
Gdy ćma puciek, nietoperzy,
Sów—frunęła z starej wieży.
Płomień bucha, i czerwoną
Wstęgą ima szare mury:
To wystrzela raz do góry,
To węzami ognistemi
Z dymem pełźnie aż po ziemi;
To spojony nagle w kupie,
W krwawym pasie, w żółtym słupie,
Wścikłym chwyta ją uściskiem,
Slizga, gnie się nad zwaliskiem;
Wreszcie wszystkie swe płomienie
Skupia w jedno rozjątrzenie.
Trzeszczą belki, rozetłone
Węgłe z wiatrem lecą wkoło;
Lecz zwalisko niewzruszone,
Śród płomieni wznosi czoło.
I ni cząstka starej wieży

Nie runęła—płomień pała,
 Płomień gaśnie;—znowu stała
 W osmolonej swęj odzieży.
 Więc żal było mi zwałiska,
 Niech zostanie, myślę, sobie;
 I nie sioło, lecz kaplicy
 Mur bielony dziś połyska,
 Jak nie biała przy żalobie,
 Złotym krzyżem przy wieżycy.

Wraz mu oczy zmiękły rzewnie,
 I zabrzmiały słowa śpiewnic.
 — Tak Heleno! Jak wieżycy
 Ocalona wśród pożaru,
 Dusza moja samotnica,
 Pośród szumu, huku, gwaru,
 Czczych uniesień grząskie gniazdo,
 Rozkicłnana i zdziczała,
 W ciągłej nocy, żadną gwiazdą
 Nicośnioną—głucho spała.
 Jak kaplica z białym murem,
 Gdzie blask krzyża słońce wita;
 Przy zwałisku tem ponurem
 Biała postać twoja świta.
 Śród grzmiącego mego dworu,

Jam się tułał, jak śród boru.
 Noc—śnieg z wiatrem w oczy szczypie,
 Sosny straszą jak zjawiska—
 Pośród sosen coś połyska,
 Może wilków chciwe ślepie.
 A wędrowiec sam, bez broni,
 Wkoło puszcza i wyboje: —
 Gdzie przyjaznej szukać dłoni?
 Gdzie pomocy! dziewczę moje? —

Cichych, kształtnych kwiatów stroje
 Pocieszają wody mętne;
 Lilji wodnej wieńce smętne,
 Na jeziora ciemnych falach,
 Jak pociechy łyż po żalach,
 Miękkie liście rozkładają.
 Gdy myśl smutna u piosenki,
 To smutniejsze pewno dźwięki,
 Co jej słowom pomagają.
 Więc wrażliwa myśl dziewczęcia
 Zrozumiała bluszczu zgięcia,
 Gdy po gruzach pnie się—szary. —
 Lecz wnet serce myśl zagłuszy,
 I powstaje w młodej duszy
 Myśl pociechy i ofiary,

Taka tęskna i tak miła,
 Jak łagodny wdzięk oblicza,
 Jako głowa ta dziewicza
 W ciemnych włosów wonnym cieniu,
 Co nie znacznie się schyliła
 Ku obliczu i ramieniu.
 Te, choć silne, nagle drżały,
 Bo w tej piersi rozuzdanėj,
 Która w żądze była chora,
 Niewinności wonie wiały.
 Tak—ciemnawa drzewa kora,
 Gdy ją powój rozkochany,
 W liście, w kwiatów strój obleje, —
 Zapachnieje, wybieleje.

IV.

— Panie! dawno piał już kur.
 Snadź dziewczątka temu gwoli, —
 Siwek czeka przy topoli,
 A kolasem cofnął w bór.
 — Więc Waśc żwawo prowadź tam,
 A w kolasie odjedź sam!
 — Co? sam Wyga? Panie Jasny,
 Nie pojedziem samotrzeci?
 To piechotą będzie szła?

— Pilnuj Waszmość skóry własnej,
Co snadź świerzbi już Waszeci.
Rób co każę, zresztą sza!

— Ależ widzę, nic przelewki,
Jasny panie! Dla téj dziewczki
Tyle marnych ceregieli!

— Jak Waś słówkiem jeszcze strzeli,
I zaprawi słówko jadem,
To, dalipan, płazem skroję
Aż się Waści przyśnią troje:
Dziad i pradziad z prapradziadem!

— Jasny Panie! śmiałybym prosić....
Jedno słówko—toć nie zbytne!

— Do stu czartów! rzekłem: dosyć! —
Bo naprawdę nosa przytnę!

Wyga żwawo poszedł wprzód,
Tylko cicho coś mamrota;
Pan za cugle konia jął,
Zapiął burkę, wskoczył, spaął,
Sunął strzałą wedle płota,
Ale potem zwolnił chód,
I zawrócił, kędy sad
Zdała w mroku nocnym bladł.

I tak długo w miejscu stał
 I wzrok tęskny wodził w dal.
 Jakby było jemu żal
 Chwil uroczych, jakby chciał
 Ciąg utworzyć wrażeń tych,
 Nieprzerwany nigdy czar;
 Bo na ustach siadł mu śmiech,
 Ten ułudny luby dar,
 Którym szczęście uczyć chce
 Tych, co mogą wierzyć w nie.

Bo choć bieda długo dręczy,
 Losu tęcza niech zaświta, —
 Niebo śmielszej nie ma tęczy,
 Jak jej wstęga różnolita.
 W chmurnej duszy, gdy połyska
 Jej barwisty łuk wspaniały,
 W świetle jego i zwaliska
 Dumniej będą wyglądały.
 A promienne światła skronie,
 Patrząc w serce co tęskniło,
 Gdy rozjaśnia to ustronie,
 Gdzie najciemniej przedtem było,
 Głos niebiański wtedy dzwoni
 Po nad tęskną, dawną ciszą,

Puchy światła, dźwięki woni,
Ciągły urok w niem kołyszą;
Śród tęzowych, kształtnych zgięci,
Szczęście wszystkie barwy zmięci:
Tam wielkości szkarłat nęci,
Tam różową miłość pieści.

Paciérz Staruszka.

Gończe złotego słońca, różana jutrzenko!
Jużes to w chatki mojej zajrzała okienko?
O, jak ślicznie z twej twarzy promień bije czysty!
Przez te młode gałązki leszczyny krzewistej!
I ty, coś tu pod belką zlepiała gniazdeczko,
Nucąc sobie, świt biały witasz jaskółeczko!
Już i ranny skowronek wdzięczny głos wydaje,
Wzbiwszy się lekkim skrzydłem na powietrzne kraje.
Wszystko ze snu głuchego przyrodzenie wstawa:
Zwilżona chłodną rosą podniosła się trawa,
Każdy się kwiat rozwija i kształt bierze żywy,
I mnie się zdaje, że mój włos odmłodził siwy.
Kiju mój! ty starości mej wierna podporo,
Prowadź mię, już bez ciebie w tym wieku niesporo.
Za tym sobie ogródkiem na wschód słońca siędę,
I łąkom się zielonym przypatrywać będę.
Lasy, pagórki, pola nieścignione okiem,
O! jak cudnym myśl błędną karmicie widokiem!

Którekolwiek mych uszu dolatują pienia,
 Wszystkie są głosem szczęścia, głosem dziękczynienia.
 Pastuszek na ugorze, ptaszek na gałęzi,
 Opiewa słodko radość, co mu serce więzi.
 Skaczą wesołe trzody po wzgórkach zielonych,
 Po dolinach czystymi strugi przeplecionych;
 Harują tłuste capy, byk się zbija z bykiem,
 Każdy huczne wesele okazując rykiem.
 Długoż, ach! długoż jeszcze, Stwórco mój łaskawy,
 Patrzeć będę na dziwne boskiej ręki sprawy,
 I świadkiem twój dobroci? Już dziewiąty schodzi
 Krzyżyk wieku, jako się w śliczną postać młodzi
 Po białej zimie wiosna, a gdy myśl skrzydłata,
 Patrząc na czas upłynny, ściga zbiegłe lata,
 I plac ów, dwoma kresy otoczony, mierzy,
 Co się między mym grobem i kolebką szerzy;
 Cała ta niezmierna perspektywa okiem,
 Dni jasnych, dni fortunnych, upływa potokiem.
 Ach! jak serce me pała, wiekuisty Boże!
 Ta radość niezwykajna, którą ledwo może
 Zająkliwy wyrazić język; te łez tonie,
 Które hojnym strumieniem bieżą po mem łonie,
 Znam dobrze, jak są małe, jak słabe podzięki
 Za wszystkie dobrodziejstwa, którem wziął z twój ręki.
 Płyńcie hojnym potokiem, płyncie oczy moje,

Wytaczajcie obfite łez rzęsiстых zdroje.
 Przeżyłem tyle latek, miło wspomnieć na to,
 Że mi wszystkie tak zeszyły, jak roskoszne lato.
 Ile dni, tyle pociech; a lubo je która
 Nagłego smutku czasem zasępiła chmura,
 Były to owe tylko krótkie drzewo-łomy,
 Co z gęstym deszczem straszne wysypawszy gromy,
 Po małej chwili nikną, a swemi przechody
 W cudniejszy kształt obloką pola i ogrody.
 Nigdy bystrego słońca bystremi pożogi,
 Nie zmniejszyły się na mych gruntach plenne brogi;
 Nigdy mróz tęgi rosłych szczepów mi nie skaził;
 Nigdy przymorek dojnych krówek nie zaraził;
 Nigdy, srogimi brzucha zmęczony przymory,
 Nie wlażł wilk krwawożerca do mojej obory,
 Ani mi kiedy tłustych baranów podławił.
 Nigdy w mój chatce długo zły wróg nie zabawił,
 Wszystko szło mi szczęśliwie, wszystko jako z płatka,
 Była bogata chatka, pocziwa czeladka.
 A któż jeszcze wyrazić radość ową zdoła,
 Gdy mię nadobne dziatki obsiadły dokoła?
 Kiedym jedne prowadząc za drobniuchne ręce,
 Uczył bezpiecznie stawiać stopki niemowlęc;
 Drugie, skacząc na łonie, z uciesznym pospiechem
 Bawiły płochą mową i wdzięcznym uśmiechem.

Teraz gdy już pod twoją opieką urosły,
 Stwórcu mój! i niepłonne owoce przyniosły;
 Ciesząc się z trosk podjętych i złożonej prace,
 Czekam, póki śmierć w domek mój nie zakołace.
 Tak właśnie rosły moje najmilsze pociechy,
 Jako oto te gruszki, oto te orzechy,
 Com je przed laty, by mi skwar letni nie wadził,
 Około chatki mojej we dwa rzędy sadził.
 Teraz gdy roztoczyły szerokie ramiony
 Mam z nich w jesieni owoc, mam w lecie zasłony.
 Ty sama, ty trosk moich, ty żalów jedyną
 Stałaś się, ukochana małżonko, przyczyną;
 Tyś bieg radości trwałych, niestety przerwała,
 Gdyś mi z oczu w podziemne kraje uleciała.
 Pomnę, ach pomnę, kiedy przy ostatnim zgonie
 Złożyłaś na pół martwą głowę na mem łonie,
 Kiedym struchlałą ręką oczy twe zawięrał,
 I z tobą razem z srogich frasunków umierał.
 Już to dwunasta wiosna mija od tej daty,
 Jak twój grób łzami zlewał, i sypę nań kwiaty;
 Lecz wkrótce dzień wesóły, dzień przyjdzie fortunny,
 Co me kości położy obok twojej trumny;
 A te serca, co w ślicznej wiek spędziły dobie,
 I po śmierci spoczywać będą w jednym grobie.

A. Naruszewicz.

Dészcz, to wicher, to pogoda;
Już nastała jesień święta,
Rozplakana, uśmiechnięta,
Jak do ślubu panna młoda;
To posępna, to wesoła,
Jako dumki mego czoła.

Pieśń dożynek naród śpiewa,
Echo płynie uroczyście,
Po nad pola, po nad drzewa,
Po nad krzewy żółto-liście;
Rzewna nuta gra dokoła,
Jako dumki mego czoła.

I nastały ciemne noce,
Strach ogarnia tajemniczy,
W okna chatki wicher grzmoce,
A na dworze pies skowyczy,
Puchacz z mogił smutnie woła,
Jako dumki mego czoła.

A jednakże lirnikowi
 Dziś swobodniej niżli wiosną,
 Jego bracia żywi, zdrowi,
 Jego piosnki grzmiały rozgłośno,
 Lecą z końca w koniec sioła,
 Jako dumki mego czoła.

W takt skowronka i słowika,
 W cieniu leszczyn, wedle źródła,
 Śpiewał wiosnę, która znika,
 Śpiewał miłość, co zawiodła;
 Krew mu kipi, ledwie zdoła
 Wysnuć dumki swego czoła.

Dziś skąpany we łzach szczerze,
 Ziemięj snuje swe piosenki,
 Spokojniejsze takty bierze,
 Pod jesiennych wicherów jęki,
 A nie zgadli ludzie zgoła,
 Zmiany w dumkach jego czoła.

Lecz on czuje ton swój zmienny,
 Bicia serca bacznie słucha,
 I przeraża go kamienny,
 Martwy, spokój jego ducha.

„Wróćcie do mnie, wróćcie—woła,
„Wrzące dumki mego czoła!”

Zawiedziony od współbraci,
Nie o siebie on boleje,
Lecz się lęka że utraci:
Miłość, wiarę i nadzieję;
W nich miał stróża, w nich anioła
Pięknych dumek swego czoła.

W. Syrokomla.

HYMN DO SŁOŃCA.

Witaj monarcho świecących się światów,
Witaj na niebios uroczystem łonie!
Pod tobą złote rozléwa się błonie,
Za tobą cieką strumienie szkarłatów.
Gdzie stąpisz, duchy z rozkazu Jehowy
Niosą twe berło i tron bursztynowy.

Skoro wschodowi złote przypniesz skrzydła,
I skroń podniesiesz z bogatą koroną,
Świat ukrzepiony targa nocy sidła,
Sen spycha z oczu i duch bierze w łono;
Firmament lica smutne wypogadza,
Ocean groźne wody ułagadza.

Jeleń twym blaskiem bieży złocić rogi,
Wąż zimne piersi na szczyt niesie drzewa,
Delfin perłowe na dnie rzuca drogi,
Orzeł piórami w obłoki powiewa;

Ziemia zielona białe spija rosy,
Grają barwami opalu niebiosy.

Wszystko ożyło: król świata zawitał,
Jego świtaniem każdy twór zaświtał,
Niebios muzyką drży śmiertelnych dusza,
Zda się myśl jedna, świeża, światem wzrusza;
Ale te hymny dziękczynne po globie,
Komu brzmią? słońce, czy Panu, czy tobie?

Olizarowski.

SZCZĘŚCIE POETY.

Ach być poetą! czy wiesz dziewczyno,
Co to poetą być znaczy?—
Jest to mieć wszystkie skarby bogaczy,
Rządzić cudowną, boską krainą,
Jakiś król żaden nie miał na ziemi,
Która ze szczęścia, z cudnej mądrości,
Z wielkiego czucia, z nieskończoności
Stwarza się siły własnymi!

* * *

Ach być poetą! jest to być razem
Wszystkiem co żyje pod niebem, w niebie,
Kropelką rosy, iskierką, głazem,
Świat cały przedzierzgnąć w siebie.
Światu wielkiemu dumnie panować,
I gwiazdy nocy, poranku zorze,
Ciche strumienie, wzburzone morze,
Według swój woli kierować!

* * *

Ach! być poetą, to ducha cudem
 Czas niedościgły ująć w swe szpony,
 Powieścią wieków zedrzeć zasłony,
 Hymnem przyszłości nucić przed ludem.
 W jednej godzinie przywłaszczyć sobie,
 Długiego życia innych wrażenia,
 Pierwsze o szczęściu młodych marzenia,
 I myśl ostatnią starców o grobie!
 Być męczennikiem za świętą wiarę,
 Aniołem stróżem małej kołyski,
 Rycerską dłonią rzucać pociski,
 Albo kapłańską spełniać ofiarę;
 Nie być mężczyzną, nie być kobietą,
 Prawem, co ludzie mylnie zakreśla!
 Lecz być pojęciem, uczuciem, myślą!
 Dziewczyno — to być poetą. —

* * *

Jeżeli ci się ujrzyć zdarzy
 Łzę w mem oku, smutek w twarzy;
 Jeżeli w życia podróży
 Mówić ci kiedy będę:
 Że mi się czas już dłuży;
 I zmęczona usiędę
 Na spoczynek przy drodze,
 I żalom puszczyć wodze,

I skarżyć będę okrutności losu
 Patrząc na współwędrowców, moich towarzyszy,
 Z których żaden nie usłyszysz
 Mojego głosu,
 Ani głosu natury, ani Stwórcy świata,
 Co woła wiekiem nędzy do przyszłego wieku,
 Że dla człowieka w człowieku
 Nie stworzył sługę, lecz brata.

*

*

Jeżeli na widok zepsucia,
 Które się szerzy dokoła,
 Szyderstwem stępie uczucia,
 Pogardą nagina czoła
 Trony myśli, któremi prawda się tak szczyci,
 Że one tylko być mogą
 Czystem zwierciadłem enocie,
 Aż je zepsucie pochwyti,
 Nikczemną zdepcze nogą —
 I zanurzy w swoim błocie. . . .
 Jeżeli na obraz nędzy, tęsknoty,
 Złego nad dobrem przewagi,
 Nicniejszej obłudy, grubiej ciemnoty,
 Zbraknie mi w sercu odwagi;
 Jeżeli beczynnici opuszczę ręce,

I szalem dzikięj rospaczy,
Najczystsze szczęście ducha poświęcę,
Za podłą roskosz bogaczy;—
Wtenczas ty siostrę pociesz, dziewczyno!
Orzeźwięj, pokrzep na sile;
Choć jady złego do serca wpłyną,
Bądź ku dobremu podniętą,
Wspomnij jej tylko, że przez trzy chwile
I ona była poetą!
Tak jest — raz pierwszy gdym poetą była,
Dokoła się majowa łączka zieleniła,
Jak szmaragdowe jezioro;
Na łączce kwiateczków sporo,
Złote jaskry i konieczyna różowa,
A dalej w cieniu lasku,
Modrą wstążką po złotym piasku
Czysta rzeka płynęła,
I cały obraz ścisnęła,
Niby przepaska godowa.
Ja szczęśliwa, wesoła
Biegałam po łące,
I zrywałam dokoła
Kwiatki woniejące,
I pytałam ich ciekawie:
Co one mówią do siebie,

Gdy słońce błysnie na niebie,
 Lub gdy blada twarz księżycy
 Cienie nocy im oświeca,
 Lub gdy w dzień był upał wielki,
 A niebo rosy kropelki
 Wieczorem sieje po trawie;
 Pytałam—kwiatki wszystkie z kolci,
 W cudne pieśni zagrały,
 I w imie szczęścia, w imie nadziei,
 Swoją mnie siostrą nazwały. —

* * *

I byłam kwiatkiem co na łące rośnie,
 Wonnem powietrzem wiosny oddycha,
 Co się tak mile uśmiecha wiosnie
 A wiosna jemu uśmiecha.
 Promień słońca mię pieścił,
 Karmił deszczyk perłowy,
 Wietrzyk w listkach szeleścił,
 Rozpędzał czarne chmury,
 Dźwięcznemi gwarzył słowy
 Coś o cudach natury,
 Coś o świata wielkości,
 O Bogu, o miłości!
 A ja piękniej przystrojona,
 Niżli szatą Salomona,

Co go w dzień chwały okrywa,
 Ja, rosy szczęścia mając dostatek,
 Słuchając pieśni, byłam szczęśliwa,
 Byłam szczęśliwa jak kwiatek!
 Lecz poetom obszar łąki zbyt mały,
 I w duszy inna myśl błyska,
 U ramion dwoje skrzydeł wytryska—
 Ja z kwiatka orzeł, lecę nad skały,
 Lecę daleko, lecę wysoko.
 Słońce się z orła śmiać chciało,
 Orzeł mu spojrział dumnie oko w oko —
 Słońce się w obłok schowało.
 Ja dalej lecę, gdzie burz siedlisko;
 Silnemi szpony rwę czarne chmury,
 Zdziwiony piorun widząc mnie blisko,
 Musiał ustąpić! Chybkiemi pióry
 Ja wyżej lecę — aż tam gdzie chciałam
 Lot mój wstrzymałam!
 Spojrzę na dół,—przepaść ciemna,
 Tylko bystre orła oczy
 Widzieć w niej mogą,
 Jak kulistą drogą
 Brudna, mała, nizezemna
 Ziemia się toczy;
 Ziemia me dawne mieszkanie!

Wzrok smutny lecz hardy,
 Litości i wzdargy,
 Przez gęste chmury,
 Rzuciłam do niej na pożegnanie,
 Potem się wzniosłam do góry!
 A com widziała wyżej od siebie,
 A ilem szczęścia czuła odrazu,
 Na to pod niebem nie ma wyrazu,
 To tylko powiem braciom orłom w niebie!

* * *

Potem raz trzeci zmiana istoty
 Czucie i myśl mą odmienia:
 Kwiatka rokosze, orła poloty,
 Zakułam w łono kamienia.
 „Kamień nie czuje” ludzie powiedzą,
 O nie wierz ludziom, dziewczyno!
 Żyły kamienia iskrami płyną,
 Choć ludzie o tem nie wiedzą!
 Byłam kamieniem: ni mędrca oko,
 Ni wichru szwały, ni burzy wycie,
 Nie wyśledziły skrytej głęboko
 Jasności ognia w granicie.
 Ja gład dla innych a światło sobie,

Całej przeszłości zebrałam wątek,
W grób zakopałam a na tym grobie
Strzegłam świątyni pamiątek.
Tam z przeszłych złudzeń wszystko co było
Uciechą kwiatka, orła wielkością,
Wszystko pod zimny pomnik się skryło,
Przed burz północnych wścickłością.
Bo ja z nawałnic, ja z burz się śmieję:
Czyż to mnie piorun rozkruszy?
Czyż mi wyszarpią mroźne zawieje
Tajemnicę świata z duszy?
Oh nie! ja wichur przetrzymam w biegu,
Twardsze od twardych gromów mam czoło;
A chociaż śniegi spadną wokoło,
Pierś mam zimniejszą od śniegu;
Tylko że pierś ta innym ukrywa,
Tlejącą iskrę dawnych omamień.
Więc po raz trzeci byłam szczęśliwa,
Byłam szczęśliwa jak kamień!!!

Narcyza Gabryela Żmichowska.

F A R Y S.

(KAROLA BALIŃSKIEGO.)

O! i ja kiedyś byłem Farysem!
Lecz czy wy wiecie co Farys znaczy?
Ha! niech step mówi swoim opisem!
Olbrzyma — olbrzym niech wytłomaczy.
On tylko jeden prawdę wam powieć,
Jemu więc wiercie jak Koranowi.

„Farys” — step mówi — „to dziecię moje!
To duch tęsknotą nieba trawiony,
Zesłany tutaj na ciągłe boje,
Na ciągłych pragnień żar nieczgaszony!
A tak mu trzeba nieba i słońca,
Że tylko za niem pędzi bez końca.

I nic go w pędzie wstrzymać nie zdoła,
 Ani uroczej cienie oazy,
 Ni beduinka głosem anioła,
 I blaskiem oczu miłszym sto razy.
 Prózne pokusy! bo tacy gońce
 Kochają tylko niebo i słońce!”

Więc jam był gońcem i gońców bardem:
 Cudneż to było to nasze grono,
 Z tą myślą wiecznie w słońce zwróconą,
 I z tem ramieniem młodzieńcem, hardem,
 Co krawędź nieba z krawędzią świata
 Sili się spoić, wierząc, że zbrata!...

Patrzcie! tam wkoło piaszczyste wzgórza,
 Niby umyślnie słane mogiły —
 Czasem się z głębi skielet wynurza:
 Spytaj tych kości — czem one były?
 Ha! to mogiły Arabistanu!
 To tylko ślady stóp uraganu!

On to Farysów pochłonał w sobie,
 Pochłonał żywcem braci kochanych!..
 Jam tylko jeden został na grobie,
 Na grobie gońców już zapomnianych!

Czy to jest łaska — czy kara nieba?
Allah żyć kazał — więc żyć potrzeba.

Jak młode orle z złamanem skrzydłem,
Co się już nigdy w niebo nie wzniesie —
Życ — życiem gadu, gnuśnem, przebrzydłem,
W tych smutnych murów ciasnym zakresie!...
Ha! próżne żale! śpiewaj pajaco!
Tylko zabawnie, bo nie zapłacą.

O! wieczna hańbo! wieczna sromoto!
Ja — Farys, piewca z niebios natchniony!
Pieśń mą na ziemskie przestrajać tony,
Pieśń mą sprzedawać muszę za złoto!
By czem okupić cię cudzej strzechy,
By zgłuszyć z nędzy szydzące śmiechy!..

Oni nie wiedzą, że wieszczą pienie
Jest jako słońce na niebios sklepie,
Co na wszechwładne Boga skinienie
Świeci wędrowcom błędzącym w stepie:
A przecież słońcu nie płacisz za to,
Że cię zbawienną poi oświatą.

Oni nie wiedzą, że piewcy śpiewy,
 Jak ów dziewiczej ogień miłości,
 Co za niebiańskie swoje wylewy
 Nic, nic nie żąda, prócz wzajemności.
 Sprzedawać miłość — hańba kobiecie!
 Sprzedawać śpiewy — hańba poccie!)

Przecież tą hańbą wlekę dziś życie!
 Allahu! jakże dręczysz mnie srogo!
 I jeszcze nieraz ktoś niby skrycie,
 Niby po cichu powie: „za drogo”.
 Za drogo — mówisz? powiedzże, bracie —
 W jakiej wy cenie życie sprzedacie? .

Bo słuchaj! pieśń ma — to cząstka życia;
 Tam jest krew moja! tam są łzy moje!
 I mego serca pospieszne bicie,
 I uczuć moich, i myśli roje!
 A każdą żeby dostać, wyjawić,
 Muszę wprzód serce mocno rozkrwawić!...

Więc cóż? za drogo? — O! bądźcie szerszi!
 Gdyby wam przyszło życiem frymarchyć,
 Jak ja, pelikan, rozrywać piersi,
 By krwi za cenę złota dostarczyć:

W jakiejżby cenie była kropelka
 Krwi, lub łzy waszój, choćby niewielka?

Męczarnia wieszczą w chwili tworzenia —
 To boleść matki w chwili porodu:
 Ile wlał życia do swego płodu,
 Tyle wziął życia z swego istnienia;
 Ile on pieśni dla was utworzył,
 O tyle kroków grób swój przysporzył!..

Czasem, w dodatku, słyżę oklaski,
 Szczere, czy zwodne — wszystko mi jedno!
 Znam tych błyskawic przelotne blaski,
 Znam ich gruntowność i trwałość biedną!
 Wasze oklaski! — toć to szyderstwo!
 Wasze pochwały! — toć to bluźnierstwo!

Gdy syn rozpaczłą pięścią kołacze,
 W grób, co mu drogą matkę ukrywa,
 Czem nie mówicie, że pięknie płacze?
 Czem nie mówicie, że z czuciem śpiewa?
 Jak ta łza syna na matki grobie,
 Też samą szczerością śpiew mój ma w sobie.

A więc schowajcie marne pochwały,
 Gdy pieśń ma święta jako łyż syna!
 Nie takie wieńce wieszczom przystały:
 Wieszcz takie wieńce depece, przeklina!
 Duch jego wielki i wiecznie młody,
 Innój, o! innój żąda nagrody!

Nagroda piewcy — to cisza owa,
 Święta, urocza, z której odgadnie,
 Że w duszach wielki zamiar się chowa,
 Co kiedyś światu zagrzmi wszechwładnie;
 Cisza, co mówi — że ziarno wschodzi,
 I myśl-kwiat, wkrótce owoc-czyn zrodzi.

Nagroda piewcy — to te spojrzenia,
 Co świecą całym duszy wulkanem,
 Krótkie, mileżące dłoni ściśnieniam,
 Z westchnieniem długo w piersi stłumianem,
 I owa chmura cieniąca czoła,
 Z której połyska miecz Archaniola.

To mi nagroda!... jam ją odbierał!
 Wkoło mnie stali bracia Farysy,
 Każdy pieśń moję sercem pożerał,
 Pieśń ma wnikała w ich twarzy rysy,

W krew tych serc wielkich, w ich myśli gniazdo,
 Lśniła im w drodze przewodnią gwiazdą.

Farysy znikli! głucho na stepach!
 A w stepie życia, och! smutniej jeszcze!
 Czasami tylko wiatr zaszeleszcze,
 Dmąc po wywianych czaszek czerepach...
 On wszystko wywia!... wszystko przewiało,
 Co było cnotą, prawdziwą chwałą!...

O! i mnie pora spocząć w mogile!
 Zasnąć snem braci błogosławionych;
 Aż kiedyś, kiedyś, za męczarni tyle,
 Gdy głos Allaha budząc uspiomych,
 Na swoje rajskie zwoła ogrody,
 I ja niebiańskiej doznam nagrody.

W tym boskim raju, w tem siódmym niebie,
 W waszej ojczyźnie, o! prawowierni!
 Allah mnie wielki wezwie do siebie,
 Zdejmie mi z głowy ten wieniec z cierni,
 I zmiję tyłą krwi przesiąkniętą —
 Wyrwie mi z serca pamięć przekłętą.

I najcudniejsze zwoła dziewice,
 I rzeknie: „Służcie jak padiszachu!”

I ja nie spojrzę nawet w ich lice,
 Ale z pokorą powiem: „Allahu!
 Jam tylko prawdy szukał na świecie,
 A taką miłość znajdez w kobiecie?!”

Nie chcę hurysy choćby piękniejszej
 Od tej, com niegdyś kochał na ziemi;
 Lecz ja nie gardzę dary Twojemi,
 Ja tylko łaski błagam pełniejszej:
 Za wszystkie, wszystkie Twoje hurysy.
 Niech wstaną moi bracia Farysy!

I pozwól, pozwól choćby na chwilę
 Zstąpić nam jeszcze w nasz kraj cyprysów,
 I w dawniej naszej młodzieńczej sile,
 Pobujać orlim lotem Farysów,
 I piersi dawnem orzeźwić biciem
 I dawnem naszym zabłysnąć życiem!”

Allah wysłuchał!... Wnet grzmiące głosy
 Wystraszą w głębi śpiących tygrysów,
 I okrzyk szczęścia buchnie w niebiosy!...
 Widźcież raz w życiu polot Farysów!
 Może wam wówczas, biedne robaki,
 Przyjdzie ochota do jazdy takiej.

STAROŚĆ DUCHA.

W każdym ustach żal młodości,
W każdym sercu chęć jej zwrotu,
Pory szczęścia i miłości,
Ognia myśli, ducha lotu.

Lecz czyż słońce południowe
Mniej ogniste niż u wschodu?
Czyż gdy do snu skłania głowę,
Mniej ma blasku i obwođu?

A duch, światło, co nie gaśnie,
Promień słońca przedwiecznego,
Miałby stygnąć przez to właśnie,
Ze ogniska bliższy swego?

Miałby słabnąć razem z ciałem,
On! którego cel na ziemi :
Wzrósć i zmódz się życiem całym,
By się zrównać z niebieskimi?

O! kto w młodych dniach zapału,
Prawdy pańskiej słów usłucha,
Serca nie da w służbę ciała,
W świata wiarę pojmie ducha;

Duch takiego nie starzeje.
I gdy ciało, plewa marna,
Kruszy się w proch i niszczeje, —
Rośnie w niebo jak cedr z ziarna.

A. E. Odyniec.

MODLITWA.

Improwizacja.

W szczęściu jestem szczęściem samem,
W cnocie wytrwania potęgą,
W cierpieniu pociech balsamem,
W grzechu poprawy przysięgą.

Bóg się w swem istnieniu błogiem
Nie modli, bo w żadnym niebie
Nie ma wyższego nad siebie.
I dla tego też jest Bogiem.

Anioł z pochyłonym czołem
Wiecznie zachwycon w pokorze,
Bez modlitwy żyć nie może.
I dla tego jest aniołem.

Człowiek z każdym stanem, wiekiem,
W cierpień lub radości kole,
Modli się gdy chce, ma wolę —
I dla tego jest człowiekiem.

Szatan wszystko wie, rozumie,
Ale coś mu jest nieznanem:
Modlitwę odrzuca w dumie,
I dla tego jest szatanem.

Deotyma.

ROZMOWA WIECZORNA.

I.

Z Tobą ja gadam, co królujesz w Niebie,
A razem gościsz w domku mego ducha.
Gdy północ wszystko w ciemności zagrzebie,
I czuwa tylko zgryzota i skrucha,
Z Tobą ja gadam! słów nie mam dla Ciebie,
Myśl Twoja, każdej myśli mej wysłucha;
Najdalej władasz, i służysz w pobliżu,
Król na Niebiosach, w sercu mem na krzyżu.

I każda dobra myśl jak promień powraca
Znowu do Ciebie, do źródła, do słońca,
I nazad płynąc znowu mię ozłaca.
Ślę blask, blask biorę i blask mam za gońca;

Każda dobra chęć, Ciebie zbogaca,
 I znowu za nią płacisz mi bez końca.
 Jak Ty na Niebie, Twój sługa, Twe dziecię,
 Niech się tak cieszy, tak błyszczy na świecie.

Tyś król, o cuda! i Tyś mój poddany!
 Każda myśl podła, jako włócznia nowa,
 Otwiera Twoje niezgojone rany,
 I każda chęć zła to gąbka octowa,
 Którą do ust Twych zbliżam zagniewany.
 Póki Cię moja złość w grobie nie schowa
 Cierpisz, jak sługa panu zaprzędany.
 Jak Ty na krzyżu, Twój pan, Twoje dziecię,
 Niechaj tak cierpi i kocha na świecie.

II.

Kiedym bliźniemu odsłonił myśl chorą,
 I wątpliwości raka, co ją toczy,
 Zły wnet ucieczką ratował się skorą,
 Dobry zapłakał, lecz odwracał oczy.

Lekarzu wielki! Ty najlepiej widzisz
 Chorobę moję, a mną się nie brzydzisz!
 Gdym w obec bliźnich dobył z głębi duszy
 Głos przeraźliwszy niżli jęk cierpienia,
 Głos wiecznie grzmiący w piekielnej katuszy,
 Cichy na ziemi — głos złego sumienia!
 Sędzio straszliwy! Tyś ogień rozdmuchał
 Sumieniu złemu — a Tyś mnie wysłuchał!

III.

Gdy mnie spokojnym zowią dzieci świata,
 Burzliwą duszę kryję przed ich okiem,
 I obojętna duma jak mgły szata,
 Wnętrzne pioruny pozłaca obłokiem;
 I tylko w nocy — cicho — na Twe łono
 Wylewam burzę we łzy roztopioną.

M.

M A D R O Ś Ć.

Ktokolwiek całe życia powaby
W samych dostatkach pokłada —
Błądzi mem zdaniem, i umysł słaby
Więcej niż rozum nim włada.
Ja ile ze mnie, tych tylko w życiu
Chciałbym nazywać szczęśliwych,
Co przy rozumie, a miernem byciu,
Wolni od troszek zgryźliwych.

Cóż jest to złoto, które tak mocne
W ludziach pragnienie podnieca?
Pewnie do zdrowia jest im pomocne,
Albo im w nocy przyświeca.
Jest prosta ziemia, lecz za niecnotę
Bóg chcąc nas pono ukarać,
Tak wielką do niej wlał w nas ochotę,
Że o nią musim się starać.

Już i przestrzenie morzów głębokich
 Ułomną łodzią zbiegamy,
 Skryte pod niebem Andów wysokich
 Śnieżne wierzchołki zwiedzamy.
 Z wieków nietknięte indyjskie niwy,
 Kolumbus pierwszy splądrował,
 Mniej baczny, czy gdzie Bóg sprawiedliwy
 Końca zuchwalstwa nie schował.

Nie chcę ja skarbów, co tam za niemi,
 W życiu nie znając pokoju,
 Przewraca murzyn wnętrzości ziemi,
 Oblany we krwi, lub znoju ;
 Bo któż przy kupach potężnych złota
 Dozna prawdziwej swobody?
 Nie zasłoniły złociste wrota
 Krezusa, ni liczne grody.

Ów, co chwalebnie stem grodów władał,
 Kreta go cała wielbiła,
 Lubo z Bogami za stoły siadał,
 Śmierć go zarówno zgładziła.

Mądrość jest sama, Mądrość bogini,
 Szczęściu ludzkiemu przyjazna,
 Kto się polecił do téj świątyni,
 W życiu ten smutku nie zazna.

Widokiem śmierci nieustraszony
 Ateński mędrzec spoczywał,
 Mało pamiętny, iż naznaczony
 Moment dekretu przybywał.
 Ni śmierci widok, ni wzrok tyrana
 Cnoty prawdziwej nie zmaże:
 Mądrość, im bardziej prześladowana
 Tem się wspanialszą ukaże.

Niech kto chce ołtarz fortunie stawia,
 Ja się jej darem nie nęcę;
 Mądrość i cnota mię tylko bawi,
 Tym życie moje poświęcę.

Kajetan Węgierski.

(Tomasz Kajetan Węgierski, urodz. r. 1755, za czasów panowania Augusta III, ze znakomitej rodziny na starym Podlasiu, szambelan króla Stanisława Augusta, † 27 Kwietnia 1787 r. w Marsylji.)

P A J A K.

Pająk się Matce Boskiej sprzeciwia:
Bo chociaż ona przędzie tak cienko,
On cieniiej snuje swoje krosienko,
I w srebrne barwy jaśniej oszkliva. —
Więc nie grzech zabić pająka.

Lecz pająk wieszczek: po srebrnej sieci,
Z rana nieszczęścia zwiastować leci;
A gdy wieczorne godziny wieją,
Wróżbita złotą cieszy nadzieją —
Więc szkoda zabić pająka.

A pająk muzyk: na gruzach gości,
I starym grodom z bratem słowikiem.
Promieniejącej barwy językiem,
Kwili gdzieś w kątku dumki przeszłości —
Więc żal zabijać pająka.

A pajak prorok: w złocistej sali,
 Na brudnej przędzy pierś swą kołysze,
 I szarym kłębkim po ścianie pisze
 Baltazarowe: „Bóg cię obali” —
 Więc strach zabijać pająka.

A pajak kapłan: kraty osłania,
 Więźniów pociesza, urny zaprzędzie,
 I z trupich główek tęczą dobędzie
 Po hymnach śmierci, hymn zmartwychwstania —
 Więc grzech zabijać pająka.

A pajak mędrzec: gdy mu sicć zmiotą,
 W nadziejach piersi swęj nie rozleni,
 Ale ze starych serca promieni,
 Wnet rzeczywistość uplecie złotą —
 Jak nie iść w ślady pająka?...

Antoni Czajkowski.

SAMOTNOŚĆ.

Kto myślą niespokojną wiecznie do gwiazd lata,
A sercem oderwany od ludzi i świata,
Uciekłszy na pustynie, albo skał urwiska,
Pogląda jak z ich szczytu strumień w dół się ciska;
Lub gdy go wyobraźnia ku niebu wybiła,
Za szybkim orła lotem chciwy wzrok posyła:
Taki nie jest samotnym, on mową milczenia
Toczy szczytne rozmowy z duchem przyrodzenia!
Lecz ten, kto otoczony towarzystwem ludzi,
Ich obłudą pogardza, pochlebstwem się nudzi,
I z własnymi myślami wieczne tocząc boje,
Nie ma serca, przed którym mógłby wylać swoje,
Nie ma istot, któreby z rajskiem uniesieniem
Mógł nazwać przyjaciela, kochanki imieniem:
Ten prawdziwie samotny: — wśród świata a przecie
Wszystko, wszystko dla niego umarło na świecie. —

Konstanty Gaszyński.

DWIE PIASTUNKI.

Od kolébki, tylko, tylko
Comi przeczołgał kilka lat,
Już mnie rzuca jedną chwilką
Matka, idąc w inszy świat.
I zostawia chłopię młode
Na wygodę, niewygodę.

O już w on czas główka mała
Przędła wdzięcznych widów róż,
Co żądała, nie żądała,
To se pletła w senny zwój;
Złatywała myśl nieboga
To od Boga, to do Boga.

Raz sennemu tak, przypadło
Dwoje dziewic, białych róż,
Jak widziadło, nie widziadło;
Przy nagłówku stały tuż. —

Jak do matki, ku nim kłonię,
Jednej dłonie, drugiej dłonie.

I spierały się dziewice,
Która dziecko niańczyć ma:
„Ja mu dam śmiejące lice,
Niechaj zbytek, szczęście zna.
I myśl jego się pobrata,
To ze światem, to do świata”.

„Puszczaj siostró, rzece druga,
Puszczaj rączkę, w malcu tym
Budzić rokosz, nie posługa
Ni to jemu, ni to im.
Ja go wniańcze w ostre bóle,
Wniańczę w dolę i niedolę”.

A mówiła taką twarzą,
Tak jej oczy zaszyły łzą,
Tak się w niej cierpienia skarżą,
Że mi ku niej piersi drżą.
Żem się rzucił cały pono
Na jej łono, i w jej łono.

W on czas zdala, znikła, znikła
 Druga postać w jasnym tle,
 A mnie smętność tak niezwykła
 To do główki, to w pierś ssie,
 Bo zostałem z własnej woli
 Dzieckiem doli i niedoli.

Odtąd niańka zazdrośnica
 Zaszczepiała dzień i noc
 Bolesć w serce, smutek w lica,
 Słabość ciała w męską moc.
 Urabiała Bóg wie na co
 To ladaco, na ladaco.

Czasem, czasem z za obłoku
 Zapromieni drugiej twarz,
 To ja lecę, lecz w wyskoku
 Już, już tęsknię, Boże skarż,
 Za tą pierwszą zapłakaną,
 Tak mi znaną i nieznaną.

Lecz cóż robić, mówcie sami?
 Kiedy tak mi lubo z łzami,
 Kiedy serce jak koń w cwale
 Rzuca pianą w cierpień szale,

I z swą raną tak swawoli,
Że nie boli to, co boli.

Lecz cóż robić? kiedy żale,
Co się skąpią w zdroju łez,
To tak wonią okazałe,
Jak lilja, róża, bez,
I siostrą ci są i bratem,
I są kwiatem i nie kwiatem.

Darmo, darmo siły krzepię,
Darmo szarpę, widzi Bóg,
Już méj dłoni nie odczepię
Od jej szyi, od jej nóg.
Bo w méj drodze jest sąsiadką,
W życiu matką i nie matką.

Raz wyrwałem się niebodze,
Och! był to weselny dzień,
Bębny biły mi po drodze
Wpóśród huku, wpóśród grzmich,
Zdało mi się... tylko zdało,
Bo się rwało i urwało.

I straciłem raz na zawsze
 Do mej chatki rodnej szlak,
 Na rozstajne, na najkrwawsze
 Drogi wbiegłem jak ten ptak,
 Co go w klatkę pchną sokoły,
 Niby wesół, nie wesoły.

Ach! raz znowum, na domowym
 Progu zdybał szczęścia zdrój,
 Usty, sercem niejałowem
 Usłyszałem: twoja, mój;
 I uciekłem w krąg zameżcia
 Przed nieszczęściem, od nieszczęścia.

I wypchnąłem mą piastunkę
 Za dziesiąte, siódme drzwi,
 I oddałem jej skarbunkę
 Pełną łez i pełną krwi;
 I rzekłem jej: to ostatnie
 Łzy me bratnie i niebratnie.

Gdzie tam!... przyszła do podwoi,
 Do znajomych sobie wrot,
 Tuż przy łożu żony stoi,
 I rozacza chorób splot,

A szczęście mnie pożegnało
Trumieneczką jedną — małą.

Ha! cóż robić, piastuj sobie
Ulubieńca, piastuj wciąż,
To w żałobie, to w chorobie,
Mocnem pętem k'sobie wiąż.
Ej strzcz! bo ci się wyśliznę
Z téj mielizny, w głąb', w mieliznę.

Dominik Magnuszewski.

(Dominik Magnuszewski, urodz. 1810 r. we wsi dziedz. Ustanowie koło Warszawy, z Jacka i Marji; uczył się w Liceum i Uniwersytecie Warszawskim do 1831 roku następnie mieszkał i ożenił się w Galicji, † 1845 r.)

MILOŚĆ KOBIECY.

T
Raz mi mówiono, że są tu na ziemi
Białe anioły z skrzydłami białymi,
Które gdy wezmą w poświęcone dłonie
Serce człowiecze, to je drogą świata
Po nad kałuże, błota i przepaści
Niosą bezpieczne, czyste, nieskalane,
Promieniem bożej myśli rozjaśnione
I tchnieniem bożej miłości ogrzane!
I jam się pytał gdzie anioły takie?
A przy mnie wtedy matka moja stała,
Włos rozgarniała, czoło całowała
I rzekła tylko — tam synku maleńki
Gdzie jest kobieta która kocha ciebie.
O prawdę — prawdę matka powiedziała,

Bo tam jest anioł, tam ciche dni życia,
I pokój serca i myśl tam w niebie,
Gdzie jest kobieta, która kocha ciebie;
Miłość kobiety, to świętość i cnota,
Szczęście i siła, mądrość i natchnienie!
Miłość kobiety, to pierwsza pieszczota,
Co biedne dziecko na tej ziemi wita!
To pierwsza kropla pokarmu i życia,
Które niemowlę w głodne usta chwyta.
To pieśń twój matki, którą ci klęcząca
Przy twój kolebce, na uspienie nuci;
Miłość kobiety — to błogosławieństwo,
Rada i wsparcie, które ci Bóg daje
Na długą podróż przez nieznane kraje,
Po śliskich ścieżkach złych i dobrych losów,
Miłość kobiety — to z twą siostrą młodą
Wspólne marzenia i długie rozmowy,
O twój przyszłości, o zamiarach twoich,
O tej nadziei młodzieńczego serca;
Co ci spełnienie twoich czynów wróży,
A w którą ona tak ufa, tak wierzy,
Że kiedyś może ty już wątpić będziesz,
A ona jeszcze wierzyć nie przestanie.
Miłość kobiety — to ręka podana

W chwili złych myśli i pokus szatana,
To wzięte wszystkie z głębi twojej duszy
Chęci szalone, żądze niespokojne,
Namiętności nasienia zdradliwe,
I pierwej nim się w truciznę rozplenią
Nim święty serca skalają przybytek,
Nim przejrzą czysty ducha twego płomień,
Pierwej chryzmatem uczucia święcone
W szczęściu wyrosłe i w enocie wszczepione.
Miłość kobiety — to nagroda twoja
Przy trudnej pracy męskiego zawodu.
To przy rodzinnem ognisku kapłanka,
Błogich dni życia i uciech domowych,
To głos radości co na progu wita
Wracającego zpośród obcych ludzi,
To białe ramie, które szyję twoję
Okraży słodkiej pieczyoty objęciem
Kiedyś znużony i wierzyć przestajesz,
Że jeszcze takie serca są na świecie,
Które ci żywszem sercem odpowiedzą,
Gdy ręka twoja do nich zakołata,
Gdy wołać będziesz przyjaciela, brata,
To są te usta co powiedzą wtedy:
„Przebac i kochaj, bo jesteś kochany”.

To jest ta losu niemyślność jedyna,
Co gdy świat cały błotem cię zarzuci,
Gdy ty sam nawet skłóćisz się z sumieniem,
Ona ci jedna zostanie, i zawsze
Przychylnie dłonie ku tobie wyciągnie,
I przed niechęcią ona cię otuli
W śnieżysty rąbek swój szaty niewinnej,
I przed zgryzotą ona cię osłoni
Własnego serca boleścią i łzami.
I przed występkiem ona cię obroni
Swoją świętością i swemi prośbami.
Ty ku niej idąc — złe drogi porzucisz,
Ty za nią idąc — znów do nieba wrócisz.
Miłość kobiety — o! ja z darów bożych,
Niech sobie tylko ten jeden uproszę:
Ja będę wielki, cnotliwy i święty,
Samolubnego zrzeknę się starania
O własne zyski, o własne rokosze!
Ja znajdę w sercu do poświęceń siłę,
Wiele dobrego bliźnim moim zrobię,
I wiele złego bez szemrania zniosę
Pobłogosławię tym co kląć mi będą,
Uścisknę rękę, która cios mi zada,
Otrę łzę każdą lub razem zapłaczę

Z każdym kto innęj nie chce mieć pociechy.
Wesprę, oświecę, ukocham, przebaczę!
Zapomnę siebie — lecz niech o mnie święta,
Niech kochająca kobieta pamięta!! —

Narcyza Gabryela Żmichowska.

DO NASZYCH DZIEWIC.

Dziewice nasze! niebios posłanki,
Anioły stróże w walkach żywota,
Pochodnie w ciemniach, użuć kapłanki,
Spojrzcie jak burza w koło się miota;
Do czynu śmiało! podajcie dłonie,
A pójdziem walczyć w cierni koronie.

Dziewice nasze! co słowy swemi
Zwiewacie chmury z młodości czoła,
I ciernie życia na ojców ziemi
W kwiatki zmieniacie siłą anioła.
Śmiało do pracy! śmiało do czynu!
Na skroń dziewiczą rwać liść wawrzynu!

Lecz nie wam chwała we krwi przelewie,
 Nie dla was rządzić ludami świata! —
 Nie dla was walczyć,— bo w naszej dziewie
 Bóg chciał umieścić miłość dla brata,
 Miłość dla cnoty, dla ojców ziemi,
 Coby blaskami lśniła cudnemi. —

Dziewice nasze! wesołe, tkliwe,
 Gdy swym urokiem serca zajmiecie,
 Złociste kłosa pokryją niwę
 Naszego życia; a w zimnym świecie
 Zapłoną ognie miłości, wiary,
 I blask rozleją na ziem obszary!...

Gdzie szal zwątpienia wstąpił do duszy,
 Rzućcie nadzici błogie marzenie,
 Nim rozpacz resztę siły zagłuszy,
 Powstaną słabi, zwalczą cierpienie,
 I ten co marnie w nicości drzymie,
 Ducha ofiary do serca przyjmie!

Na wasze „stań się” świat się odrodzi,
 Serca ożyją, duch zolbrzymieje,
 Wam uroczyście przysięgną młodzi,
 Raz już odwieczne spełnić nadzieje. —

Tak w imie waszej świętej miłości
Odetchnie życiem szkielet ludzkości. —

A wtedy cześć wam po dni istnienia,
I chwała dla was po wszystkie wieki,
Lecz śmiało dzisiaj! wy do natchnienia
Pobudźcie serca; — wy cierpień rzeki
Pochłońcie ogniem miłości waszej,
Pięknej, ognistej, miłości laszej. —

A. Dominowski.

(Lubo nie jest zadaniem klejnotów umieszczać nigdzie
niedrukowanych poezyj, chętnie jednakże robimy wyjątek;
i wyjątek ten z chęcią powtórzym, jeżeli na to okoliczno-
ści pozwolą.) —

SIELANKA MŁODOŚCI.

I.

Panna była prześliczna, z błękitnych jej oczek
Zaledwie że pietnasty uśmiechał się rozek.
Panicz równy jej wiekiem, bywał nieustannie
W jej domu — i z roskoszą siadywał przy pannie;
Znosił koszycki kwiatów i jagódek pełne,
Pomagał zwijać w kłębki włóczkę i bawełnę, —
Nad rysowaniem *wzorków* strawił nie raz dzionek!
Grywał z nią w *gotowalnię*, w *mruczka* i w *pierścioneł*;
Przyjaźnił się z jej bratem, grzecznie mówił z matką,
A pannie tysiąc fraszek opowiadał gładko.
Lecz często, kiedy czulszém ośmielon wejrzaniem,
Chciał wyznać jakim dla niej rozgorzał płomieniem,

Wnet mieszał się, głos tracił i słów mu nie stało,
 Tak pod szkolnym mundurkiem biedne serce drżało!
 Raz przecież postanowił bądź co bądź wypadnie,
 Oświadczenie miłości wyrazić jej ładnie.
 Lecz zamiast arcydzieła, co tak długo składał,
 Rumieniać się oświadczył.... że deszcz będzie padał!
 Panna miała dla niego zawsze wzroczek słodki.
 Gdy on przy niej, — to ciągle piosunki i chichotki, —
 A kiedy przez czas jakiś nie widać panicza,
 To jej coś jakby smutek wyglądał z oblicza;
 Siadała przy krosienkach, nie mówiąc i słówka
 I skarżyła się mamie, że ją boli główka!
 Tak żyli blisko siebie, jak na cichej łące
 Skryte w cieniu dwa drobne fijołki woniące, —
 A w okół ich krążyły w domu szeptów roje,
 Że się panicz i panna kochali oboje!

*

*

Była to pierwsza miłość niewinna, mileżąca,
 Święta, — jak przed ołtarzem lampa gorejąca, —
 Bez zalotnych uśmiechów, bez słówek ponętnych,
 Bez wyrzutów zazdrości i przysięg namiętnych!

Ale gdy się ich oczy napotkały razem,
 To wnet Ignęły do siebie jak magnes z żelazem,
 Radeby tak pozostać przez miesiące, — lata, —
 I tak patrzeć ku sobie..... do skończenia świata!
 O! bo ich dusze, zbiegłe po źrenic promyku,
 Wiodły czułe rozmowy w bezsłownym języku.
 A wrzących uczuć potok tajonych tak długo
 Przeciekał z serca w serce niewidzialną strugą,
 I tworzył im ocean — po którymby chcieli
 W łódce o złotych wiosłach pływać jak anieli!
 Lub jak samotna para śnieżystych łabędzi
 Kołysać się na falach, gdzie je wiatr popędzi —
 I żyć zdala od brzegów..... do skończenia świata!
 — Tak im błogo schodziły różane ich lata.

II.

Raz w cieniu lip przed dworem, w jesiennym poranku,
 Młody panicz i panna, rozmawiali w ganku
 O pogodzie, o słońcu, — a potem o zgonie
 Prześlicznego jaśminu co uschnął w wazonie; —
 Potem o czemś weselszem — o zwyciężkięj walce
 Kota Filusia z psami — a w końcu o lalce.

Bo zapomniałem wspomnieć, że śród pogadanki
 Panna stroiła lalkę dla młodej krewnianki, —
 Gotów był cały ubiór od stóp aż do głowy:
 Trzewiczki, — biała suknia, — kapelusz różowy
 I fartuszek niebieski jak modniarki oczy; —
 Brakło tylko na główce pukłów i warkoczy.
 Zkąd wziąć ich? — Łatwa rada, — Z uśmiechem pustoty
 Panna zdjęła z grzebienia ciemnych włosów sploty,
 Westchnęła nad ofiarą — zgrzytnęły nożyczki —
 I upadł lśniący kosmyk u stóp ofiarniczki.
 O! jakże była piękną, gdy po szyi białej,
 Tych brunatnych pierścieni fale się rozlały,
 I spadając na piersi kaskadą ogromną,
 Stroiły w czar zalotny tę postać tak skromną!
 O! była to syrena, albo nimfa grecka,
 Lecz z czystością anioła i szczerotą dziecka!
 Panicz patrzył milczący, gdy drobne jej palce
 Ciemne loczki nad czołem przypinały lalce,
 A kiedy już warkoczyk splotła do połowy,
 Znów wrócił do przerwanęj przed chwilą rozmowy,
 Dowodząc, że to szkoda i myśl desperacka,
 Dawać tak piękne włosy na dziecinne cacka;
 Że lalce na nic skarb ten nie może się przydać,
 Bo pod kapelusikiem warkocza nie widać!
 A wzrokiem mówił czulęj: „Jest ktoś przy twym boku,

„Co o takiej pleciance marzy już od roku,
 „Coby o ten podarek na kolanach zebrał,
 „Coby go kosztem życia z cudzych rąk odebrał,
 „Jak cudowny talizman na piersiach umieścił,
 „Biciem serca kołysał, całunkami pieścił!”
 Panna patrząc z pod oczka, choć pracą zajęta,
 Zrozumiała zapewne nieme argumenta,
 Bo jej lica rozkwitły purpurowym blaskiem.
 Wtém okno od salonu otwarło się z trzaskiem,
 I głos matki się ozwał: „Chodźno moja rybko!”
 Panna rzuciła wszystko i pobiegła szybko.

* * *

I sam Katon by upadł w tych pokus przepaście,
 Zwłaszcza gdyby się kochał i miał lat szesnaście!
 Nasz panicz, nowy Tantal, widząc koniec męki,
 Zostawioną plecionkę do drżącej wziął ręki.
 Był sam, — żadne go śledcze nie trwożyło oko,
 Więc do ust ją przycisnął i westchnął głęboko;
 Ale gdy zaczął tonąć w morzu zadumanek,
 Panna jak żyży ptaszek znów wbiegła na ganek,
 Ocknął się pomieszany, — lecz czuł że w tej chwili,

Los przyjazny ku niemu szalę szczęścia chyli;
 Zebrał całą odwagę — a miał jej nie dosyć —
 I rzekł skromnie: „Ja chciałbym... panią .. o coś prosić”.
 — „O cóż?” — „O podarunek”. — „Dał mi pan frasunek,
 „Bo trzebaż jeszcze wiedzieć jaki podarunek?”
 — „Zaręczam że ta sprawa nie skończy się sprzeczką,
 „Niech tylko pani powie maleńkie słóweczko:
 „Daruję!” — „No, daruję!” z uśmiechem odrzekła.
 On pokazał plecionkę, — ona raka spickła,
 Zdziwiona, przerażona, drżąca przed nim stała,
 Cofać słowa nie śmiała, — a może nie chciała;
 A panicz wyczerpnąwszy cały zasób męztwa,
 Zamilkł, — jakby się wstydził zdradnego zwycięstwa.
 Dopiero gdy ich oczy spotkały się razem,
 I zlepily się, zrosły, jak magnes z żelazem,
 Zabrzmiały w strunach serc ich zmarłe w ustach dźwięki:
 Wyrzuty, — przebaczenia, — skargi i podzięk, i
 I przysięgi karmione a tajone w łonie:
 Wierności aż do zgonu, — wierności po zgonie!
 ...I znów zaczęli mówić o słońcu, pogodzie
 I o ślicznym jaśminie co uschnął w ogrodzie, —
 Potem inne, weselsze toczyli rozmowy,
 Lecz o lalki warkoczu nie było już mowy.

Któż był kiedy szczęśliwszym, dziwnych zdarzeń zbiegiem:
 Czy Alexander Wielki po nad Indu brzegiem?
 Czy Cezar, gdy bogowie na błoniach Farsali
 Z tryumfem nad Pompejem rząd świata mu dali?
 Napoleon, gdy pragnąc uwieńczyć swe plemie,
 Ujrzał syna dziedzica w rzymskim dyademie?
 O! nie! — radość zdobywców dumna a zwodnicza,
 Nie może się porównać z radością panicza! —
 On marzył, że się w niebie z aniołami brata,
 Że dzierżąc promyk włosów, dzierży berło świata!
 Panicz rad był i wesół i humor miał złoty,
 Cały dzień sypał żarty i broił pustoty,
 Uśmiechał się, przymilał, — jakby chciał do łona
 Wszystkich ludzi przycisnąć w braterskie ramiona.
 Panna uradowana miała wzroczek słodki,
 Po całym domu brzmiały piosnki i chichotki —
 Aż matka powtórzyła raz, drugi i trzeci:
 „Jakże się też to dzisiaj rozigrały dzieci!” —

III.

Trudno zmienić bieg rzeczy na ziemskim padole;
 Panicz, choć dziarski młodzian, był studentem w szkole,

A panna rówienniczka w siedmnastym roku,
 Wyrosła na kobietę, tak pełną uroku,
 Że aż w najdalsze strony rozbiegły się wieści
 O tej nieporównanej urodzie niewieściej!
 Niebawem też gość obcy, nieznany nikomu,
 Pojawił się znienacka w rodzicielskim domu.
 Był to pan, już niemłody, lecz grzeczny, układny,
 Posiadał zacne imie i majątek ładny;
 Przywiózł list polecalny od krewnych jejmości,
 I zaczął prawić pannie tysiąc uprzejmości!
 Ojciec po krótkich zwiadach wykrzyknął radośnie,
 Że z takim zięciem honor jego domu wzrośnie,
 Że to partya wyborna; — a matka dodała,
 Że córka przy pieniądzach będzie szczęście miała!
 Spisano kontrakt, — gości zjechało się wiele, —
 Odbył się ślub, biesiada i huczne wesele;
 Potém wsiedli do kocza, — stangret trzasnął z biczu,
 I uniósł w kłębach kurzu złoty sen panicza.

.
 Panicza, który zdala — wśród murów stolicy
 Nieświadomy o niczym — przy szkolnej ławicy
 Czas wolny od nauki na marzeniach trwonił,
 Za modremi oczkami tęskną myślą gonił,
 Licząc, że za sześć niedziel znów je odzobaczy;
 — Gdy wieść ślubu nań padła jak piorun rozpaczy!

IV,

Czy panna kornej córki pełniąc obowiązek,
Przyzwoliła bez gwałtu na ten nagły związek?
Czy w białych ślubnych szatach, pod mirtowym wiankiem,
Popłakała choć chwilkę za młodym kochankiem?
Trudno wiedzieć; — bo panicz po tych burz przebyciu,
Już jej nigdzie i nigdy nie napotkał w życiu.
Znikła, gdzieś aż w dalekie uwieziona Tatry —
Zgasła jak droga perła w czarze Kleopatry!
Lecz panicz zaznał wówczas mąk najsroźszych pickło,
I wiele łez mu gorzkich po licach przeciekło, —
Gdy zamiast marzeń jego postaci uroczej,
Czarne widmo nieszczęścia zajrzało mu w oczy!
Wybladł, znędzniał, jak gdyby chorobą złamany;
A po nocach układał najszałeńsze plany:
Rzucić szkoły, iść pieszo w nieznajome strony,
Dopóki nie odnajdzie swojej ulubionej, —
Wyrwać ją z rąk tyrana, z pod strażników tłuszczy,
Osiedlić się we dwoje na bezludnej puszczy,
Ulepić chatkę z gliny, otoczyć ogrodem,
I żyć z nią korzonkami, owocem i miodem!
To znów myśl mu straszniejsza do mózgu się wdziera...
— A właśnie miał pistolet i czytał Wertera! —

Szczęściem że i *Ołtarzyk złoty* czytał co dnia,
I czuł, że samobójstwo to hańba i zbrodnia!

.
Tak wiara i zajęcie około prac dziennych,
Spędzały szal wylęgły wśród nocy bezsennych,
A czas, zwolna lecz ciągle niósł mu ukojenie,
Zmieniając rozpacz w smutek, — a smutek w spomnienie.

V.

W rok dopiero — choć jeszcze cierpieniem nękanym —
Nawiedził panicz dworu sąsiedzkiego ściany.
A że bawiąc w gościnie, twarz posepna, grzechem,
Musiał więc łzy obsłaniać kłamanym uśmiechem,
A słuchać opowiadań jak córka szczęśliwa!
Jakie zięć ma intraty za wełnę i żniwa!
Ile w stajni rzy koni słynnych krwią i rasą,
I jakie trzody owiec po halach *) się pasą,
— Kochankowi, poccie, — dawano do picia
Kropelka po kropelce, wszystką prozę życia!

*) Hala, pastwisko w Tatrach.

Ten dom, który mu dawniej był niebem malutkiem,
 Który witał z radością, a opuszczał z smutkiem, —
 Dokąd z dali myśl jego tęskliwa i cicha
 Biegła, jak złota pszczołka do lilji kielicha, —
 Ten dom, z całym pamiętek przeszłości zasobem,
 O! jakże mu się wydał pustynią i grobem!
 W ogrodzie, tak jak dawniej krocie było kwiatków —
 Lecz panicz próżno szukał dwóch modrych bławatków,
 Które tu — w błogich chwilach miłości zarannej —
 Wykwitały ku niemu, z ciemnych rzęsów panny!
 W kłębach, tysiące ptasząt kwiliło wśród drzewek,
 Lecz nie było w tym chórze tego ptaszka śpiewek,
 Którego on się tyle w tych miejscach nasłuchiwał —
 Co tak słodko szczebiotał, tak ponętnie gruchał!
 O! dla innych dziś oczu, modrzały bławatki!
 A ptaszek może zamilkł wśród złoconej klatki!
W ganku, w domu, w ogrodzie, — tylko się wznosiły
 W smętarzu jego szczęścia, zmarłych snów mogiły!
 Więc je żegnał westchnieniem i łzawą powieką....

 I wkrótce los go poniósł daleko.... daleko!

VI.

O! stare to już dzieje!... W dalszych długich latach,
 Ów panicz stąpał częściej po cierniach niż kwiatkach.

Niejedna odtąd miłość namiętna lub czuła,
 Upoiła go szczęściem, — smutkami zatruiła!
 I poznał serc niewieścich balsamy i jady,
 Anielskie poświęcenia — i piekielne zdrady, —
 Bo na ścieżce żywota w ciągłym niepokoju
 Pił do syta z cierpkiego doświadczenia zdroju.
 Przecież dotąd — w panicza poranioném łonie
 Niewygasy wspominek młodych uczuć płonie;
 Burza światowych wichrów, dotąd nie rozwiała
 Tej woni, — która niegdyś duszę mu zalała.
 Pierwsza miłość niewinna, cicha i milcząca,
 Święta, jak przed ołtarzem lampa gorejąca!

Dziś samotny wędrowiec po szerokim świecie,
 Gdy go boleść duchowa lub cielesna gniecie,
 Szukając ulgi mękom, o! ileż to razy
 Wywołuje pamięcią przeszłości obrazy —
 I marzy jak mu było hożo i radośnie
 W niepowrotnej, w różanej, w złotej życia wiosnie!
 Jak po szkolnych mozołach, powracał z uciechą
 Na wiejski wypoczynek, pod rodzinną strzechą.

Jak konno pędził w pola, z fuzyjką po borach;
Jak jeździł po pokrewnych i sąsiedzkich dworach,
Jaki czuł zachwyt, urok i raj nieustanny,
Gdy rumieniać się patrzył w modre oczki panny!
Gdy niczego już więcej nie pragnąc od losów,
Tulił do ust i serca plecionkę jej włosów;
Gdy żyli blisko siebie, jak na cichej łące
Skryte w cieniu, dwa drobne fijołki woniące! —

Konstanty Gaszyński.

ZAMKI NA LODZIE.

Tyle szczęścia co człek przećni,
Tyle życia co jest w pieśni;

W. Pol.

I.

Mam ja wioseczkę, w wioseczce dworek,
Stodoły, śpichrze, lasek i borek,
Ogródek, łąkę, a na téj łące
Polne kwiateczki, ziółka pachnące.
W ogrodzie mnóstwo jabłoni, gruszy,
Gdzie spojrzysz śliwa w owoc się puszy,
A co tam malin! Boże mój Boże!
Niby dziewczęta krasne i hoże.
Jest i altanka i ławka z darni,
Krówki w oborze, owce w owczarni,

A letnią porą moje zagony
 Złocą się zbożem na wszystkie strony,
 A w moim stawie ryb co niemiara.
 W pasiece pszczółek za chmarą chmara.
 A mam i wzgórze gdzie suchsza strona,
 Na niem co jesień lśni winne grona;
 A z mego okna od strony drogi,
 Widać jak ludek snuje się mnogi,
 Jako przechodząc gaik lipowy,
 Przed Matką Bożą odkrywa głowy.
 A z mego okna od strony rzeki,
 Widać pagórków łańcuch daleki,
 Jak wschodzi słońce, jak za jutrzrenką
 Snopy brylantów ciska w okienko.
 Ej! moja wioska jedna z tysiąca,
 Mlekiem i miodem ziemia płynąca.

*

*

*

Tak marzył młodzian w lichęj izdebce,
 Słuchając złudzeń mary zdradzieckiej,
 Cieszył się z rajy, o którym szeptem,
 Choć goły jako święty turecki.
 Lecz gdy marzenie duszę zapali,

Człęk zapomina co w sercu bodzie...
 I młodzian pragnąc, budował dalej
 Niebo na ziemi, zamki na lodzie!

II.

Nie mi nie braknie, nie, co się zowie!
 Kłopot nie zbieli włoska na głowie,
 A wszystko piękne, a wszystko moje;
 Jaki gancezek! co za pokoje!
 Jeden niebieski jak niebo jasne,
 W kwiecistym błogo po pracy zasnę,
 W zielonym biórko, biblioteka,
 Doborem książek wabi zdaleka.
 W dzikim, myśliwca porządek wszelki,
 A w saloniku co za mebelki!
 Jakie obrazy! umysł i oko
 Zachwycą pięknem, myślą głęboką.
 Nie mi nie braknie!.. nie?... eh! niepowiem...
 Czasem tęsknica cięży ołowiem,
 Mój raj przybiera postać żałobną,
 I Adam w swoim tęsknił podobno...
 Do mego państwa braknie królowej,
 Z nią tu i urok przypłynie nowy,

I już nie smutno będzie we dwoje....
 A kocham! kocham śliczną dziewczynę!
 Jej czystą duszę, jej ciemne oczy,
 Jej śnieżne czoło w wieńcu warkoczy,
 Anielski uśmiech, różane lica,
 Dobroć co serca korzy, zachwyca,
 Oh! ona gwiazdą świeci nademną,
 Niosąc w promieniach miłość wzajemną....
 A jest bogata,.. ma pono krocie....
 Lecz ja nie nie chcę! co mi po złocie?
 Mam ziemię mlekiem, miodem płynącą
 Czyż nam kłopoty spokój zamącą?
 Ja pragnę skarbu co w duszy płonie....
 Hejże! Walenty! zakładaj konie!
 Trza się oświadczyć: — z pomocą Bożą
 Przywieziem żonkę śliczną i hożą!

* * *

Tak marzył młodzian,—głowa mu pała,
 W piersi coś żwawo huczy, kołata,
 Panna go znała.... lecz nie kochała,
 Bo on ubogi, ona bogata.....
 Lecz w ogniu marzeń, serca ze stali
 Topnieją, jako śnieg w wiosny wschodzie....

I młodzian pragnąc, budował dalej
 Niebo na ziemi, zamki na lodzie!

III.

Już mi tęsknota znika żalosa,
 Witaj dziewico! świeżaś jak wiosna,
 W twoim uśmiechu niebo się śmieje,
 W twojem spojrzeniu szczęścia nadzieje.
 Niech twym powabem oko popieszczę,
 Podaj mi rączkę.... i drugą jeszcze....
 Oh! ty mnie kochasz! to ja nie marzę.....
 Wzrok twój i wierzyć i kochać każe.
 Uchodź z zimnego zbytów siedliska,
 Tu wielkość dławi, przymus uciska,
 Tu i natura, ta matka święta,
 W nielitościwe karby ujęta.
 Drzewa strzyżone jak w matniach zbrodnie,
 Niewolno rzece płynąć swobodnie;
 Obce się kwiecie pod szklami plemi,
 Żałując swego słońca i ziemi.
 Tu krzew zamorski jak karzeł rośnie,
 Wydarłszy miejsce lipie i sośnie.
 Zamiast słowika, rój papug gwarzy,

Ni swojej świty, ni swoich twarzy.
 Tu niewiadomo którądy droga,
 Rzewnej modlitwie do Pana Boga!
 Pójdź! ja mam wioskę, rząd białych chatek,
 Są i rokosze, jest i dostatek,
 I swobodniejszy oddech dla piersi,
 I wszystko swoje i ludzie szczerzy,
 Oddaj mi duszę..... w zamian ci złożę
 Co tylko miłość wymarzyć może!
 Patrz!... tu gra idzie... tam w sali tańczą,
 Podłoga runie pod tą szarańczę.....
 Tu do butelek cisną się zgrają,
 Tam kłamią przyjaźń..... tu obmawiają....
 Ot! po tej stronie swobodniej nieco,
 W cichej rozmowie chwilki ulecą.....

*

*

*

Tak marzył młodzian. — Inaczej wcale
 Marzyła panna o tej godzinie;
 Ona dumiała o karnawale, —
 Gdzie lekkim tańcem znowu zasłynie?
 O milionerze, co wdzięki chwali,
 O licznych hołdach, o nowej modzie;

A nasz młodzieniec budował dalej,
 Niebo na ziemi, zamki na lodzie!

IV.

Życie nam w szczęściu błysnie różowo,
 W cichej wioszczce będziesz królową,
 Gdzie szczere serca, gdzie ludzie prości,
 Zstąpisz jak anioł czci i miłości.
 Co rano w pole konno wylecę,
 Ty w gospodarstwo spojrzysz kobiece,
 A gdy powrócę pracą znękany,
 Rzucisz na chwilę domowe ściany,
 Do wrot wybiegniesz tęsknotą zdjęta,
 Podasz z uśmiechem drobne rączęta,
 I w twym uścisku, przy twojém łonie,
 Strudzoną głowę rokosz owionie!
 Potém w ogródku odetchniem razem,
 Bożej przyrody cudnym obrazem:
 Drzewa cię w hołdzie cieniem osłonią,
 Kwiaty otoczą wdziękiem i wonią,
 Listki szclestem hymn ci ułożą,
 Słowik piosenkę zanuci hożą,
 Potém w czytaniu chwilka uleci,

Posłuchasz co tam gwarzą poeci
 O złudzeń świecie, o trosk zagubie,
 (Bo choć mam wioskę, wierszyki lubię....)
 Z dumki co czoło smutkiem zachmurzy,
 Zbudzą mnie twoje usteczka z róży;
 Ludzka niedola gdy zakłopotą,
 To mię ukoi twoja pieśniczota;
 Pójdziem oboje kędy łzy ronią,
 Ponieść pociechę sercem i dłonią,
 W tobie siermięga czucia nie zgasi,
 To siostry nasze, to bracia nasi!

Tak marzył młodzian;—ale dziewicę
 Marzenie innym wieńcem oplata;
 Ona dumiała... że zagranicę
 Wartoby jechać z początkiem lata.....
 Stary adonis zamiar pochwali.....
 A ma miljony i mitrę w rodzie.....
 Tymczasem młodzian budował dalej
 Niebo na ziemi, zamki na lodzie!

V.

Hejże Walenty! hejże przeklęty!
 Razno omijaj wzgórki, zakręty!
 Głaśnij wąsiska, palnij z biczyska,
 Poganiaj siwki, niech piana pryska,
 Jakby na skrzydłach niechaj zawiodą
 Do naszej wioski żoneczkę młodą!
 Patrz mój aniele, patrz kochaneczko,
 Tam po za mostem, tam po za rzeczką,
 Widzisz kościołek; krzyż Zbawiciela
 Promieniem chwały w niebiosa strzela.
 A nieco dalej staw się krysztali,
 Czółenko sunie po jasnej fali,
 A tam na lewo gdzie wzgórze trzecie,
 Dworek się bieli w kłębów bukiccie.
 To nasz zakątek, to wszystko twoje,
 Wieniec swobody, roskoszy zdroje,
 Cisza, współczucie, cześć, dola złota.....
 Hejże Walenty! huczno we wrota!
 Stój!!!...

Wicher zawył, szyby zabrzękły,
 Spłoszone widma prawdy się zlekły,

Świeca zagasła, cisza dokoła.....
 Zerwał się młodzian, otarł pot z czoła,
 Stał jak marmur na marzeń grobie,
 I rzeczywistość przypomniał sobie.....

Jutro mu gwiazda złudzeń umiera,
 Dziewica idzie za milionera,
 Nie myśląc wcale o uczuć chłodzie,
 Zaślubi skarby i mitrę w rodzic;
 Pojutrze frunie z nim do Paryża.
 Tam się wesele..... tu cię przybliża!

* * *

„Ah! — jęknął młodzian z sercem zbolełym,
 „To było marzeń roszkowne kwiecie,
 „Czemuż w złudzeniu nie skamieniałem,
 „Śniąc o radości, wierząc jak dziecię?
 „Zegnam cię szczęście!... myślą zuchwałą
 „Krażyłem w niebios jasnej pogodzie,
 „Wiatr wionął — spadłem... cóż mi zostało?
 „Senne wspomnienia, zamki na lodzie!”

VI.

Jeszcze, oh! jeszcze duszo młodzieńcza,
 Póki kwiat marzeń zmysły uwieńczy,

Póki przelotnie w sercu się plemi,
 Jeszcze nie żegnaj szczęścia na ziemi.
 To co igraszką zdaje się marną,
 Te światy złudzeń co mózg ogarną,
 Wdzięczne obrazki co ci się roją
 Za upragnieniem, za myślą twoją,
 Nieraz ci będą jedną osłoda,
 Prawdziwych bólów co duszę bodą!

* * *

┌ Szczęścia, oh! szczęścia! świat cały woła,
 Wielcy i mali, mądrzy i prości,
 Jaką ma postać? człeka? anioła?
 Kwiatka paproci? laurów mądrości?
 Gdzie się ukrywa? jaka doń ścieżka?
 Czy po przymusie? czy po swobodzie?
 Ot! może szczęście prawdziwe mieszka
 . W pieśni, w marzeniu... w zamkach na lodzie!...

Jan Chęciński.

KWIAT PAPROCI.

Jest ziele, — ziemia żywi je nasza,
 Kwitnie tajemnie w dzikiej ustroni,
I wszystkie inne kwiaty przygasza,
 Cudnością blasku, pięknnością woni;
Lecz piękniej woni, cudniej przyświeca,
Życie młodziana, miłość kobięca.

Kto w Świętojańskiej zejdzie je nocy,
 Uszczknie w kwitnieniu, wszystko posiędzie;
Bogactwa świata są w jego mocy,
 Wszystko ukryte widnem mu będzie.
Przecież bogatszy, komu zapłonie
Miłość prawdziwa w kobiety łonie.

„Ha! kwiat paproci! to urojenie!”

Wołają z śmiechem uczonych krocie.—

Przecież lud wierny w kwiatu istnienie

Wierzy i szuka w serca prostocie.

Jak lud nasz w paproć, tak młodość płocha

W kobiecą miłość wierzy i kocha. —

O! i jam kiedyś wierzył z zapalem!

Dziś, jam się rozstał z wiarami memi,

Bo też grzech kochać, jak ja kochałem

Boską miłością stworzenie ziemi.

Lecz wy, o! bracia! stali w dążeniu,

Kochajcie, wiercie,— szczęście w złudzeniu.

Karol Baliński.

W A R J A N T.

(Z pieśni gminnej.)

Odżyła sosna, zakwitła kalina,
Rozpękła brzoza wiosnę przypomina.
„Wiosno ty, wiosno!—powtarzają w koło—
„Jak oczom miło, jak sercu wesoło!”
—Grzech pozazdrościć, lecz Boże mój! Boże,
Jak ten szczęśliwy kto wiosnę czuć może!
Bracia! ja wiosnę podziwiałbym z wami,
Ale ja świata nie widzę za łzami.
Chciałbym odetchnąć, lecz zaparte łono,
Jak gdyby piersi kamieniem tłoczono;
Zielone moje łąki i pastwiska,
Krzewiste zboże na morgach połyaska,
Lecz w sercu chwasty żal, duszę rozrywa,
Nie bierze chętką do kosy i żniwa.

Poszedłbym w pole świtającym dzionkiem,
By się pomodlić razem ze skowronkiem,
Lecz słaba ręka pługą nie udźwignie,
A w zaschłych piersiach modlitwa zastygnie.
Siadłbym na konia i leciał jak strzała,
Boleść-by może z wiatrem uleciała.
Próżna ochota, bo w nieszczęsnej dobie,
I koń mój dzielny zesmutniał przy żłobie;
Gdy go dosiędę, zwolna się pomyka,
Jak obciążony trumną nieboszczyka.
Ludzie wy, ludzie! w szczerym rozhovorze,
Niech ja się spłaczę, niech duszę otworzę.
Lecz mowa smutna, zgorzkniała i sucha,
Odstrasza ludzi i nikt jej nie słucha. —
Ojczy mój, ojczy! poradź mi w niedoli,
O matko moja, jak mnie serce boli! —

Wł. Syrokomla.

PIEŚŃ O KRUSZWICY.

Gdy dumne piaski suchą nawałnicą
Pędzą na Gopło, ty czułem wały
Bronisz jezioro od rzeszy zuchwałej,
Strażniczko Gopła, **Kruszwico!**

Gopło cię ściga jakby oblubieniec
I w dłoni strojnej srebrną rękawicą,
Z wysp szmaragdowych podaje pierścieniec
Małzonko Gopła, **Kruszwico!**

Nieraz żeglarze szum Gopła podchwycą,
I w modlitewne ułożą piosenki;
Twe echo w niebo posyła te dźwięki,
Kapłanko Gopła, **Kruszwico!**

Gopło twe stopy otacza skarbnicą,
Złotem swych rybek i swych muszli tęczę.
Schylone fale drząc przed tobą klęczą,
Królowo Gopła, Kruszwico!

Gopło, to ołtarz ulany w kryształ, w
Na jego brzegach kwiaty kadzielnicę;
Nad nim się wznosisz jakby posąg biały,
Bogini Gopła, Kruszwico!

Deotyma.

CHWILA — ŁZA.

Co za rajska noc, o Boże!
Co tam blasku i uroku!
Niebo bez plamki obłoku,
Jak ciche błękitne morze.
Gwiazd miliony, barw tysiące,
Jak gdyby rozbite słońce
Rozsypało się po niebie.
Cała ziemia śniegiem biała,
Brylantami mrozu pała,
Drugie niebo ziemia cała,
Ściągnęła niebo do siebie.
A co życia, a co ruchu!
Roją się w krąg tłumy ludzi.

Uciecha uciechę budzi:
Zewsząd śmiechy, śpiew, okrzyki,

Wszędzie wrzawa, niby w uchu
Pełnem wesołej muzyki.
A tu takie pustki, cisze!

Ciemną izbą ogarnięty,
Mam tylko za towarzysze
Głuche ściany, martwe sprzęty.
Światło nocne oknem wbiegło,
Jakby zabłąkane w drodze,
Wbiegło, zląkło się i legło
Bładym trupem na podłodze.
Zrywam się, wzdłuż domu biegnę,
Może gdzie życie postrzegę
I nadmiar mego dam komu;
Darmo! sam ja w całym domu;
Tylko na każdym zakręcie
Bije w twarz chłodne dmuchnięcie
Wiatru, szpiega moich kroków, —
Staję, natężam w krąg ucho,
Cisza, — tylko w piersi mroków
Puls zegaru bije głucho.
Darmo, darmo tutaj śledzić
Myślą, uchem i oczyma;
Nikogo, nikogo nie ma,
By mi z serca wypowiedzieć

Co za noc! w czyjebym serce
 Obraz tej nocy mógł złożyć,
 Aby go kiedyś otworzyć
 W odmłodzonych lat iskierce,
 Słowem wspomnienia tkliwego!

Jak ten wieczór, tak mi biega
 Najpiękniejsze i wieczory
 I poranki życia mego,
 Wszystkie dnia i roku pory,
 Tak się w sercu wypalają,
 Tak mi w duszy wymierają,
 Najdroższe serca wzruszenia,
 Najświętsze duchy natchnienia,
 Najwdzięczniejsze i najkrwawsze;
 Tak się smucę, tak się bawię,
 Tak mi we śnie, tak na jawie;
 Sam i sam, zawsze i zawsze!

Przyjdą kiedy dni łaskawsze,
 By bliźnę życia zagoić,
 Dług nieszczęścia zaspokoić?

Mnież-to, mnie nagrody roić?...
 Tyle takich strat doznałem,

Że niema, niema sposobu
Nagrodzić ich życiem całym
Na tej stronie mego grobu.
Tam dopiero dobry Boże,
Gdzie trzeba płaczem sumienia
Dokupywać się zbawienia,
Straty moje we łzach złożę,
A Ty, zapłacisz mi za nie;
Być-że mogą przewinienia,
Którychby w obliczu Pana
Odkupić nie była w stanie
Taka chwila we łzę zlaną,
Łza tak czysta, nieskalana?

Seweryn Goszczyński.

ŻYCZENIA.

Gdyby orłem być,
Lot sokoli mieć!
Skrzydłem orłem i sokolem
Unosić się nad Podolem
Tamtém życiem żyć!

Droga ziemio ta!
Myśl cię moja zna,
Tam najpierwsze szczęście moje,
Tam najpierwsze niepokoje,
Tam najpierwsza łza! —

Tambym noc i dzień,
Jak zaklęty cień,
Tambym latał jak wspomnienie,
Pierś ożywiać, czerpać technienie,
Z tamtych drogich technień!

Gdyby gwiazdą być,
Nad Podolem tkwić!
Z jasnym okiem w noc majową,
Nad kochanki lubą głową,
Do poranku lśnić!

Próżno się tych dni
Obraz duszy śni!
Zapłacz luba gorzkim płaczem,
Nad Podolem, nad tułaczem,
Co był miłym ci!...

Maurycy Gosławski.]

DUMKA OD UKRAINY

do Bohdana Zaleskiego.

Oj, wyleciał słowiczeńko
Z Ukrainy młodej;
Oj, zaleciał daleczeńko,
Za ziemie, za wody,

Ani wieści, ani słychu
Jak jemu w czużynie?...
Duma, kwili gdzieś pocichu,
Śni o Ukrainie.

Oj, nie pierwszy Maj Dnieprowy
O niego się pyta;
Darmo szuka złotej mowy,
Mrukiem ludzi wita!

Gdzie mój miły? gdzie mój miły?
 Pyta brzeg Dnieprowy;
 Dopytują się mogiły
 Porohy, — ostrowy. —

Niepokoje, skargi żale!
 Oj luba ptaszyno!
 Mileczysz, nie dbasz — nie dbasz wcale,
 Cyt — no, cyt, drużyno!

Czarnoksiężkiej trzeba sztuki
 Użyć na ptaszęcia;
 Nie zakwili bez przynuki,
 Albo bez zaklęcia.

Na mogiłę Czarnobyla,
 Na Samor mogiłę,
 Niech kto pójdzie: niech wykwiła
 Pieśni nasze miłe.

Niech kto pójdzie na kochanie,
 Na poroh Budyla;
 Podzwaniając na terbanie,
 Niech dumki wykwiła.

Niech kto pójdzie na stepowie
 I zaklnie sokoła;
 Niech kto pójdzie na pustkowie,
 I na wiatr zawoła!

Zakwil — zakwil Słowiczeńku
 Z za Wiśla, z za Denia!
 Sokołowi na serdeńku
 Połóż twe kwilenia.

Albo w skrzydła wietrzykowi
 Zwierz twych dum kwilenie,
 Lub wiernemu miesiącowi
 Wsnuj, wczaruj w promienie.

Zakwil tylko: Ukraina
 Posłysz, odgadnie;
 Z wiatrem w znowie, pieśni Syna
 Przez piekło przekradnie.

Zakwil! rozdaj się na lasy,
 Na stepy, na wody;
 Złotem pieśni — pozłóć czasy
 Żelaznej porody. —

T. Olizarowski.

PROŚBA O KRZYŻYK.

Został się krzyżyk wśród twoich rzeczy,
A na nim święta postać Chrystusa;
Daj mi go, on mnie może uleczy,
Bo przed nim każda niecna pokusa,
Każda myśl czarna w duszy wzbudzona,
Jak noc przed słońcem blednie i kona.

Bo w mojem życiu, o siostró moja!
W tej ciągłej walce ze złemi losy,
Jakże mi taka potrzebna zbroja
Co i najsroźsze odbija ciosy!
Ciosy zwątpienia, ciosy rozpaczy,
Których tak pełno w życiu tułaczy!

O nieraz, nieraz uśmiech goryczy
Rozdziera duszę, gdy wspomnę sobie —

„A więc już dla mnie nie ma słodyczy,
 „A wszystkie moje mary już w grobie”.
 Ach! od tej myśli, co serce krwawi,
 Może mnie widok krzyża wybawi. —

Gdy chęć miłości serce rozdrażni,
 To serce co tak kochać przywykło,
 Gdy Marya stanie w mej wyobraźni,
 I myśl bolesna „wszystko to znikło”
 O! wtedy, wtedy, niech krzyż zobaczę,
 Może ucihnę i znów przebaczę.

Lub kiedy lata przypomnę młode,
 Zwiędłe na siejbie dotąd bezżniwnej!
 Gdy tylko boleść wziąłem w nagrodę
 A żadnej jeszcze kropli ożywniej:
 Krzyż może zdoła stałość mi wrócić,
 On kazał wszystko dla cnoty rzucić.

Jam też porzucił wszystko na świecie,
 I nie żałuję! lecz jako człowiek,
 Gdy ciężar życia za nadto gniecie,
 I boleść serca, łzy ciśnię z powiek,
 Nieraz upadam, ach! w takiej chwili,
 Widok mnie krzyża wesprze, zasili.

[Krzyż mego życia dźwigam już dawno!
Dawno już z cierni noszę koronę!
Dawno już żółcią, octem zaprawną
Poją się usta moje spieczone!
Krzyż ten mnie wzmocni, niech mi przyrzeka
Żeś Kalwaryo już niedaleka!

K. Baliński. }

PIEŚŃ POWROTU.

Czajki! Czajki! Sicz przed nami!
Oto brzegi Zaporozża!
A daleko, za czajkami,
Już pożarów gaśnie zorza,
 I wśród morza,
 Między mgłami,
Płonie wielka masztów sosna,
 Siła żagłów spadła.
Gdy nam błysnie nowa wiosna,
Znowu zadrzy dzicz wybladła,
Znowu zagrzmie śpiew janczarek;
Lecz w tym roku dość zachodu;
 My do miodu!
 Z brzękiem czarek
Pijmy w lubej Ukrainie,
 Miód nasz przepalony.

Gdzieśmy byli, kto popłynie
 Za trupami? — chyba wrony,
 Wrony, czajek przyjaciółki,
 Co śmierć kraczą Asawule;
 Kiedy kule
 Jak jaskółki,
 Nad czajkami, po przestworzu,
 Lecą chmurą czarną.

My kozacy siejem w morzu,
 Gdy się z wiosną plony zgarną,
 Pełnym workiem piastry świecą,
 Podłe, jako liść żółkniwały:
 Jak wleciały
 Tak wylecą.
 Przez pół roka pan dostatni,
 Kozak Wojewodą. —
 A gdy wyjdzie piastr ostatni,
 Znów z Kijowa Dniepru wodą
 Do chat naszych. — Kozak śpiewa,
 A gdy nędzę zakłopotają:
 W łodziach nocą
 Lśnią łuczywa;
 I do ciemnej Dniepru wody,
 Cicho sieci toną.

Miło błądzić gdzie ogrody
 Wschodnich Baszów, kędy płoną
 Złota blaskiem jabłka duże;
 Lecz się milęj schylić z konia,
 I wśród błonia
 Polną różę
 Zerwać, zanieść z ranną rosą
 Lubęj w upominku.

Pierwój fale wyspy zniosą,
 Niżli kozak dla spoczynku
 Tknie się pługą... gdy raz złotem
 Da zakupić ręce panu:
 Wśród limanu
 Zlany potem,
 Zlany łzami, będzie w stożec
 Składał kryształ soli.
 O! nie pójdzie Zaporozec
 Zaprzędany do niewoli,
 Błądzić!.....

J. Słowacki.

(Juljusz Słowacki ur. 1809 r., syn Euzebjusza, uczył się w Wilnie, † 1849 r.)

POWITANIE.

Witam cię stara, garbata ziemi! ¹⁾
Słowem co tęskni i co się żali.
Jak w twojem łonie samotnie drzęmią
Nieme pokłady lśknących metali;
Jak zdala tęsknią na twojem niebie
Odwiecznych Tatrów śnieżyste szczyty,
Tak drżenie myśli zwój różnolity,
Choć przędzić w duszy siatkę pajęczą,
Tak obwiązane ułud nałęczą
Tęsknią marzenia — i nikną w chwili
Błędny ognikiem, rojem motyli,
Liściem jesiennym co z lip oblata.

¹⁾ W Krakowskiem tak lud nazywa w wielu miejscach górzyste strony.

Witam cię, witam, ziemio garbata!
 Jak ląd zbłąkani na morskiej toni;
 Wśród twych skał szarych, przy świerków szmerze,
 Pod krzyżem, co się z starości kłoni,
 W samotni jodeł serce zagrało, —
 Myśli wdziewają zbrojne puklerze,
 Marzenia więcej chorągwią białą;
 I w myśli wierzę, w marzenia wierzę, —
 Jak w tchnienie ranku, co mnie tak szczerze
 Dziką i czystą wonią owiało.

Nademną tęsknią gruzy zamczyska,
 Posępne zdala, wymowne zbliśka.
 Stojąc od wieków na skał odłamie,
 Przywdziały szare skalne odzieże.
 Ale jak żołnierz z pobożowiska
 Jeszcze podnosi skrawione ramię,
 Wzniosły ku górze samotną wieżę,
 Gdzie stara cegła krwawym kolorem
 Po nad bukowym czerwieni borem.

Nad bramą tarcze pod mchu obsłona,
 Herby pod startą widać koroną, —
 Nad niemi kolce jedliny krzaku —
 Tak to na rdzawym nie raz szyszaku,

Gdy dwuwiekowa trumna odbita,
 Jeszcze się chwieje rycerska kita.
 Bluszcz, chwast i paproć, w rozliczne wianki
 Pełza po murach, wieńczy krużganki —
 A choć tam pustka mileży żałobą,
 Zda się szablance brzęczą za tobą —
 I most zwodzony opada z trzaskiem,
 Stu podków brzękiem huka podwórzec,
 Szeleszczą skrzydła, szumi proporzec,
 Tak było ongi z butą i wrzaskiem.
 I słońce drgało tym samym blaskiem,
 Co teraz jakby ciekawie ciska
 Nad dumną ciszę tego zwaliska.
 O! nie chorągiew białą — lecz chmurną
 Utkwić mi tutaj pośród kamieni. —

Lecz tam na dole, tak się zieleni
 W koło rzeczutki; nad chatą kurną
 Dymek ku górze rażno pomyka.
 Jak na czapeczce pawie pióreczko,
 Jak kółka, świeczki lśkną u pasika,
 W szybach okienek błyska słoneczko.
 Strzecha słomiana, jak kierezyja,
 Niby siermiężne bary obwija.

Tam zda się — kosi utkwione w ziemi,
Brzoza gałęzmi kiwa białemi.

Dziewuszka z dzbankiem z chaty wypada,
Biała chusteczka spływa jej z głowy.
Czy to rzeczulka z kamiećmi gada,
Czy sobie szepeą liście dąbrowy,
Czy płyną czyste do mnie ku górze
Krakowskiej piosnki dźwięki wieśniacze?
O! jakże z całej piersi im wtórzę,
Jak czuję radość, która w nich płacze,
Jak czerpię rzewność w cichém weselu!

Wtém — gdzie w oddali mgły błękit ciemną,
Zwolna się wznoszą wieże Wawelu...
I jak ta piosnka, witam cię ziemio!
Radością w smutku, łzami w weselu.

Włodzimierz Wolski.

OBLĘŻENIE GŁOGOWA.

Za Bolesława, gdy szańce Głogowa
Niemcy oblegli, — o miasta poddanie
Zaszła ugoda: że nie cofną słowa,
Dali swych synów na zakład mieszczanie.

Jeszcze nie doszedł był czas umówiony,
Wróg się napierał już być miasta panem:
Bo wieść chodziła, że król niezwalczony,
Idzie Bolesław w pomoc swym poddanym.

„Naszych żelaznych bram, rzekli mieszkańce,
„Przed umówioną nie otworzym dobą”.
Wtenczas wróg gniewny biegł szturmem na szańce,
I zakładników prowadził przed sobą.

Na groty ojców szli młodziężce śmieli.
 A ci chmurami wypuszczając strzały:
 „Lęj się krwi nasza! z warowni krzyczeli,
 „Gińcie synowie dla narodu chwały!”

Żałośnic jęczą młodzieńcy ranieni:
 „Śpiesz Bolesławie!” Proszą, tylko z bólu
 Gryzą swą ziemię, w pośród łez strumieni,
 A wiatr ich jęki roznosi po polu.

Niebo was czeka, spokójcie się dzieci!
 Na synów żale Głogów odpowiada;
 A coraz nowych grad pocisków leci,
 Gdzie jeden Polak stu Niemców upada.

Chytrych Germanów krwią Odra pociekła,
 Trupów ich pełna, nie mieści się w brzegach;
 Okrutne serca dręczy rozpacz wściekła,
 Nadchodzą wojska, jak fale w szeregach.

Trzęsą się bramy, już chwieją się wieże,
 Kruszą się baszty, padają rycerze,
 Ostrz trze się z ostrzem, grot po grocie warczy,
 Pnie się na mury mur z mieczów i z tarczy.

„Naprzód, ach naprzód! hańba zwracać czoła,
„Czyż to nie zgnieciami tej garstki żołnierza?
„W pień ich wytnijcie!” Cesarz Henryk woła,
I cała Niemców potęga uderza.

Jak na opoki co wśród morza stoją,
Gdy ryknie burza, biją zewsząd wały,
Bije grom, wicher, głązy się nie boją;
Tak polskie hufce szturm wytrzymawały.

Dzień, noc walczono; wtem na pomoc mężnym
Przybiegł Bolesław z rycerstwem potężnym.

A. G.

PANTAZMAT.

I.

Naraz tysiące gromów aż po gwiazdy same,
Rozdarło się powietrze, otworzyło bramę,
Za którą mnóstwo światel w kształtach doskonałych,
Ludzkich, igrało z cieńmi na pustyniach białych.
Nad pustyniami wisiał nieba czarny kawał,
Zaczepony o wieczność, na płask się podawał
Otechłani w nieskończoność zasunionej głębią
W której białość latała postacią gołębią;
I mlecznemi drogami znaczyła swe tory.
Nad niebem w kryształowe zamknięte przestwory,
Uśmiechały się światy, uśmiechem słońce mnóstwa,
A słońca brały uśmiech od promieni Bóstwa,
Dla światów zakrytego myśli oceanem.
A dla ludzi światami, ciałem i szatanem.

II.

Właśnie gdym oczy prężył na dalsze widzenia,
 Wyszedł z ziemi, i nakształt niezmiernego cienia,
 Z błyskawicami w twarzy, z piorunami w głowie,
 Stał w bramie, i na mnie spoglądał grobowie,
 Przeszył mię na wskroś swoim wzrokiem by piorunem,
 I swoją mię ciemnością nakrył jak całunem;
 I jako boa brał mię w swoich myśleń skręty,
 I zapuszczał w me ciało swój ogień przekłety.
 Dobyte z piekła ręce w piersi moje wkładał,
 Cisnął serce, — ażebym jego słowa gadał,
 Myślał jego myślami i chciał jego chęcią.
 Słów nie pomnę, — gwałtowny władał ból pamięcią.
 Pomnę tylko, że słowa wyrzucałem wściekły:
 Tak darły mię swą żółcią, tak ogniem swym piekły.

III,

„Pokój tobie!” anielskie posłyszałem słowa;
 I ujrzałem niewiastę. — Jej anielska głowa
 Złotym się oblewała potokiem warkocza,
 A serca promieniami kwitła twarz urocza,

Oczy, gwiazdy mówiące o jej duszy niebie,
 Czarodziejstwem dobroci ciągnęły do siebie.
 Jaśniała tak miłemi, tak cudnemi blaski,
 Jak oko Opatrzności, gdy spromienia łaski;
 A spromienione wcedza w dusze bogobojne,
 I w serca dokonanem zycięstwem spokojne.
 Szła ku mnie w oblubieńczej szacie śnieżnej, długiej;
 W jednej ręce krzyż niosła, a lilję w drugiej.
 Pomyślałem o szczęściu; wtém szatan przedemną
 Jej postać jasną zakrył swą postacią ciemną,
 I błyskawicę śmiechu rozwiesił w swych licach,
 I piorunową myślą zaświecił w źrenicach,
 I taką wionął grozą, żem w przeciwne strony
 Uciekał, jakbym śmierci miał za sobą gony.

IV.

„Dajcie mu, niechaj leci! pozna się z chaosem”.
 Ktoś wymówił te słowa oddalonym głosem.
 Ktoś drugi: — „Za rozumem niech na księżyc leci!”
 „Ja za niego polecę!” — ozwał się ktoś trzeci
 Głosem, jakim niewiasta li ozwać się może;
 Zaraz po za tym głosem było uczuć morze.
 Lecz mnie przeraził Szatan swym strasznym widokiem,
 Żem nie śmiał w stronę głosu nawet rzucić okiem!

Myślą jednak spojrziałem — i myśl przerażona
 Cofnęła się, uciekła do serca szalona!
 Rozbudziła uczucia dziwne, rozmaite,
 Uśpione zapomnieniem, latami spowite.

V.

Ach! poco, poco znowu te upiory moje!..
 W żywota mego drzewie, już młodości słoje
 Roztoczone, spróchniałe; drzewo zielonością
 Śmieje się, jako dachy zielone starością,
 Kiedy słońce jesienne, żegnając niebiosą.
 Z po za chmur popielatych pogładnie z ukosa.
 Po co zmartwychwstajecie młode me uczucia!
 Mocniejszegoż wam jeszcze potrzeba zatrucia?
 Zaliż czas swój pieczęci do was nie przyłożył?
 Albo żem was nie przeżył? Świat że nie umorzył,
 Gdy na was bazyliuszka spoglądnał oczyma?
 Wróćcie do grobu swego! nie tu dla was niema. —
 Jeżeli się w bryły złota mienić nie możecie,
 Lepiej bez was jak z wami na ludzkim tu świecie.

VI.

Przedemną różnobarwny, cudny łąki dywan,
 Strumieniami popruty. wikliną pozszywan.

Dalej bór siny mgłami, milczący, ponury.
 Za borem w chmur turbanach niebosiężne góry.
 W okrąg cisza. Do tańca brały się mar tłumy.
 Serce grać, myśli wiązać poczęły się w dумы.
 Szedłem błędząc po łące. Wietrzyk coś mi szeptał;
 Gdy nagle wichur szumem, jakby go przydeptał,
 Zerwał się, podniósł w ogrom, sam w sobie się skłócił,
 Zaskomlił, zawył; pchnął mię, obalił, podrzucił;
 Chwycił w locie oddechem, i z takim pośpiechem,
 I z taką siłą niósł mię, i pędził oddechem,
 Że mię myśl nie dognała w nadłącznym przelocie,
 Ale chwycił myśl inną, kiedy kłosów krocie
 Pszenicznych, żytnich, razem w loty poszły ze mną.
 O bór się zatrzymamy — myślałem daremno;
 Sosny, dęby zerwane, zmięszane jak kłosa,
 Z szumem, trzaskiem, wionęły za nami w niebiosy.
 Co tylko było w drodze, ogrody i bory,
 Wsie i miasta, mojemi wlatywały tory.
 Wody powyrywane szybami całemi
 Zwinąwszy się, toczyły globy wodnistemi.
 Nie mogły się na opór zdobyć nawet góry:
 Z posad w lot na wędrówkę, ruszyły się chmury.

VII.

Zgrają tedy, rzekomic światu ku zagładzie,
 Pędem li w nieszkodliwym trzymaną bezładzie,
 Lecieliśmy w bezkresy pozaświeciom na tło,
 Pochłonawszy zarazem słońca ziemskie światło.
 Wszystko się zakrywało ciemności obrazem,
 I wyglądało dzikim, ściętym w strach wyrazem.
 Z gwiazd opadała światłość od naszego pędu.
 Lecieliśmy w ciemności bez przerwy, bez względu,
 Godziny, dnie, tygodnie, miesiące i lata —
 Aż do głosu w otchłani: tu granica świata!
 Tu wicher złożył ręce, osunął się, zwinął —
 I cicho w bezruch wieczny do otchłani spłynął.
 Nas zostawił w powietrzu; zawiesił w eterze
 Nowem niebieskiem ciałem. —

VIII.

W opiekę nas bierze

Jakiś wielki, potężny pan téj części świata,
 Opierścieniony światłem, w koło niego lata
 Mnóstwo cudnych księżyców, z blaskiem takiej mocy,
 Że edeńsko przyjemny dzień miewamy z nocy,

Pokryjoma przyrody wyjawia się praca,
 Co ze snu ładu wyszło, w ładu sen powraca;
 Obrały sobie miejsca doliny i góry,
 Szeroką twarzą błyszczą nizkie wód lazury;
 Poczęły się dobywać lasy, pola, łąki,
 Kwilą słowiki leśne, i polne skowronki;
 Z tysiącami jałowic echo w jarach gada,
 Depczą po łąk dywanach wiatronogów stada.
 Indziej gromady owiec, chmurami białemi
 Suwają się powolnie po zielonej ziemi.
 Indziej sarna za sarną, w doły do ruczaju,
 Lub, jak strzała za strzałą, przemknie się w gaj z gaju.
 Wybrzeża malowniczo siołami porosły,
 Nad siołami kościelne wieże się podniosły.
 I społem w nurtach drżących pławią swoje cienie.
 Od dolin czarodziejskie rozdaje się pienie;
 Z gór spływa rozgłos fletni. — I w całym widoku
 I w całym słuchokręgu, tak wiele uroku.
 Tyle rajskich podrażnień, że dusza do rojeń
 Najroskoszniejszych sięga, wśród zmysłów upojeń.
 A najbardziej mię cieszy, uszczęśliwia, dziwi,
 Żeśmy tu prawie wszyscy swoi i poczciwi.

IX.

Mamy tu, dzięki Bogu, wszystkiego dostatek;
 Wiatr o wszystkiem pamiętał; nawet mój tu kwiatek,
 Kwiatek pamięci przyniósł do mojej uboczy, —
 Nad jeziorem rozwinął turkusowe oczy;
 I aniołem zagląda do mojej pamięci;
 Uczucia milsze budzi, myśl do dumań nęci.
 Puściłem myśl w dumania; a w zmysłów rosterce
 „Ja za niego polecę” powtarzało serce.
 „Ja za niego polecę” śpiewało jezioro.
 I to śpiewanie samo objęło mię zmorą,
 I ta zmora śpiewała, i było w téj zmorze
 Gwiazdziste niebo myśli, i uczucia morze.
 Błysnął uśmiech kryjomy; i rysy oblicza
 Uderzyły pięknością, i postać dziewicza,
 Uroczą, rajską, cudną, z pocałunkiem rzekła:
 „Ja za niego polecę”. — Wtém zmora uciekła.
 I niestety, znów smutek jawny skroń zaciemia,
 I znów tylko samotność i ludzie i ziemia.

T. Olizarowski.

ŚPIEW ŁABĘDZI.

1.

Po nad jeziorem wzbity wysoko
Ważył się orzeł, wycela oko, —
Para łabędzi o gnieździe marzy;
Zamkiem cień olchy, miłość na straży.

O biada, biada edeńska paro!
Twój zamek cieniem, twój strażnik mara.

2.

Lutaż dma ziemna z pogorza dyszy?
Czy nie spokojne wiatry w kąpielu,
Że się jezioro marszczy, kołyszy? —
Ci co słuchali śpiew posłyszeli. —

Słońce konało, śpiew był łabędzi—
Czyjeż tam puchy wiatr w niebo pędzi?

3.

Ptaku anielski, czemu sam jeden?
Gdzie twoja biała? a z nią twój eden?
Już na sen mruga gwiazda wieczoru,
Zasnąłbyś, zasnąć dałbyś jezioru.
O biada, biada, ptaku samotny,
Już nie dla ciebie sen tu przelotny.

4.

Orzeł w obłoki z krzykiem powrócił,
Na czole skały osiadł z wieczorem;
Łabędź w zaroślach zasnął z jeziorem,
Lecz się z jeziorem już nie ocucił.
„Jak czułe serce było w tym ptaku!
„Porównaj z ludzkim”. „Cicho dziwaku!”

T. Olizarowski.

NOCNA DUMKA SIEROTY.

Duchu ojca mego! spłyń do méj samotni.
Gwary miasta już zcichły, cały świat niemieje,
A syn twój dotąd czuwa, lżą oko wilgotni —
Duchu ojca mego! spłyń, twój syn boleje.

I oto wstaje pamięć jako upiorzyca
Blada — lecz kiedy zacznie krew moją wysysać,
A z oczu mi wybierać iskrę po iskierce,
Żyoiem płonie i nie da już się zakołysać.
A sen płoszy, wołając: ta noc, to rocznica
Śmierci jego; ten pokój, dla ciebie świątnica,
W nim skonał. Synu! synu! nie pęka ci serce?

Duchu ojca mego, och! dawno już pęka.
Od téj chwili, gdy twoja konająca ręka,
Chcąc utulić me płacze i rozpaczne krzyki,
Nad moją zwisłą głową kreśliła krzyżyki.

Tyś konał! straszna chwila była po północy,
 O ścianę tłukłem głowę — czy ściana rozmiękla?
 Czy moja czaszka była tak żelaznej mocy. —

Dziwna! że mur nie prysnął, lub głowa nie pękła!
 Sam zostałem przy lampy bladawym płomyku.
 Grobowo cień majaczył, a w jednym kąciku
 Moja matka płakała, dalej doktor drzymał
 I z zwyczaju zegarek w śpiącej ręce trzymał.
 A jam tobie mój ojciec na twój piersi leżał,
 I cicho, jednym śladem łza moja spływała,
 A tyś mówił, że ona zimną pierś ci grzała,
 Że czując głowę moją, żywiej puls ci biegał.

I coraz słabiej, słabiej, twoje serce biło,
 I coraz więcej, więcej do koła się ćmiło.
 Nagle drgnąłeś ostatnią zestrzeloną siłą,
 Objąłeś mnie żelaznie i do piersi cisnął,
 A kiedy okres lampy żywszem światłem błysnął,
 Widziałem jak ci usta konwulsyjnie drżały,
 Które mnie tchem ostatnim błogosławić chciały;
 Widziałem jak ramiona nademnąś rozszerzał;
 Tyś konał! a jam jeszcze na twój piersi leżał.

Słyszałem jak przystąpił doktor obudzony
 I ziewając wyjęknął: interes skończony.

Słyszałem krzyk i łoskot gdy na ziemię padła
 Matka, która słów strasznych znaczenie odgadła;
 Słyszałem jak się zbliżył jakiś obcy człowiek,
 I ręką świętokradzką sięgał do twych powiek,
 I zgadując dłuż truny, twe ciało przemierzał;
 Słyszałem! a jam jeszcze na twój piersi leżał.

I byłbym dłużej leżał, bo mi się zdawało
 Że to sen, a me serce tak się obłąkało,
 Że czuło siebie dzieckiem, kiedym złotym włosom
 Z wiatrem igrał, na łące dzień cały przetańczył,
 A potem biegł do ciebie, i sercem, i głosem,
 A tyś mnie, o mój ojczel na swych rękach niańczył.

Oto mi się zdawało, że z promiennem czołem
 Dziecięciem śnię przy tobie, że węzowem kołem
 Puściłem w okrąg ciebie pieściwe rączęta,
 A ty sen udawając, gdym zaczął cię nudzić,
 Całować i laskotać, by pozbyć natręta
 Musiałaś się uśmiechnąć, a potem obudzić.

Achl i wtenczas gdyś nie żył, w twarz białą jak chusta
 Długo się wpatrywałem, całowałem usta,
 I długom jak niemowlę po twych piersiach pełzał
 Nim ból długo więziony na szął się rozkiełzał,

Nim promień méj pamięci, co się był rozszerzył,
Gdzieś w dalekie, szczęśliwe lata niemowlęce,
Znów się ścieśnił i ocknął w rzeczywistój męce,
A jam w moje nieszczęście i rozpacz uwierzył.
Och! bo zjawiskiem nagłym, rażącym, zdradzieckiem,
Widziałem ojca trupem, a siebie nie dzieckiem!

Pamięci! o tyś cicha jak potoku wody,
Gdy się w tobie odbije jasny kwiat pogody;
Pamięci! a w nieszczęściu to tyś sępią szponą,
Głęboko ostrza wpuszczasz i rozdierasz łono.
Pamięci!.

K. Ujejski.

SAMOTNOŚĆ.

O! nie ten samotny, co zdala od tłumu,
Przbiega sam jeden przepaście i góry,
Zamieszka ruiny lub słucha puszczy szumu,
A okiem i myślą wędruje za chmury.

On nie jest samotny, bo ciałem i duchem
Poślubił na zawsze przyrodę kwitnącą,
Opasał ziemie marzenia łańcuchem,
I podniósł natchnieniem pierś swoją milczącą.

O! nie ten samotny, co murem klasztornym
Na wieki swój żywot ze światem rozdzielił;
On w pieniu porannem, on w pieniu wieczorném,
On snami o Bogu myśl będzie weselił.

O! nie ten samotny, co w dłużej podróży,
 Na miejsce gdzieś święte wśród postów wędruje,—
 On gwinzdą nadziei, tęsknotą rozchmurzy,
 On balsam pociechy na sercu uczuje!

Lecz kto się sam jeden obaczy wśród ludzi,
 I czuje, i widzi, i słyszy,— a przecie
 Nie pieści go miłość i rozkosz nie ludzi,
 I wszystko posiada — prócz serca na świecie.

W salonie zabawy daremnie się rzuca,
 Daremnie się miesza w wir tańców przelotny,
 Tam każda twarz obca do łez go zasmuca,
 Wśród wrzawy i ludzi, a przecież samotny!

O ten jest samotny, którego piosenką
 I dziewic wdziękami daremnie weselić;
 Ni z nocą miesięczną, ni z ranną jutrzenką,
 On z niczem swych uczuć nie umie podzielić!

O! ten jest samotny, co życie przetrawił
 W gorączce miłości i w szalach uniesień,

I zima i lato dla niego jak jesień,
W przeszłości jak w grobie swą duszę zostawił.

Lecz z wszystkich najbardziej samotny, kto w dłonie
Zabójcze narzędzie pochwyci z rozpaczą;
Nie płacze po nikim i po nim nie płaczą,
I ginie w mniemaniu, że w czczości utonie.

E. W.

Z I E M I A.

Ziemio! nie jesteś ty miłości tworem,
Bo nie ma serca ni miłości w tobie;
Jak zalotnica strojąc się wieczorem,
O blasku jeno marzysz, o ozdobie.
Zaprawdę ziemio, z nudy i przesytu,
Bóg ci dał chwilę motylego bytu.

I jak ćma głupia kołujesz przy słońcu,
Aże weń wpadniesz i spłoniesz na końcu.
Tyś samolubna zanurzona w kwieciach,
O swych cierpiących zapominasz dzieciach,
Ciekawie chwytasz głosy różnej treści,
Oprócz jednego—prócz głosu boleści!

Nieraz z twój cierni wiła dłoń zdradziecka
Koronę męki dla twojego dziecka.

Ta cierań zbrodnicza, świętą krwią opita,
Potem na wiosnę w biały kwiat rozkwiata,
I ptaki o niej śpiewają po świecie:

• „Jakie to białe i niewinne kwiecie!”

I nad naszymi domy, gdy pożary
Porozwieszają czerwone sztandary,
A matka z włosom roziskrzonym w ołyki
Do niemowlęcej rzuca się kołyski,
To wtedy chmura lecąca po niebie
Wśród ciemnej nocy tak szepce do siebie:
„Wesołe ognie co na ziemi płoną.

„O, jakże ładnie malują mi łono!”

Ziemi! tyś zawsze, tyś zawsze jednaka,
Szatan ironii wciąż lata nad tobą,
Co nam ból sprawia, tobie jest ozdobą,
Tobie jest błaskiem. Mówią, że łza ptaka
Zakamieniała --- staje się bursztynem, —
Ziemi! krew nasza — dla ciebie rubinem,
Jęk nasz — dla ciebie melodyjnym dźwiękiem,
Zbielałe kości — tobie łóżem miękkim!

Widziałem dzisiaj, jak łańcuch żorawi
Ciągnął od morza, przynęcony wiosną,

I leciał hyzo — i pieśnią radosną
Sławił jeziora, gdzie się lilja pławi,
I sławił góry uwieńczone w sosny,
I srebrne rzeki na dolin kobiercu —
I nad tą ziemią lećąc wolnym szlakiem
Nic! nic nie widział, nie słyszał prócz wiosny;
A jam zapłakał i mówiłem w sercu:
O, Panie! czemuż ja nie jestem ptakiem!
Dawna to gadka! wiek wtórzzy za wiekiem
Że lepiej być ptakiem — niżeli człowiekiem. --

K. Ujejski

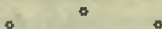
WEJŚCIE KOMPANII
do Kaplicy Częstochowskiej.

*(Fragment z dziennika wycieczki do Częstochowy, Olsztyna
i Ojcowa.*

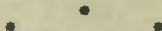
Do świętej Częstochowy ciemną pędzim nocą,
Tylko skry parochodu w gzygzaki migocą,
Nic nie widać... a jednak niepojęta władza,
W pierś chrześcijańską silniejsze przecucie sprowadza.
I kieruje w przestrzeni odzianej pomroką
Ku murom Jasnej Góry utęsknione oko.....

Oh! po tem drganiu serca co rozbija łono,
Co mi skłania ku ziemi skroń upokorzoną,
Po zwilżonych źrenicach, po błogiej radości,
Po nadziei, co we mnie nowym ogniem gości,
Po tem rzewnem westchnieniu, co z piersi ucieka,
Gdzie Gród Matki Chrystusa odgadło z daleka,

Czuję żem nie odtracon z gromady Jój dzieci,
 Że i dla mnie najświętszem miłosierdziem świeci;
 Że gdy u stóp ołtarza w pokorze i skruszę,
 Z win człowieczój niedoli oczyszczę mą duszę,
 Królowa niebios siłę i odwagę wznowi,
 Do pracy ku Jój chwale, bliźnich pożytkowi!



Nad wieżycę na wzgórzu umajonem trawą,
 Pierwsze barwy jutrzeńki wybiegły jaskrawo,
 Z kaplicy Bożej Matki blask świętych promieni
 Strzelił w niebo i z słońcem spotkał się w przestrzeni,
 I z brylantowych światel po nad klasztor cały,
 Zwiśł wspaniałą koroną wiekuistój chwały.



Pod lazurowe stropy brzmia skowronków pienia,
 Z niemi się chór pielgrzymi łączy z oddalenia,
 Po mgłach rannych, po kwiatach, po kryształach rosy,
 Biegną przed Tron Maryi pobożne odgłosy,
 Słyszać je coraz bliżej, aż zdala z za wzgórza,
 Różnobarwny się szereg powoli wynurza,
 Nad nim wznoszą się krzyże, falują sztandary

Czei Stwórcy, Bożej Matki i Chrystusa wiary.
 Tysiące głów odkrytych, i młodzi i starzy,
 Wszyscy znużeni drogą; pot spływa po twarzy,
 Mięsza się znój pielgrzymki z pyłem ich odzieży;
 A jednak gdy korona Częstochowskiej wieży,
 Punkcikiem na tle niebios wyrzała im zdala,
 Każdą pierś jakaś iskra ożywcza zapala,
 Zgrzybiałemu starcowi, podeszłej matronie
 Sił przybywa, nadzieja opromienia skronie,
 Ton pieśni potężnieje i pobożna rzesza,
 Im bliżej Jasnej Góry, tem więcej pospiesza,
 Aż po jej stóp murawie jak potok rozlana,
 Z jednym wspólnem westchnieniem pada na kolana,
 Wita przybytek święty, wyciągając dłonie,
 I w dziękczynnej modlitwie całą duszą tonie!



Wkrótce dwaj zakonnicy, Maryi odzwierni,
 Wychodzą przeciw tłumowi, co się zdala czerni,
 W Imię Matki narodów pozdrawiają gości,
 Wyrazem Jej wszechmocy, łaski i miłości.
 Pielgrzymi wznoszą ku nim rozjaśnione czoła,
 Zbliżają się z pokorą, gromadzą dokoła,
 Bo wpierw niż im przybytku podwoje otworzą.

Kapłan łagodnie dziatwę napomina Bożą,
 Jak ma z ziemskiego kału serca otrząśnięte
 Ponieść z całą ufnością przed Oblicze święte.

* * *

Począł mówić, a z dźwiękiem najpierwszego słowa,
 Gromadę wiernych cisza zaległa grobowa.
 Zda się, że i chór ptasząt zamilkł uroczyście,
 Że ucichł brzęk owadów, że nie gwarzą liście,
 Że i natura sprzyja podniesieniu ducha
 Ludu, co w ukorzeniu słów zbawieunych słucha
 Mówcy, co w jego piersi święty balsam leje,
 Pokrzepiający wiarę, miłość i nadzieję. —

* * *

I długo mówił kapłan, znać niebios potęga
 Jego głosem do gruntu serc pocziwych sięga,
 Bo w perłach łez zajaśniał żal czysty, głęboki,
 Bo się tysiące westchnień wdarło pod obłoki.
 „Bracia! — rzekł na ostatku — Bracia! dzieci moje!
 „Za chwilę was wprowadzę w tych murów podwoje,
 „Gdzie wasi praojcowie gromadząc się społem,
 „Przed cudownym obrazem kornem bili czołem.

„Lecz wpierv przebaczcie sobie wzajemne niechęci,
 „Rzućcie wszelkie urazy z uczuć i pamięci,
 „Bo Matka Chrystusowa pogardzi sercami,
 „W których bratnia nienawiść, miłość ku Niój plami,
 „Bo się do łaski Syna swojego nie wstawi
 „Za tymi, co dla równych sobie nie łaskawi,
 „Bo tylko jedność, zgoda w cierpliwój pokorze,
 „Błogosławieństwem niebios ludy wieńczyć może!”



Jeszcze tych słów nie skończył, a lud rozrzewniony,
 Już wspólnem przebaczeniem brzmi na wszystkie strony,
 Z piersi w pierś płynie uraz wzajemnych zagłada;
 Dziecię do nóg rodzicom ze łkaniem upada,
 Starzec młodzieńca w drżące przytula ramiona,
 Sierota dobroczyńcy ciśnie się do łona,
 Brat bratu, siostra siostrze rzuca się na szyję,
 Rzekłbyś, że w całym tłumie jedno serce bije,
 Że go promienie zgody, od słońca jaskrawsze,
 W braterskiem uściśnieniu spoily na zawsze!



Wtem poważna harmonja, jak trąba anioła,
 Co przed Tron Ojca Ojców w dzień sądu powoła,

Rozlała się w przestrzeni, zwiastując ludowi,
 Że progi świętych murów w tej chwili pozdrowi.
 Wnet pieśń tysiącem głosów zabrzmiała nanowo:
 „Zawitaj Matko nasza, zawitaj królowo!”
 I w pośpiechu tęsknoty, w pobożnym zapale,
 Tłum, jak pędzone wichrem różnobarwne fale,
 Mija trzy wstępne bramy. ciśnie się w dom Boży,
 Pada na twarz, i zanim cześć Maryi złoży,
 Jeszcze raz śle do niebios rozrzewnione modły,
 Wdzięczny, że go w te miejsca szczęśliwie przywiodły.

* * *

I znów cisza nastąpiła... Gdyby pielgrzym nowy
 Zapraǳnął wejść w tej chwili do Pańskiej budowy,
 „Stój! — rzekłby mu głos duszy — bij czołem u progu,
 „Bobyś zuchwale deptał modlących się Bogu;
 „To kobierzec serc wiernych usłany w pokorze,
 „Tylko Matka Chrystusa stąpać po nim może!”
 Lecz otóż się rozwarły drzwi świętej kaplicy,
 Otóż spragnioną działwę wiodą zakonnicy,
 W parę chwil już kościółek gdzie obróć'sz oczy,
 Pełen ludu, a jeszcze rój wiernych się tłoczy...
 O Marjol to twój naród, Twe syny, Twe córki!
 Czyż im nie zbraknie miejsca? rozstąpią się mury?

Tak! rozstąpią! rozstąpią! i wszyscy się schronią,
Jak stworzenie pod Stwórcy wszechmogącą dłońią,
Jak ptacy pod niebieską strzechę każdej strzechy,
Jak pod krzyż Zbawiciela żebrzący pociechy,
Jak pokutnicy błędu rzuciwszy bezdroże,
Pod większe niż ich winy miłosierdzie Boże!
I nie zabrakło miejsca dla pobożnych dzieciak,
Przy opiekuńczem łonie Matki wszystkich matek.

Jan Chęciński.

HULI BABULI.

Mój Brunonie, mamy jesień.
Ludziom Dziady, to Dosiewki,
To wesele czarnobrewki,
To wieczornic kazki pienia,
Ku pociesze daje wrzesień, —
A nam idzie jak z kamienia!
Dla nas siejba nie nadzieja,
Dla nas źniwo nie użątek,
Siedzim kwaśni jak na piątek.
Nuż do Piasta Kołodzieja!
Z czarą w dłoni, przy gawędzie,
Abyśmy co czujem nieczuli
Przy dzbanie:
Ej! huli babuli
Mospanie!

Co? „Mospanie?” Jezu Chryste!
 Tak powiadał pan z Kaniowa.
 Mnie wzbronione są te słowa!
 Bo zakrzykną zaraz pany:
 „Naśladowstwo oczywiste
 „Naszej mowy jak sukmany!”
 Moja czapka -- strój to cudzy.
 Wymyślili ją Partowie, —
 Czyż mi godzi się na głowie
 Nosić czapkę jako drudzy?
 Wolę zimno, — precz do kąta!
 Lecz do licha, myśl się pląta...
 I wrótką co drudzy usnuli
 Zostanie...
 Ej! huli babu!i
 Mospanie!

Komu dziwnym obyczajem
 Proste słowo w gardle bodzie,
 Niech go w jednym perjodzie
 Nie powtarza razy cztery!
 Bo odpalę mu nawzajem,
 I mój przodek miał papiery!
 Strzegł je pilno bryś kudłaty,
 Z jego prośby kotka bura,

Z jój niedbalstwa zęby szczura, —
 I zmielone są na szmaty.
 Od téj chwili pies na kota,
 Kot na szczura klątwy miota;
 Zwierzątek do kupki nie tuli
 Kochanie,
 Ej! huli babuli
 Mospanie!

W ślad za zwierzem człowiek dąży!
 Gdzie są owe bratnie hasła?
 Pieśń miłości kona, zgasła...
 Jasnych widzeń broi moda!
 Trze Bartosza pan chorąży,
 Chorążego wojewoda.
 Co nie w ręku, to rojenia,
 Lepsze jutro snem już zową...
 Lecz na niebie coś różowo,
 Poszlak dzionka, przebudzenia...
 Ha! to łuna od komnaty:
 Krędą piszą tam traktaty,¹⁾
 I topią niżników a króli ¹⁾

¹⁾ Dawne nazwy kart do grania.

W szampanie!
 Ej! huli babuli
 Mospanie!

Czyn okrutny jak się zdaje,
 A ku dobru przecie zmierza,
 To się robi dla przymierza
 Świąt Poklusa z Wielkanocą...
 Lecz pod oknem nagle zgraje
 Swemi jęki mnie kłopotą!
 Błędów człeka wszędy pełno,
 Więc się uczy, głupcem ginie,
 W zapomnienia się godzinie
 Nie zatknąłem usz bawelną!
 Idźcie bracia pić powietrze,
 Nim wam bięda oczy przetrze,
 Abyście swe godniej poczuli
 Wczwanie.

Ej! huli babuli
 Mospanie!

Cóż stoicie chyląc czoła?
 Idźcie z Bogiem! wasza skarga
 Harmonijność pieśni targa,
 Jakby wilczym głosem wyje,

A świat pieśni gładkiej woła;
 Chce tańcząc, łamać szyję! . . .
 Gęśli! dla mnie trzeba sławy!
 Choć ty płaczka, ja odludek,
 Jak śmieszkowie ze swych budek,
 Wyjdźmy śpiewać dla zabawy;
 Jak kołpaka nowi błażni
 Potrząśnijmy wyobraźni.
 Niech podłość uśpiona w swój luli
 Nie wstanie.
 Ej! huli babuli
 Mospanie!

Gmach się nowy, gmach buduje.
 Sklut zabrzączał w ręku cieśli . . .
 Ot przekąskę nam przynieśli,
 Noże brzęczą... schować noże!
 Srogą w sercu drzączkę czuję, —
 Przed jedzeniem, żal się Boże.
 Ale po niem w pogotowiu
 Walka byków dla strawności . . .
 Widok połamanych kości
 Niezawodnie służy zdrowiu.
 Człek zapomni mało wiele
 Swoją godność, wyższe cele,

I łono lubieżne przytuli

Na sianie.

Ej! huli babuli

Mospanie!

Jakto? drogaż to jedyna?

Kto świętości widział lica

Kogo dręczy tu tęsknica,

Nęci górny świat z promieni, —

Wtenczas tylko zapomina,

Gdy się spodli aż do rdzeni.

Tak sądziło prawo Boże.

Ból zabójczy, rokosz święta,

To Sijamscy dwaj bliźnięta;

Śmierć je tylko rozjąć może. . .

Kto z ust śmierci ssie słodycze

Ja w npiory tego liczę. . .

Oh! lepiej tak czujmy jak czuli

Ból w ranie!

Ej! huli babuli

Mospanie!

W. Korotyński.

D U M K A.

W głos serdeczna dumka płynie
Tam moja jedyna,
A na téj tam Ukrainie,
Matka i rodzina.

Matka tęskno patrzy w pole,
Łzawemi oczyma,
Pusta droga na Podole...
Ani wieści niéma!

Ach upłynie wody wiele,
Miną lata, latka,
Zazieleni drogę ziele,
Nim go ujrzy matka.

W głos serdeczna dumka płynie,
 Tam moja jedyna,
 A na tej tam Ukrainie,
 Matka i rodzina.

Miła, tęskno patrzy w pole
 Czarnemi oczyma,
 Pusta droga na Podole,
 Ani wieści niéma.

Ach upłynie wody wiele,
 Minie czasu siła,
 Zazieleni drogę ziele,
 Nim go ujrzy miła.

Czarnobrewko, żal urody!
 Taka wola Boża! . . .
 Nie on jeden w świecie młody,
 Tyś jak wiosna hoża!

Czarne oczy kraśne lica,
 Zaklą nie jednego,
 Tobie szczęście! — a tęsknica
 Dla niego, — dla niego.

W głos serdeczna dumka płynie,
Tam moja jedyna,
A na téj tam Ukrainie.
Matka i rodzina.

Próżno czeka stara matka,
Próżno czeka miła,
W obcej ziemi miną latka,
Uściska mogiła. —

Henryk Jabłoński.

FANTAZJA.

Z ufny, wzniosłym, czystym duchem
Witałem was szranki życia.
Pienia wieszczów od powicia,
Po nad mojem brzmiały uchem;
Wzmogło czarowne ich technienie,
Wrzącego serca płomienie,
Słodycz ich mnie wykarmiła,
W ich kwiatach myśl ma błędziła.
Po nocy milczeniu głuchem
Chciwy wydrzeć się z ukrycia,
Z ufny, wzniosłym, czystym duchem,
Witałem was, szranki życia.

I wkroczyłem w świat szeroki,
Z duszą niewinną i młodą.
W sercu z wiarą i swobodą,
Pewnemi wstąpiłem kroki.

Śmiały, chciwy wypełnienia
 Marzeń mojej wyobraźni;
 Chciwy lubej uściśnienia,
 Wieńców chwały, łez przyjaźni!
 Gotów cudne ich uroki,
 Płacić dni moich pogodą,
 Z duszą niewinną i młodą,
 Wstąpiłem na świat szeroki.

I poznałem świat nareszcie...
 O wy, widma mej młodości!
 O przyjaźni, o miłości!
 Gdzież jesteście, gdzież jesteście?
 Wy! które kiedyś witałem,
 Strojąc wonne rajy róże,
 Dla których z takim zapałem,
 Wszystkiem gotów znieść był burzę!
 Gdzież tkliwe serce niewieście,
 Mężka stałość, wiara gości?
 O wy, widma mej młodości!
 Gdzież jesteście? gdzież jesteście?

Gdzież cię szukać boska chwało!
 Z promienistym twojem kołem,
 Co nad bladym mojem czołem,

Wiecznym blaskiem jaśnieć miało?
 Tu pierś skrzepła, niebrzmi echem
 Na poety wzniosłe pienie;
 Tu na wielkich serc cierpienie,
 Martwe zgraje patrzą z śmiechem.
 I gdzież ciebie szukać chwało!
 Z promienistym twojém kołem,
 Co nad starych wieszczów czołem
 Nieśmiertelnym blaskiem lśniło?

Niczem geniusz, niczem wiara,
 Niczem miłość, niczem cnota,
 Bo to tylko płonna mara!
 Dzisiaj wszystkim— bałwan złota!..
 I w pośród takich ty ludzi
 O nieszczęsny zapaleńcze!
 Serce przyniosłeś młodzieńcze?
 Rzuć marzenie co cię ludzi!
 Lub goryczy pełna czara
 Zaleje drogę żywota.
 W twojem sercu miłość, wiara...
 Im czcيا, wszystkim— bałwan złota.

Precz mi! precz zimne przestrogi!
 Raj czy piekło na mnie czeka,

Ja dziecięcęj nie znam trwogi,
 Ja chcę czcić godnie człowieka.
 Wy uczucia! co zdobicie
 Niebios blaskiem ziemskie życie,
 Choć świat cenić was nie umie,
 Ja was w sobie nie zatłumię.
 Słaby kto dla błachej trwogi,
 Waszój się roskoszy rzeka;
 Ja nie zboczę z waszój drogi,
 Ja chcę żyć, — życiem człowieka.

Bądź! bądź zemną iskro święta!
 Olśnij brudne życia tonie.
 Niech twym ogniem pierś ma wzdęta,
 Wiecznie tleje, wiecznie płonie,
 Bądźcie zemną czucia wieszczę!
 A choć cierń skroń mi otoczy,
 Choć mgłą śmierci zajdą oczy,
 Ja was wielbić będę jeszcze?
 Jeszcze wtedy pierś natchnięta,
 Górną roskoszą zapłonie,
 Żem do końca w mojem łonie
 Dochował cię, iskro święta!

Roman Zmorski.

DZIECIĘCE LATA.

Piękne to były dziecięce lata,
Kiedym zaledwie odnikł od ziemi;
Myśl moja ku nim często ulata,
Złocąc je snami, łzami cichemi.

Kiedym to igrał na matki rękę:
Kolano ojca było konikiem;
W sercu woń tak, i tyle dźwięku...
Oj, nie płakało jeszcze po nikiém.....

Świat wtedy dla mnie taki był mały,
Ludzie tak dobrzy, jak ich cukierki;
Gwiazdki milionem oczek mrugały,
Chciałem mieć skrzydła, zdjąć te iskierki.

Lub kiedy księżyc wyrzał nad wzgórze,
 Biegłem ku niemu — już, już go schwycę...
 Znowum po niebie jeździł na chmurze,
 I za batożek brał błyskawicę.

Widziałem słońko jako się kładło
 W złote łożeczko z chmurką pod głowę;
 Jak go jezioro potem okradło,
 Ledwo już rąbki widać różowe...

Co rano, wieczór, jam myślał sobie:
 Jaki Bóg dobry! — dla mej zabawki
 Zrobił ten księżyc, słońce na dobie,
 Ptaszki, motylki, kwiatki i trawki.

I co dzień rano, wieczorem co dzień,
 Mówiłem pacierz razem za mamą:
 Boże! niech będę darów twych godzien,
 I niech cię kocham zawsze tak samo.

O gdzież te lata moje dziecięce!
 Jak od wybrzeży odbita fala
 Odbiegły!... Tylko w mglistej sukience
 Niby Rusałki, tańczą mi zdala.

L. Siemieński.

IMPROWIZACJA.

Wiersz powiedziany z powodu chrztu Władysława S
w 20 roku życia jego, przed wyjazdem za granicę.

Od dziecka na cię Władziu patrzymy,
I w twego życia koleje,
W to czem ty będziesz — czem cię mieć chcemy.
Miłe wplatamy nadzieje. —

Rosłeś poczciwie, rosłeś ochoczo,
Dziś w świat otwarta ci droga!
Wszystko rokuje przyszłość uroczą,
Lecz przyszłość, — w ręku jest Boga. —

Kto z Opatrzności dostał w udziale
Więcej niż rolę i radło,
Więcej niż drudzy, — temu przypadło
Światu odpłacić się wiele.

Bo szczęście nasze jest jak plon roli,
 Gdzie nie nie będzie zrałego
 Bez naszej pracy, bez Bożej woli,
 I dobrych życzeń bliźniego.

! Ptakiem przez młodość człowiek przeleci,
 Przez życie idzie oraczem,
 Często za grobem dopiero świeci,
 Nadzieja w życiu tułaczem!

Życie mozołą bez łaski Boga,
 Trudno i wybrnąć samemu,
 Trudno i toru wskazać bliźniemu,
 Bo długa, ciężka to droga!

Dziś dla cię Władziu dzień utwierdzenia,
 Wielki dla twego sumienia!
 Coś Panu przyrzekł dziś na chrzcie świętym,
 Bądź tym na zawsze przejętym!

Z chrześcijańską, szczerą, dzisiaj ochotą
 Do chrztu podają cię kmiecie,
 Chociaż masz ojców, choć nie sierotą
 Śród nas się widzisz na świeccie. —

O pomnij Władziu, gdy tu dziedzicem
 Bedziesz za czasem u siebie,

Że lud sierotą, — co ci rodzicem, —
Byś mu był ojcem w potrzebie.

Śród niegoś wyrósł, śród niegoś chrzczony,
Śród niego marzyć i tworzyć,
I w grobie ojców głowę tu złożyć,
Tu masz pamięcią być czczony. —

Idź prosto życiem, jak lud zagonem,
Mierz sprawy treścią i plonem,
Stój jak kmicć twardo przy ojców wierze,
Bierz śmiało jak on pług bierze. —

A po chrzcie świętym bierz skarb dziedziców,
To co najdroższe po Bogu:
Błogosławieństwo w domowym progu,
Błogosławieństwo rodziców. —

I jeszcze modły drużyny małej, —
Z tém w cudze ślemy cię kraje,
Miarą i wiarą przejdiesz świat cały,
I to na kryzmo ci daję. —

Wincenty Pol. }

BRANKA LITWINA.

Ballada.

„No, no! Laszko, dość jęku!
Nie płacz, nie mdlęj w mym ręku.
Wszyscy na koń już wsiedli,
Wszyscy brańców powiedli,
Jaż mam z tobą czas trwonić,
Bym ich nie mógł dogonić?
Czy cię zabić, bym z bitwy
Z niczem wrócił do Litwy?

„Nie, nie! prosisz daremno,
Żywa musisz iść ze mną.
Dalej! śmiało! siądź w podle
Na słomianem mém siodle!
Bystry koń mój ze Żmudzi,
Swym cię biegiem nie strudzi;

A przed wiatrem na łonie,
Wilczą burką osłonię.

„Dalej, sercem ochoczem!
Nie masz płakać tu po czem.
Patrz, twój piękny dwór biały
W ogniach stoi już cały.
A ów Laszek twój młody,
Co na koniu w zawody
Chciał cię unieść przedemną,
Chciał obronić daremno,
Wierz mi, w zimnym swym grobie,
Nie zatęskni po tobie.

„Patrz-no, patrz-no! jak zbladła!
Jak nie żywa upadła.
Żal jej brać mię zaczyna,
Taka piękna dziewczyna!
No, przyjdź tylko do siebie,
Sam dbać będę o ciebie.
Po nad brzegiem Zejmiany,
Mam ja zamek drewniany,
Pełne grunta, i pełny
Spichrz kądzieli i wełny.

„Tam nie będzie ci smutno:
Przez dzień będziesz tkać płótno,
Wieczór w gronie swych dziewczek
Przędąc, słuchać ich śpiewek.
A jak syn mój jedyny,
Wróci z pruskiej krainy,
Któż wie, gdy cię polubi,
Może nawet zaślubi.

„Mało równych mu w Litwie,
I na ucztach i w bitwie.
Nie dziewczyna, nie gaszek.
Jak ów piękny twój Laszek.
Wzrost jak dębu wyniosły,
Cały czarno zarosły,
Wzrok jak gdyby Perkuna,
Błyska ogniem pioruna,
A niech zginę, gdy kłamię!
W ręku sztabę rozłamię.

Ho! już płakać przestała!
Ogniem płonie twarz cała;
Czy dziękujesz, czy prosisz!
Że tak w niebo wzrok wznosisz?

Zkąd z tak nagłym pośpiechem
Siadasz na koń z uśmiechem?
„No, no, przytul się do mnie,
Zarzuć ręce koło mnie,
Tak, tak, — teraz już mogę
Ptakiem puścić się w drogę.

Zkądże znowu to drzenie?
Co tak patrzysz w płomienie?
Cóż że jedziem koło nich?
Wszak nie wepchnę cię do nich.

„Ha, ha, stój, stój, zuchwała!
Z konia mi się zerwała;
Lecz nie ujdiesz pogoni,
Lub cię strzała dogoni!

„Ale gdzie ją strach zienie?
Czekaj, nie leć w płomienie!
Przez Perkuna nic tobie
Za to złęgo nie zrobię!

Ani słucha, szalona!
Leci wzniosłszy ramiona, —

Prędej koniu, już blisko,
Spiesz, nim wskoczy w ognisko!

Spiesz! — Lecz gdzież się podziała?
Ha! to suknia jej biała,
W pośród gruzów zwałonych
Miga w ogniach czerwonych!

„Jakem Litwin, dziewczyna
Warta była Litwina.
Spaliła się, — a szkoda!
Była piękna i młoda!” —

A. E. Odyniec.

POŻEGNANIE.

Żegnam cię, żegnam, ziemio garbata!
W cichój pogodzie babiego lata!
W pajęczych nici srebrném upięciu! —
Tak dłoń przyjazna nie raz dziecięciu,
Gdy płacze matki, oczy obetrze, —
Jak mnie wieczoru szare powietrze
Osnuło góry, owiało skały, —
By ich me oczy mniej żłdowały.
Żal tém dotkliwszy, gdy go kto wzbrania, —
Otrzesz łzy dziecku, lecz nie tęsknotę;
Pieszcząc, przypomnisz matki pieśczętę.
Daremnie rzeka pierś swą odsłania,
Tęskno do zdrojów w skale szemrzących!
Daremnie słucham sosen szemrania,
Tęskno do jodeł, buków szumiących!
Chaty i dwory tak tutaj nizko!

Inaczej gołąb, ranny od strzały,
 Z czerwonym dachem kościołek biały ¹⁾
 Białem tam pierzem padł na urwisko.
 Kiedy z wieczora dzwonkiem pogrucha,
 To jego prośby skała wysłucha,
 Poniesie oddźwięk do drugich szczytu;
 Lecz kiedy zrana zabrzęknie dzwonek
 To już nie gołąb, chyba skowronek
 Leci ku niebu z modlitwą świtu.
 Czy tu te dźwięki co w górnym wietrze,
 Czy w światła falach ńrga tak powietrze
 Przezrocą barwą, skrzydlatą wonią?
 Gdzie tu tajemne żalu pieczary?
 Kędy sklepienia, ściany, filary,
 Łzy kryształowe od wieków ronią ²⁾
 Ciche i czyste — jak łzy ofiary.
 Wieńcem się wiją po czole świata
 Matki przyrody cudne zjawiska.
 Jam ich nie widział, ziemio garbata!
 Tylko swój pokarm, szczerze i zbliska
 Dusza z synowską wzięła podzięką.
 I tyś mnie tylko matczyną ręką
 Wpuściła pierwsza w tajnie zadumy,

¹⁾ Grodzisk pod skałą.

²⁾ Białaktytowe groty.

Gdzie tak pokrewnie brzmią jodeł szumy,
 Gdzie trawa, strumień, kwiatek i skała,
 Niemem, wymownem słowem szeptała;
 Że jak ów mały król z duszą wielką ¹⁾,
 Co się ukrywał w twoich pieczarach,
 Skromnaś, potulna, o karmicielko!
 A taka hojna w zachwytu darach!
 Niedość, że własnym karmisz urokiem,
 Jeszcze w twej piersi stroju ozdobnym,
 Wdowim, prastarym stajesz przed okiem.
 Z wyniosłych świątyń omszonym łukiem,
 Szczałkami amnów, z bluszczem żałobnym,
 Jeszcze tam smęcą przed kornym wnukiem
 Cienie naddziadów w żelaznej szacie;
 Jeszcze Piastowe, jare postacie
 Po starych murach snują się mrokiem.
 Niedość, że świecisz stroju urokiem,
 Jak dzieciom matka dobra i dbała
 Spuściznę w skrzynie wonne schowała,
 Jeszcze zieleni wiekiem dziewiczem
 Przymknęłaś bogactw królewskie składy,
 Gdzie przy drgającym świetle górniczem
 Grzebie pracownik śmiały i blady,

¹⁾ Łokietek, od którego ma nazwę jaskinia Chełmska w Ojcowie.

I tam w wilgotnej, czarnej pieczarze,
 Patronce pracy, świętej Barbarze
 Powierza w pieśni trudy i znoje. . .
 A pod nim szumią tajemne źródło.
 A tam na górze gdzie lipy w rzędzie,
 Na progu chaty niewiasta przędzie,
 I smutno samęj tak pracownicy. . .
 Szczęść Boże! zacni bracia górnicy!
 Wy jak ów badacz, co z pargaminów,
 Z ksiązek zbutwiałych rozeznacć umie
 Czystą zasługę prawdziwych czynów
 Od lśniących blichtrów w dziejowym tłumie;
 Jak mężny lekarz, co sam na sobie
 Nieznanych leków szuka sposobu,
 Wy wstępujecie dzień w dzień do grobu,
 Aby dla braci pracować w grobie.
 Nie jeden rąbiąc kilofem w ścianie,
 Może dla siebie wyłabia łożę,
 Wieczyste w złomie ziemi posłanie.
 Niepyta, rąbie dalej, — szczęść Boże! ¹⁾

¹⁾ Zacni, gościnni górnicy nasi, przy powitaniu, toście, po-
 żegnanu, kiedy swojski wykrzyknik mimowoli się ciągnie do ust,
 wołają zwięźle i malowniczo, ale nie po polsku: „Glück-auf!”
 Wyrażenie to trudne do przepolszczenia w dwóch krótkich sło-
 wach, ośmieliłem się tu zastąpić starodawnem pozdrowieniem:
 „Szczęść Boże!” —

Pochmurne niebo, choina, piaski,
Wije się droga długa i szara.
Skrzypnęły koła, gwizdnęła para,
Czarowne zgięcia górnej przepaski
Coraz to bledniej nikną w oddali.
I tylko niemi myśl niebieszczeje,
Jak to w pamięci wyszlachetnieje
Twarz, cośmy duszę jej ukochali.
I tylko krąży, tylko się żali,
Jak z gniazdka ptasząt na brzegach urny,
Wieśniacza śpiewka z pod strzechy kurnej.
Smęcą mi, nucą czyste jej dźwięki,
Zda się woń pierwszych marzeń przylata,
Jakże tu żegnać cię bez podzięk
Jak tu nie tęsknić ziemio garbata!

Włodzimierz Wolski.

BRZOSKA.

Rankiem wietrzyk niósł mię szparko,
Gdy wysłała matka miła;
Pulchna ziemia moje ziarnko
Do swęj piersi przytulila.

Rosa, — łezka Bożęj Matki,
Polewała mię rzęsiścic;
Lube słonko, malarz rzadki,
Ubarwiło moje liście.

Wytrysł pręcik biały, hoży,
Jako dziewczę wiotkie, młode,
Sam Bóg Ojciec, sam Duch Boży
Błogosławił na urodę.

Drugim do mnie ani śni się,
Takam rażna, Boże miły!

Lecz słowiki zalotnisie
Marzyć, marzyć nauczyły.

Na gałązce ptaszka mała
Zwiła gniazdko swe sikora, —
I gadała, szczebiotąła,
Że pokochać pora, pora!

Długo stałam zadumana,
Aż gałązki mi obwisły...
Czekam swatów od młodziana,
Od lubego z ponad Wisły.

Oh! czekałam — i ze smutku
Poglądałam w lustro Niemna;
Niemen mówił pocichutku:
„Zwabisz lubko, boś przyjemna!”

Maj pochlebca zieleniutki
Rozczesywał mi warkocze,
I pocieszał. „Marne smutki!
„Jak nie widać gościa zoczę!”

Przeminęły dni jak lata, —
Mój kochany, bujny, chyłki
Przysłał do mnie wiatra-swata,
Co mi przyniósł życia pyłki...

Uśmiechnęły się niebiosy:
Przy mych stopach dziatwa rośnie,
Moja dziatwa jasnowłosa
Patrzy na mnie tak miłośnie!

Spoważniałam co się zowie!
Już rozumiem wysmienicie,
Że co miłość w ziemskiej mowie,
To w niebieskiej znaczy: życie!

Nigdy podłe dziecko cieni
Sowa ku nam nie przylata. . .
Tylko człowiek mię rumieni,
Łamiąc różgi, chłoszcząc — brata!

W. Korotyński.

PÓBBÓJÓWISKO.

I.

Żniwo było; przez zagony
Bujne się pokładły plony;
Weszło słońce w rannój rosie,
Trup przy trupie, stos przy stosie,
Morze pereł i koralu,
Blaskiem sieje, krwią się pali.
A u nocnej stojąc czaty,
Kozak śpiące strzeże braty,
Z czoła zimne strząsa rosy,
I z suchemi gada wrzosi;
Na stos drzewa się użalił:
„Czemuś stosie się nie palił,
Gdy cię w szary świt z mozołem
Podpalałem?...”

— „Niepłonąłem

Bom okipiał krwią junacką,
 W pół lechicką, w pół kozacką.
 Tutaj wróg się sparł zajadło:
 Trzysta strzał zatrutych padło.
 Trzy strumienie krwi pocieło,
 Trzysta dusz się z ciał wywlekło,
 Ale dotrwał huf niezłękły,
 I Tatarów chmury pękły".

* * *

Pod borami świeci łuno,
 Z boru tłumnie wojska suną,
 Rosną wrzawy, wstają kurze,
 W prawo, w lewo, sznur po sznurze
 Płonie w słońcu; to kozaki,
 W cztery się rozbiegli szlaki,
 W trzy husarze i pancerni,
 Środkiem ćma tatarskiej czerni;
 Skrzypią łyka i powrozy.
 A za nimi ciągną wozy,
 Wiozą połów znamienity:
 Plon wydarty, łup odbity.

Otoczony rażnem kołem,
 Z smagłem licem, z jasnym czołem.

Przebąkując ku czeredzie,
 Przodem syn kozacki jedzie;
 Na nim zbroja krwią spluskana;
 Pod nim dzielny rumak Chana;
 Buńczuk, szabla, łuk, kindżały,
 I zatrute w tule strzały.
 Toć przypadły dział zdobyczy,
 Zaporozkiej wodzu Siczy!
 Do twarzy ci strój hetmański, —
 A tatarski rumak Chański,
 Rzy i płasa jak pod Chanem,
 Dzielnieś skończył z jego panem,
 Boś go w polu miał otwartem;
 Ledwo zwarł się, — alić z czartem,
 Łeb o ziemię zapruł łysy;
 Czarną duszę wzięły bisy...

I gwar żywszy się zaczyna,
 Wesół hetman, brzmi drużyna,
 Wrzask przyległe bory zgłusza,
 Za drużyną tabor rusza.

Tam kukułka w boru kuka,
 Płacze matka, syna szuka,
 Łamie ręce, spiekłe wargi
 Wiatrom rzewne zdają skargi,
 Chodzi, z sercem krwią zabiegłem,
 Od poległych ku poległym;
 Niwa wielka, trup nie rzadko...
 Aleć trudno poznać matko!
 Swego syna, — bo nieczuli
 Goście młodą twarz popsuli,
 Ze łba oczy mu wydarli,
 Czoło zgryźli, mózg wyzarli...

Po nad skałą, tam u góry,
 Krzywodzioby, czarnopióry
 Kruk, wydarty braci kruczej
 Kęs mięsiwa w szponach włóczy,
 Smaczno strawę żre godową,
 Słyszy żalc, kiwa głową.

„Stara matko! wróc do chaty,
 Weź garść piasku, między kwiaty,
 Zasiej piaskiem grzędę czystą,
 Skrapiaj codzien łąą rzesista;

Jeślić zejdzie z miękkiej skiby,
Przyjdzie syn twój bez ochyby . . .

II.

Trzy to bracia! trzy już lata,
Jak zabito w wojnie brata;
Gdzie zielony świerk się jeży,
W piaskach brat zabity leży.
Kruk mu w głowach, — koń nad głową
Brzęka szablą, grzmi podkową,
Dół wygrzebał po kolana,
Bo mu żal porzucić pana . . .

„Nie stój koniu! nie brzęcz zbroją,
Widzę, widzę wierność twoją!
Przez manowce, przez zagony,
Leć do domu koniu wrony.
Przed wrotami stań ze świtem,
Zabrzęcz zbroją, wderz kopytem.
Mali bracia w dłonie klasną,
Wyjdą, wezmą zbroję jasną;
Spyta matka zapłakana,
Gdzieś mój koniu, podział pana? . . .

— „Tam daleko pan mój młody,
 Na weselne poszedł gody;
 Narzeczona jego w gaju;
 Na pagórku przy ruczaju.
 Ślubne szaty szyje wiosna,
 Hymn weselny gra mu sosna,
 Usługuje chór leciuchny;
 Wiatry — družby i mgły — druchny,
 I sług orszak niezliczony:
 Kruki, kawki i gawrony;
 Rosa zsyła mu kąpiele,
 Srebrny piasek łożę ściele,
 Kołdrą, mgła okrywa gruba,
 A mogiła: jego luba...

III.

Pod ostrogskim borem,
 Stał wróg taborem;
 Młody kozak u Ostroga
 Poległ z ręki wroga.

Do kozaka, zgrają
 Ludzie się zbiegają,

Tamują krew młodą,
I lekarza wioda.

„Bracia! na me rany,
Jest lekarz doznany:
W szczupłej celi, niedaleki,
Ksiądz ma dla mnie leki”.

„Ach, powieście wiatry!
Z Polski z Litwy drogićj,
Listy weźcie, wieść zanieście
W rodzinne me progi”.

„Niechaj wieć rodzina,
Niech nie zapomina,
Niechaj daje na mszę po mnie,
I w pacierzach spomnie”.

Prędko wiatry — posły
Smutną wieść zanosły,
Płakał ojciec i ród cały,
Młode siostry mdlały.

Jedna nieszczęśliwa
Matka, nie omdléwa;

Tylko codzień, z ranną zorzą
Daje na mszę Bożą.

A Ostrogska niwa
Ostem się okrywa,
Między osty i dziewanny.
Skonał kozak ranny.

A na pogrzeb, rzeszą
Czarni goście spieszą,
Ciagną polem, ciagną borem,
Pieśń zawódzą chórem.

Nie śpiewają księża,
Ani dzwonią dzwony,
W nocnej tuczy sowa huczy,
We dnie kraczą wrony.

IV.

Czarna rola wyorana,
Kul gradami się zasiała,
Spłukała ją krew rumiana,
Zawłoczyły ludzkie ciała.

Leży trup przed trupów stosem,—
 Pogrobowym stęka głosem,
 Konające rozwarł oko,
 Ale bracia śpią głęboko...

Ani ojca, ani matki,
 Ani komu skryć ostatki,
 Ani komu w dzwon zadzwonić,
 Ani komu łzy uronić.

Dzwonią konie kopytami,
 A wojacy ostrogami,
 Czarne kruki lecą zgrają,
 Żywe członki rozjadają.

Chodzi matka ból ją tłoczy,
 Syna szuka, bój przeklina,
 „Znam ja, znam ja twego syna,
 „Bom mu wydarł ze łba oczy”...

V.

Na zagonie brzoza biała,
 Tam kukułka zakukała,

I pytała z nad zagona:
„Czemuś brzozo nie zielona?”

— „Jak zieloną być tej pory?
Tu Tatarzy swe tabory
Rozbijali, przez to błonie
Grzmiąły szable, rżały konie,
Ciągnął jeńców poczet blady,
Krzyk się wzmagał wśród biesiady,
Pod ostremi ich handziary
Padły łąby i drzew konary;
Środkiem świecił słup ogniowy,
W koło na pal wbite głowy”.

A. Bielowski.

DO MŁODEGO POETY,

Adama P.

Młody mój druhu, polski lutnisto,
Witam cię sercem całym,
Pieśnią twą wodzisz wzniośle a czysto,
Ze łzami a z zapalem.

I jesteś jako niwy podolskie,
Nadzieje dzieci, wdów, matek, —
Tak pełny w ziarno, jak żyto polskie.
A skromny jak bławatek.

Prawie rowieśnik, gdy jednak noszę
Skroń doświadczeniem bladą,
Pozwól, że w twoje wieszczę roskosze,
Poważne rady kładę:

W proroczym ogniu utoń na zawsze,
 Wszystkiego szukaj w swym duchu,
 A bądź ze stali na chwile krwawsze,
 Złoty — na jasne, — mój druhu.

W życiu i w pieśni nie błądź po światach,
 Hamuj się w górnym locie,
 Najtrwalsza piękność w pól drobnych kwiatkach,
 Największa wielkość w prostocie.

„Bo na tym świecie, wszystko się miecie”,
 W doliny klęśnie góra,
 Tylko trwa stale to boskie dziecię,
 Wiecznie niezmienna: natura.

Kto ją ukocha, temu rozpowie
 Swe cuda z czuciem szczerem,
 A powiernika tego świat zowie:
 Szekspirem lub Homerem!

A po te cuda sięgaj głęboko,
 Powagę z miłością ożeń,
 Niech się twe myśli jak chmiel nie wloką,
 Niech jak dąb puszczaają korzeń.

Kuglarskie wieszczby, których gmin słucho,
 Rodzi lot ptaka, obłoków; —
 Z pieczar to ziemi i z pieczar ducha
 Szły głosy boskich proroków.

Zegnaj więc druchu, zegnaj na schodach
 Kędy zstępują Cyklopy, —
 Tam po krążgankach w twoich pochodach
 Napotkasz ślady mej stopy.

Tam cię ogarną dreszcze przestachów,
 I bole rodzicielki, —
 Ale jak Dante wyjdiesz z tych gmachów
 Ponury, blady — wielki!

A po tych trwogach i po tym bolu,
 Gdy wyjdiesz z duszą młodą,
 Szybko cię słońce na polskim polu,
 Złotą rozjaśni pogodą.

I jak ja wtenczas siądz sobie skromnie,
 Pod lipą czarnolesską,
 A będzie tobie jak jest koło mnie,
 Jasno, spokojnie, niebiesko.

I z kosarzami idź w łąkę na tło,
Idź do chat śniegiem zawianych,
I młodszych braci wywódź na światło,
Wzgardzonych i zapomnianych!

Nigdy nie pragnij słowa od świata,
Świat ten zawistny i płochy,
Ono cię samo jak Cyncynata,
U prostej znajdzie sochy. —

Kornel Ujejski.

PALMA PRZEKLĘTA.

Legenda Arabska.

Jest palma na stepie jedyna, zielona, --
Gdy pod nią wędrowiec spoczywa,
Wnet tchnieniem tajemnym łagodnie wzruszona,
Kołysze się zwolna i śpiewa.

Słuchajcie, słuchajcie! ah, było nas dwoje:
Brat, siostra u lubej rodziny, —
Nad niego nikt śmielej nie rzucał się w boje,
Nademnie nie było dziewczyny.

W obozie uspiionych podeszły nas wrogi,
Wpółsennych napadli, — wysiekli, —
Poległa rodzina, — mnie z krwawej pożogi
Porwali i w jassyr powlekli. —

Niedługom tęskniła, — nie długom plakała
 Rodziny i stepów swobody,
 Bom گیاورا poznała, — bom گیاورا kochała,
 Bo گیاور był precudnej urody!

Ach! jam zapomniiała i گیاورا i wroga
 W tym panu urodnej postaci,
 I w jego objęciach wyrzekłam się Boga
 W objęciach mordercy mych braci.

Raz w nocy na boje po cichu wymknęli —
 I pusto w namiocie kochanka,
 Jam była współsenna na jego pościeli
 Przy słabym połysku kaganka.

Sen dziwne przedemną malował widziadła,
 Ów obóz tak dobrze znajomy, —
 I twarz mego brata, ponura, wybladła,
 A oczy.... ha! oczy, — to gromy!

Wyciągnął dłoń ku mnie, — ja zrywam się, budzę,
 Przejęta obawą tajemną, —
 Ach to nie marzenie, — nie, ja się nie łudzę!
 To brat mój! to brat mój przedemną!

Jak kindżał zatruty do głębi aż łona
 Wzrok jego okropny przenika, —
 I nagle mnie w silne pochwycił ramiona.
 Dopada stepowca i znika.

Jak wichur, jak piorun, i leci i leci,
 Aż oddech się w piersiach tamuje,
 I minął dzień jeden i drugi i trzeci,
 Koń zarżał, — znać swoich już czuje.

O bracie! o bracie! miej litość nademną!
 Wołałam pocichu ze drżeniem, —
 Ha, żal ci kochanka? daremno! daremno!
 Milcz, nie hańb mnie brata imieniem!

Już widać namioty, na tentent kopyta
 Wybiegły zdziwione gromady,
 On nakrył mnie szatą, a z swymi się wita
 I starszych przyzywa do rady. —

Wnet starsi z plemiona otoczą nas w koło.
 Szron wieku posrebrza ich głowy.
 On milczał przez chwilę, — aż znów podniósł czoło,
 I temi odczywał się słowy:

„Gdy gniazdo orłowi wyrodek pokala,
 To orzeł go z gniazda wyrzuca,
 Lecz cóż arabowi Bóg czynić pozwala
 Z wyrodkiem, co czystość zakłóca?

Miał arab rodzinę, — na gardłach rodziny
 Nóż giaurów przytępił swe ostrze —
 O! płakał młodzieniec po matce jedynéj,
 Po ojcu, najwięcej po siostrze! —

Bo on w téj dziewicy, arabskiéj dziewicy
 Chciał widzieć przyszłość niebianki, —
 On czcił ją jak świętość Koranu tajnicy,
 Jak boskiéj zjawisko posłanki. —

Raz w giaurów siedlisko w północnéj wszedł dobie
 I w namiot ich wodza się wciska,
 A pusto w namiocie, — a cicho jak w grobie,
 I smutnie kaganek połyska.

Przy blasku kaganka, ha! widać łożnica...
 A na niej się zdala coś bieli, —
 Zbliża się, — o zgrozo! — ojcowie, — to lica!...
 To siostra na giaura pościeli!

Gdy krew jej rodziny o pomstę ją wzywa,
 Gdy brat jej szaleje z tęsknoty,
 Ta w wroga objęciach spokojna, szczęśliwa!
 Z psem gjaurem podziela pieśzcoty!

Ha! oto ją macie!" i zerwał zasłonę, —
 „Uświęćcież jej z gjaurem małżeństwo!"
 I wraz całe plemie nademną schylone
 „Przekleństwo ci, woła, przekleństwo!

Żyj córko wyrodna! żyj wiecznie shafíbiona
 Dla drugich postrachu, przykładu!
 Od wszystkich zbrzydzona, od wszystkich wzgar
 Ha! nawet od zwierza i gadu!" [dzona,

I wszyscy zniknęli, i wszystko przewiało
 Jak widmo sennego marzenia,
 Lecz w sercu, lecz w duszy, na wieki zostało
 Przekleństwo całego plemienia.

I zrywam się z miejsca siłami wszystkimi,
 By ukryć gdzie moje męczeństwo.
 Daremnie! daremnie! tak cięży ku ziemi,
 Tak gniecie mnie braci przekleństwo!

A ziemia podemną tak huczy, tak gore,
 Jak lawy eblisów potoku!
 I słyszę głos ziemi: weź, weź tę potworę,
 Ja nie chcę jej dźwigać proroku! —

Wtém zawył huragan, nadzieja pogrzebu, —
 Gdy na mnie zatrzymał wzrok hardy,
 Oslupiał ze zgrozy i buchnął ku niebu
 I minął z uśmiechem pogardy. —

Ha, słyszę, zgłodniały tam szakał się wcieka,
 On skończy to moje męczeństwo!
 Przyskoczył, i zadrżał, ze wstrętem ucieka
 I wzrokiem mi rzuca przekleństwo!

I sęp mię omija, i gadów gromada,
 Tak brzydzą się dotknąć niegodnej;
 I syczą żądlami: ha biada ci biada!
 Przekleństwo arabce wyrodnej!

A ciało mi pali i głód i pragnienie!
 A duszę mi pali zgryzota!
 A niema lekarstwa na moje cierpienie,
 Ni końca takiego żywota!

Bo wiecznie! ach wiecznie trwać mają katusze,
 Bez przerwy od słońca do słońca!
 Choć w palmę zakłętą, ja przecież czuć muszę
 I czuję męczarnię bez końca!

A na tom jest palmą, by chłodem i cieniem
 Wędrowców do siebie zapraszać,
 I życia mojego okropnem wspomnieniem
 Słabnących od zbrodni odstraszać.

Słuchajcie, — słuchajcie arabskie dziewice!
 O strzeżcie się giaurów ponęty!
 Pomnijcie na waszą wyrodną siostrzycę!
 Pomnijcie o palmie przekłętą!

Słuchajcie mnie siostry i wiedźcie za młodu,
 Ze zbrodnią jest z giaurem małżeństwo, —
 Że kiedyś staniecie przed sądem narodu,
 A strachem jest jego przekleństwo!

Karol Baliński.

WIANEK KRZYŻOWY.

I.

Na świecie tłunno, na świecie gwarno, —
Przez roje ludzi, przemknąć się trudno;
Ale w mej duszy ciemno i czarno,
Ale w mém sercu tęskno i nudno!
Tu śmiechy puste, wesołe gadki,
I cierpki dowcip, czcze, próżne słowa;
Ach! to dla serca mego zagadki,
To nie dla duszy mojej rozmowa!
Stoję i patrzę w wesołe koło,
Jak cierń koląca patrzy na kwiaty;
Ku ziemi bólem zorane czoło
Schylone dumają; myśl leci za światy.
Każdy przechodząc zmierzył mnie ukosem,
Jednym spojrzeniem i serce osądził,
Jakby szyderczym odezwał się głosem:

Poczł tu z sercem zbolałem zablądził?
 Tutaj przytułku nie znajdziesz dla siebie,
 Nie do łez tu miejsce, nie do łez tu pora;
 Żyjesz w boleści i marzysz o niebie,
 I twoja dusza, i myśl twoja chora!
 Ach! prawdę mówią, ale prawda boli,
 Pojdę, — lecz dokąd? ach, wiem doskonale!
 Na innej dla mnie kwiaty rosna roli,
 Z krzyżem po twardej trzeba piąć się skale.
 Bawcie się, bawcie, w radosnym gronie,
 Ja wam radości łzami nie zakłóczę!
 Opodał gorzka łza w duszy utonie,
 Opodał tylko moją pieśń zanuce!
 Piosnkę tak smutną, jak serce wygnańca,
 Gdy do ojezystej zatekni zagrody,
 Piosnkę tak prostą, jak pacierz rożańca,
 Piosnkę tak łzawą, jako kropla wody!
 Piosnkę krzyżową!

IV.

Smutno mi w duszy i nie wiem dla czego?
 Chciałbym się modlić, i modlić nie mogę,
 Jakby przeczucie nieszczęścia jakiego,
 Czuję tęsknotę i boleść i trwoję!

Smutno mi w duszy, a oko się śmieje,
 Udana radość boleść serca tłumi,
 Jak burza rosę, tak żal łzy rozwieje,
 Świat życia duszy nigdy nie zrozumie.
 Serce jak kamień który mechem porośnie,
 Bólem porosło; — gdym światu objawił
 Ten żal serdeczny, świat spojrział ukośnie,
 I tam potępił — gdzie Bóg błogosławił!
 Płakać nie mogę — jednak płakać muszę,
 I myśl się płacze i serce się smuci;

O dobry Jezu! — pociesz moją duszę,
 Niechaj Twa łaska pokój jej powróci!
 Bo jeśli Twoje nie wesprze mnie ramie,
 Jestem tak słaby, jak ta wiotka trzcina,
 Co lada wietrzyk ugnie ją i złamie,
 Chociaż tak tęskno do nieba się wspina.
 Ach! Tyś mnie zawsze tak wiernie prowadził,
 Chociaż ja Ciebie nie znał i nie prosił —
 I w sercu mojem grzech na grzech gromadził,
 I rososz świata nad Twój krzyż przenosił.
 A Tyś mnie jednak nie odepchnął Panie!
 I Twą miłością zawsześ za mną gonił,
 Pokąd poznawszy Twoje zlitowanie,
 Głowam do krzyża stóp kornie się skłonił.

Dziś już od krzyża Twego nie odstąpię,
Pod krzyżem miłość krzyża nie ostygnie,
We krwi ran Twoich mą duszę wykąpię,
O! choć upadnę, Twój krzyż mnie wydzwignie.

X. Antoniewicz.

Madonna Syryńska.

(Na widok oryginału w Dreźnie.)

„Matko niebieskiego Pana
Śliczna i niepokalana”.

Pieśń N. M. P.

Z Świętych Najświętsza Gołąbka Syonu
Po nad Aniołów wszystkich uniesiona,
Najbliższa duchem Wszech-Miłości-Tronu;
Miłość-Dziecinę piastuje u łona. —

Niebiańskiem światłem do koła oblana;
Dusza jaśniejsza, bielsza nad lilije,
Pływa w jej licu i od oczu bije,
Zda się wzlatywać do Ojca, do Pana.

Zda się wzlatywać i rozradłowana
Gubiąc się w blasku Wszech-Miłości-Słońca,
Śpiewa radośnie, a śpiewa bez końca:
„O duszo moja! wielbij, wielbij Pana!”

W górze aniołki wiankiem nad Jej głową
 Kąpiąc się w blasku, co Ją oblał całą,
 Najwyższą niebios otaczając chwałą,
 Swą Przenajświętszą witają Królową.

U stóp Jej Święci wieczną chwałą głoszą,
 I w modłach do Jej Synaczka Miłego,
 Tu miłosierdzia wzywają Bożego;
 Ona ich świętą napełnia roskoszą.

Najświętsza Trójca pieści swą Wybraną:
 Sławi Ją Ojciec, — do Niej Jezus-Dziecię
 Z czułem poddaństwem przytula się w świecie,
 Duch Święty wielbi Gołąbkę kochaną.

Całe niebiosa chwałą dla Niej gorą,
 A Ona z wszystkich najniższą na ziemi
 Zwie się, — i cnoty okrywa się swemi:
 Najwyższą łaską, — najniższą pokorą.

Z Świętych Najświętsza Syońska Dziewico!
 Słaby Twój obraz duch mój tylko schwytał,
 A tyle blasku, piękna w nim wyczytał,
 Że oniemiałam z przykutą źrenicą.

Przez długie chwile i długie godziny
 Chciałabym w Twoje wzrok topić oblicze,
 Na Twe zachwycić się wdzięki dziewicze,
 I sławić piękność swej Pani Jedynej.

Patronko moja! Ty z Świętych Jedyna!
 Coś była godną mieć Boga za syna,
 Coś tak ujęła niebo cnoty swemi,
 Że zamieszkało przez Ciebie na ziemi.

Patronko moja! kiedy z Pańskiej łaski
 Słodkie Twe Imię pozwalasz mi dzierżyć,
 Daj mi tak ufać, miłować i wierzyć,
 Tak się Twojemi przystrajać tu blaski,

Abym, gdy ciało snem śmierci zadrzémie,
 Mogła w Twe święte przenajczystsze ręce
 Złożyć tak czystem Twe najdroższe Imię,
 Jak je na skronie przyjąłam dziecięce.

1852. . .

Marja z Gniezna.

ŻUKOWY BOREK.

Odpowiedź na gawędę „O moim domku”.

Ej nad rzeką, nad głęboką,
Po nad sławnym Niemnem rzeką,
Od twój chatki niedaleko,
Przed tą górą, przed wysoką,
Coś ją wspomniał Władysławie,
Przy rzeczulce i przy stawie,
Wkoło wodą otoczony,
Żółtym piaskiem wysypany,
Dla mnie miły, tobie znany,
Jest ostrowek.

Z jednéj strony

Siną falą stawek błyska;
A do stawku przez bagniska
Strojne w smołki i kosacze,
Bystrzej rzeczki bieży woda;

Nad nią smutna wierzba płacze,
W chmiel się stroi brzoza młoda,
W koralowy sznur kalina. —
Dalej mostek obok młyna,
Który z łaski chleba, kaszy,
Szumem, hukiem i turkotem
Biedną dziatwę wiecznie straszny.

Z drugiej strony, za Niemnową
Bystrą falą kryształową,
Gdzie granica dla spojrzenia,
Tam krajami nad wzgórkami
Niebios wsparły się sklepienia.
Na te wzgórki patrząc zdala,
Rzekłbyś, że tam morska fala,
Wznosząc grzbiety zapienione,
Tłucze w starych baszt zwałiska,
Mchem i cząbrem uwieńczone.

Z trzeciej strony dzikie bory,
Stare dęby, jodły, chwoje,
Wiodą gwarne rozhowory,
Wspominają przeszłość swoją,
Wspominają czasy dawne
Gdy nie znały czem topory,

Gdy ich strzegły bogi sławne;
 A lud sławny, ich konary
 Czczył, jak ołtarz swojej wiary.
 Z brzegu boru, w siniej dali
 Czy nie Bozi dwaj Anieli,
 W czystem polu stoją w bieli, —
 A nad każdym z nich się pali
 Złota gwiazdka? — Nie Anioły,
 Nie, to stoją dwa kościoły ¹⁾,
 A te gwiazdki, te płomyki,
 To nad niemi dwa krzyżyki
 W słońcu błyszczą.

Z czwartéj strony

Lczą łąki i ostrowy,
 Białe piaski i zagony,
 I gaiki i dąbrowy,
 I jeziorka... Coraz nowy,
 Zawsze miły widok oku,
 Pełny krasy i uroku.

¹⁾ W Stołpcach i w Swierzni, przyległych sobie, a od Żukowego Borku o wiorst 10 położonych

A przez gaik i przez niwę,
 Czarną rolą, białym piaskiem,
 Idzie dróżka krętym paskiem.
 Ach! gdzież owe dni szczęśliwe,
 Kiedym deptał tę drożynę,
 I po ryby, i po grzyby,
 I do ciebie na gościnę?
 Gdzież dni owe? gdzie czas błogi?
 Ach, przeminął! ach, zaginął!
 Jak na dróżce ślad mój nogi,
 Jak ślad wiosła na jeziorze! —

Na ostrowku, domek Boży
 Na piaszczystym wzgórkui stoi; —
 Mech schylone ściany stroi
 I słomianą niską strzechę.....
 O, ubogi domek Boży!
 Jednak z wiarą i pokorą,
 Biedni ludzie i tu biorą;
 Gdyż Bóg dobry promień łaski
 I pod niską ześle strzechę,
 Byle z wiarą, a pokorą,
 Człek go błagał o pociechę.

A dokoła piaski, piaski!
Naga, sucha, ziemia wszystka,
Nigdzie trawki, ani listka!
Szare głązy z krzyżykami
Smutne stoją nad grobami,
Deska trumny nadpróchniała,
Lub kość z piasku sterczy biała.
Tylko jeden krzyż wyniosły
Stroją cztery młode brzożki.
Jakże one tu wyrosły?
O, istotnie to cud Boski!
Spytaj ludzi, rzekną tobie:
Biedna matka je sadziła
Na dzieciny lubej grobie,
Łzami swemi je poiła;
To i nie dziw, że wyrosły
Tak wysoko cztery brzożki!

Do kościołka cztery drogi,
Każda z innej wiedzy strony;
Jedną chodzi lud ubogi.
Z poza rzeki, z małej wioski,
Kiedy idzie tu w niedzielę,
To na chrzciny, na wesele;
Kiedy idzie w dzień roboczy

To łza gorzka gryzie oczy;
Ach, to boleść serce toczy!..

Drugą dróżką, z kijem w dłoni,
Stary dziadek, w wieczór, z rana,
Zwolna dąży do kościoła,
Szepcząc pacierz, w dzwonek dzwoni
I na modły ludzi woła.

Trzecia droga od plebana
W żółtym piasku wydeptana.

Czwarta dróżka z za parkana
Tu wybiega furtką małą...
Co mi serce tak zadrzało?
Co mi oko tak się łzawi?
Ach! bo drogi Władysławie,
Tym parkanem otoczony
Mój rokoszny raj stracony!
Wieczny, wieczny z nim mi przedział,
Choć Bóg winy nie powiedział!
Myśl ma próżno się mozoli,
Próżno szuka, co mą winą?
A mnie tylko serce boli,
Tylko gorzkie łzy z ocz płyną!

Ach! bo drogi duszy bracie!
 Jak ten dąb przy naszej chacie
 Duch i ciało wziął z tej roli,
 Tak ja z duszą, tak ja z ciałem
 Ztąd wyrosłem. Bo ta gleba
 Krew i kości dała moje,
 Myśli moje, uczuć roje,
 Bóg mój wielki z tego Nieba!

Niechże burza swem ramieniem.
 Cios wymierzy w dąb ten hoży,
 To go wyrwie wnet z korzeniem,
 I obali i umorzy.
 Minie dzionek, tydzień minie, —
 Zwiędną listki, wyschną potem,
 Potem wichur po dolinie
 Porozprasza je przelotem.
 O zazdroścę jego doli!
 Ach! i do mnie burze zbiegły,
 By mnie porwać w świat rozległy;
 Ale serce na tej roli
 Tak się bujnie rozkrzewiło,
 Tak się mocno wkorzeniło,
 Że sposobu na nie niema!
 Gdzie chcą, niech mnie włoką burze,

Sieć korzonków wciąż się trzyma
Przy rodziny drogiej stronie;
Ale duch się miota w łonie,
Jak męczennik na torturzel
Bo ta cała droga strona
Przyjaciołmi najlepszymi
Tak bogato zaludniona,
Ze nie sposób myśli zwrócić,
Ze nie sposób okiem rzucić,
By nie spotkać się wnet z nimi!
Wszystkich kmieci tej wioszczyuy
Znam i z serca i z postaci,
Jakby byli z mej rodziny...
I nietylko ludzi braci!...
Wiem gdzie jaki zwierz się chroni,
Jaka rybka w jakiej toni,
Gdzie swe gniazda wiją ptaki,
Gdzie rozkwita kwiatek jaki,
Gdzie grzyb jaki, gdzie jagoda,
Gdzie najczystsza w źródle woda;
Z jakim wiatrem, z jakiej strony,
Idzie burza i pogoda;
Bom tu z wszystkim spokrewniony,
Bo mi matką ta przyroda!
Cóż więc teraz ta zagroda,

Z swym dziedzińcem i swym sadem,
 I z bocianiem gniazdem swoim,
 Z jaskółeczek żyłym stadem,
 I z gołąbków białym rojem?
 Cóż więc ona? czyliż duszy
 Aż do krwawych łez nie wzruszy?
 Patrz, patrz, bracie ukochany!
 Patrz na domku szare ściany,
 Widzisz z jakim smutkiem rzewnym
 Ku nam patrzą okienkami!
 Tęsknią za mną, jestem pewnym...
 Wietrzyk wzdycha pod świerkami,
 Smutnie w koło szumi trawa,
 I gołąbek smutnie grucha,
 I pies dziko wyje w budzie...
 A czy pomnisz jak bywało
 Wszystko rajskim szczęściem grało?
 Chodź do chaty!... ach stój bracie!...
 Inne czasy, inni ludzie,
 Gospodarze nie ci sami;
 Cudzy człowiek dziś w tej chacie
 Może zamknąć drzwi przed nami!...
 Chodź do serca, do mojego!
 Nie mam domku dziś takiego,
 Gdziebym cię, jak przed latami,

Z otwartemi ramionami,
 Z jasnym licem spotkał w progu
 I uściskał czule, szczerze;
 Lecz mam serce dzięki Bogu!
 Los mi serca nie odbierze,
 A jak z dawnym sercem zajdziesz,
 Dawny domek w sercu znajdziesz.

Oto się; — a z niej na prawo
 Pierwszy pokój, — to dziecinny, —
 Witam go źrenicą łzawą!
 Tu mi przewiał wiek niewinny,
 Jak kadzideł wonne dymy.
 Tylem wspomnień tu zostawił!
 Tum się uczył, tum się bawił,
 Tu kłębiłem pierwsze rymy;
 Tu pieszczoty ojca, mamy,
 Z braćmi zwady i pustoty...
 Czasie błogi, czasie złoty!
 Czemuś dzisiaj nie ten samy?

Idźmy dalej. Prosto drzwiami,
 To bawialny: białe ściany,
 Jasne okna z firankami,
 I jedlinką wysypany.

Tu, gdy z gośćmi Pan Bóg zdarzy;
 Radość sercu gospodarzy;
 Ile ruchu, wrzawy ile!
 Ach jak chyżo lecą chwile!
 Przy krupniczku gwarzą starzy,
 Ej, a młodzi!... młodzi, młodzi...
 Dość, dość! oko łzą zachodził...

Idźmy dalej. Z lewej ręki
 Pokoiczek jest maleńki;
 Tu rodziców stoją łoża;
 Biały stolik pod oknami.
 Zarzucony papierami;
 A nad oknem Matka Boża.
 Bracie! klęknij ze mną razem
 Przed cudownym tym Obrazem;
 A gdy w duszy twojej troska,
 Gdy łza gorzka gryzie oko, --
 Jak cierń wyjmie troskę z duszy,
 Ranę zgoi ci głęboką,
 I pociechę łzy osuszy
 Przenajświętsza Matka Boska.
 Wszakże znasz tych dwoje ludzi,
 Których drogie mi wspomnienie,
 Cześć głęboką w sercu budzi

I uświęca to schronienie,
Gdzie tak wiele dni przeżyli.
Znasz ich życie, jak i moje:
Ciągłe troski, ciągłe boje,
A wytchnienia ni pół chwili!
Jednak idąc drogą z cierni,
Świętej cnocie prawowierni,
Czyż choć jeden krok zboczyli —
I choć jedną skargą w męce
Usta swoje czy skazili?
Nigdy! nigdy! bo złożyli
Serce w Bożej Matki ręce.
I jam przed Nią, w tém ukryciu,
Do najpierwszych modłów w życiu
Niegdyś rączki składał małe,
Szepcząc słowa połamane,
Tylko Bogu zrozumiałe,
Tylko sercu matki znane.
Dziś tak jasne moje słowa,
Dziś tak głośnie moje jęki!
Czemuż w sercu srogie męki,
W wiecznej walce z troską głowa?
A podówczas, miły Boże!
Jak się żyło! wspomnieć miło!
W sercu tyle szczęścia było!

W głowie takie myśli hoże!..
 Jeszcze chwilkę bracie drogi!
 Pozwól niech te święte progi,
 Święte świętem mi wspomnieniem,
 Ucałuję z uniesieniem,
 I niech z gorzkich łez strumieniem
 I ból z duszy spłynie srogi!..

Teraz idźmy. Znowu zlewa .
 O nie idźmy bracie miły!
 Czyż nie czujesz jak powiewa
 Ztamtąd straszny chłód mogiły?
 Ach, śmierć była za tym progiem!
 O uchodźmy! bo gotowy
 Duch bluźnierstwem walczyć z Bogiem,
 Za cios sercu zbyt surowy!
 Wróć, obejrzymy znów te kątki,
 Gdzie weselsze mam pamiątki,
 Gdzie i tobie być przyjemnie.
 Chodź na ganku spocząć nieco.
 Patrz: pod niebem orły lecą,
 Rybka pluska w ciemnym Niemnie.
 Ej polecmy tam myślami,
 Jak te orły pod gwiazdami!
 Ej popłynmy ze swobodą,

Jak te rybki tam pod wodą!
 A gdy wreszcie myśl się znuży,
 Opowiemy sobie wzajem,
 Jakim ona biegła krajem,
 Co widziała w swój podróży...

Może nudno ci już ze mną?
 Może serce ci dokucza
 Chęcią wracać potajemną?
 Odprowadzę do Załucza ¹⁾,
 Pójdźmy!..

Boże! dobry Boże!
 Ach! gdzie była myśl skrzydlata?
 Po co buja, po co lata,
 Kiedy ciało więzi krata
 Konieczności niezłamana!
 Ach, ta przeszłość malowana
 Już raz drugi nie zaświeci!
 Władysławie, szczęścia dziecię!
 Już ci serce w żalu tonie,
 Że w rodzinnej, lubej stronie,
 Z pod runącej przejdiesz strzechy

¹⁾ Mieszkanie Syrokomli.

W progi domku świeże, nowe,
 Gdzie otoczą twoją głowę
 Nowe szczęście i uciechy;
 Gdzie przyjaciół i rodziny
 Też co wprzód miłe lica,
 Taż przy domku okolica,
 Tylko z okien widok inny!
 Gdy pamiętek boli strata,
 Spojrz, gdzie była dawna chata,
 To powstaną w sercu twojem,
 Zaigrają szumnym rojem!...

A cóż ze mną? Z owej chatki,
 Z drogich objęć ojca, matki,
 Gdy wyszedłem raz ostatni, —
 Nie przeczułem biedną duszą,
 Ze splątany w losów matni,
 Co mi szczęście moje skruszą,
 Już nie wrócę w domek drogi!
 Że rodzice go porzucą,
 I nie wrócą, ej, nie wrócą!
 Gdybym przeczuł, tobym progi
 Łzami memi zlał rzewnemi,
 Tobym z Niemna nabrał wody,
 Tobym garstkę wziął tej ziemi!

Nie przeczułem takiej szkody,
Nie przeczułem smutnej straty!
I dziś tułacz, dziś bez chaty,
Tylko w sercu mam pamiątki,
Skruszonego szczęścia szczątki,
I to Niebo przed oczami,
Co jaśniało tam nad nami!
I śród ludzi w poniewierce,
Gdy mi duszę boleść tłoczy, —
To ze łzami patrzę w serce,
Lub na Niebo zwracam oczy.
Z serca, z Nieba, czerpię siły,
I nadzieję i pociechę:
Znajdę kiedyś domek miły,
Znajdę kiedyś własną strzechę,
Małą chatkę pod jedliną,
Pod zieloną, pod darnią,
I odpocznę w niej dowoli,
Cicho, błogo, słodko, miło!
Ach gdyby to w Litwie było!...
Ej, dość tego! serce boli...

Adam Pług.

A R A B.

Kłęka mój wielbłąd jak Iman ubogi,
Co się w modlitwie obraca do wschodu, —
Jukami garby ładuję do drogi,
Kilka daktylów w zapasie od głodu;
U boku szabla dobrze wyostrzona,
W kołeczanie śmierci ukryte nasiona.

I łzy i rozpacz są skarbnicą moją,
I z tej skarbnicy lud podły obdarzam; —
Śmierć niosę nędznym, co się śmierci boją,
Wesołych cierpień widokiem przerażam.
Gdy na mej twarzy ujrzą boleść srogą,
Szczęśliwi bledną i śmiać się nie mogą...
Puścił się wielbłąd na stepów zacisze,
Z pod racic ogień wypryska mu gęsty,
I siodło lekko jak do snu kołysze.

A w zębach żutej trawy słyszę chrzęsty.
 Nim księżyc srebrem pomaluje lica,
 Więcej ubiegnę drogi do księżyca.

I.

Raz kiedy na świat niosłem zemstę krwawą,
 Gdym biegł na stepy wróg ludzkiej uciechy
 Z łez cudzych winne wybierać haracze —
 Patrząc nad morzem uklecona z trzciny
 Chata uboga, z ziemi bite strzechy
 Kwieciste morza okryły rośliny;
 Światło błyszczało przez łatane szyby,
 Po strzechach dym się błękitny rozciągał.
 Ha! czyż mieszkańiec tój nędznej siedziby
 Będzie mi jeszcze weselem urągał?

Nizkiej zagrody przestąpiłem progi,
 Nędza tam była, lecz mieszkańiec chaty
 Człowiek na pozór nędzny i ubogi,
 Choć ciężką pracą utrzymywał życie.
 Ten drżący starzec, pochylony laty,
 Trzymał garść piasku i śmiał się jak dziecię.
 Był to ubogi nurek, a w tym piasku
 Odgrzebał perły... O nędzo żebraka!

Perły — to perły! tak małe? bez blasku?
 Spojrzałem gorzko na szczęście rybaka,
 I wiodłem starca po nad brzegi morza.
 Patrz! rzekłem, oto z łupów karawany,
 Perła ogromna, błyszcząca jak zorza,
 Oto ją rzucam w te wiry, w te piany!
 Dostań ją z głębi, a który z mocarzy
 Perłę zakupi, da ci skarby złota.

Nadzieja w starca zabłysnęła twarzy,
 I wnet się rzucił w wiry fali ciemne.
 Zginęła perła, — staranie daremne!
 Wypłynął — była na twarzy zgryzota.

Zatrąłem szczęście i pokój człowieka,
 Dałem truciznę, dałem mu nadzieję.
 O! jakże gorzko nad brzegiem narzeka,
 O jak obficie do morza łązy leje!
 Widziałem potem jak poszedł do chaty,
 Z rozpaczą upadł na liściane łożo, —
 I wołał z jękiem i z płaczem: „o Boże!
 Byłbym szczęśliwy! mogłem być bogaty!”

Śmiałem się gorzko, był to śmiech szatana.
 Dalej wielbłądzie! dalej na pustynie!

Może gdzie radość błysnie niespodziana,
 Nie dam ja urość tej bujnej krzewinie;
 Może gdzie zemsta to serce obudzi,
 Już skamieniałe wśród kamiennych ludzi.

Tak koral niegdyś żył pod morską wodą,
 Nieraz się smucił przewidując burze;
 Gdy słońce w niebios błysnęło lazurze,
 Koral jak majtek cieszył się pogodą;
 Ale zerwany wichrami jesieni,
 Skamieniał, błędząc wśród zimnych kamieni.

II.

Pamiętam kiedyś, było to w południe,
 Płynęła zwolna wielka karawana;
 Gdy przypłynęła nad pustyni studnię,
 Powstała wrzawa ze śmiechem zmieszana;
 Tłum cały biczy prędkimi zawody,
 Potém jak stadem spłoszone żurawie
 Gwarzy wesoło i zaczerpa wody...
 Ale śmierć była w tej wody przyprawie.
 Była trucizna... Ha! po co się śmieli?
 Już piją! piją! jedna twarz pobladła,
 Tam upadł drugi — tam bracia skόścieli,

I drżąca czara z martwych rąk wypadła.
 Rzekłbyś, że Diwy, że ciemni Anieli
 Na świat zarazy wyrzucili technienie.
 Ani tak liczne na brzegu kamienie,
 Jak były trupyl... Z całej karawany
 Pozostał starzec, młodszy go ubiegli:
 Pięciu miał synów—wszyscy trupem legli..
 Przybiegł nareszcie gdzie rozbite dzbany,
 Gdzie ciała synów leżały na brzegu;
 O, rozpacz! martwe było całe plemię!
 Chciwie jak sorbet ochłodzony w śniegu
 Chwytał truciznę, z synami się złączy..
 Przybiegłem—starca chwyciłem za strzemię
 I szybko w biegu uniósł nas koń rączy,
 Z pod kopyt iskry rozniecał w granicie.
 Uniosłem starca i puściłem cało...
 Ha! on chciał umrzeć, ja mu dałem życie,
 Gdy w życiu iskry szczęścia nie zostało...

Dalej wiekłądziel poco zwalniasz kroku,
 Gdy mnie rokoszne zajmują wspomnienia?
 Tu cicho, pusto — i tylko z obłoku
 Księżyc posępne czoło rozpromienia.
 Gdy człowiek w stepy od ludzi ucieka,
 Myśl własna wtenczas jest wrogiem człowieka.

Serce, jak muszla wyrzucona z fali
 Pełna ślimakiem życie zamknie w sobie;
 Cicha, — lecz kiedy słońce ją wypali,
 Słuchaj, usłyszysz gwar w kamiennym grobie.
 Rzekłbyś, że wspomnień napełniona tłumem,
 Wszystkie zmieszany rozpowiada szumem.

III.

Dawnemi laty... Jeszcze byłem młody,
 Kiedy za strusiem na piaski zagnany,
 Bystrego konia puściłem w zawody;
 Leciał i parskał, i białemi piany

Srebrzył skrwawiony munsztuk i wędzidła;
 Struś nie mógł skrzydeł rozwinąć ścigany,
 A koń mój leciał jak gdyby miał skrzydła.

Wtém patrzę... między dzikie pustyń głazy,
 Jakby czarowne rajy malowidła,
 Kwieciami błysnęły zielone obrazy.

Pod palmą, między źródła kryształowe,
 Stała dziewczica, królowa oazy,
 Omgłona w lekkie szaty muślinowe.

Twarz z pod zasłony jak księżyc z obłoku,
 W połowie widna, skryta przez połowę,
 A promień szczęścia jaśniał w czarném oku.

Szczęśliwa! ona kochała Solima!
 Uciekać trzeba od szczęścia widoku, —
 Oto koń nawet spina się i zżyma.

Dalej mój koniu!... Sroższy nad tygrysy
 Leciałem gnany rozpaczą Kaima.
 Koń mnie zrozumiał, — zaniósł pod cyprysy.

Tam Solim w cieniu cyprysowym drzemie.
 Dzięki ci koniu! Patrząc, jego rysy
 Błyszczały szczęściem... zginałeś Solimiel..

Dziewico! wkrótce wróciłem w te strony,
 Chciałem się łzami nacieszyć twojemi!...
 „Ha! gdzie twój Solim? gdzie twój ulubiony?
 Czy jeszcze jesteś szczęśliwą na ziemi?”

— „Mój luby” rzekła „na piaskach spoczywa,
 A wiatr pustyni jego ciałem miota,
 Lecz skoro pierwsza błysnie gwiazda złota,
 Dusza się jego od ciała odrywa...

Ty nie wiesz! nie wiesz jakim ja szczęśliwa!
 Jego duch w niebios niesiony błękiecie.
 Przybywa do mnie, odzywa się w duszy,
 A dusza jego zgaduje przybycie.
 Gdy nic milczenia nocy nie poruszy,
 Gdy nawet serca, co wzruszone bije,
 Zanadto głośnem wydaje się bicie; —
 On znowu przy mnie, znowu dla mnie żyje.

Nie są to zmysłów znikome utwory,
 Ja go tu czuję, — widzę, — on ponury!
 Lekki, jak z mglistej utworzony chmury,
 Ubrany w tęczy złociste kolory.
 Jego głos, długie i długie godziny,
 Jak szmer fontanny duszę mi zachwyca;
 A gdy ustami dotknie lekko lica,
 Zda się, że spadły kwieciste jażminy;

Potem się zbliża i krwi krople pije,
 Ciężkie rozpaczy wydając westchnienie.
 A kiedy od niej błysnie i odżyje,
 Gdy w nim już krążą mojej krwi strumienie
 Widzę z roskoszą jak źródło wysycha;
 On z piersi moich chwyta wątłe tchnienie,
 I sam z roskoszą tem tchnieniem oddycha;

Na chwilę moje zatrzymuje serce,
 I jego serce zaczyna bić z cicha;
 Z oczu mi bierze po światła iskierce,
 I jego oko tym się ogniem pali;
 Z lic mych pożycza jasnego szkarłatu,
 I jego lice bierze blask koralu, —
 Cały rozkwita podobny do kwiatu.

„A gdy on smutny wini los i siebie,
 Serca Solima zachwycona biciem,
 Słucham uderzeń, szczęśliwa jak w niebie,
 Że Solim jeszcze żyje mojem życiem.
 Wśród nocy w całej piękności i sile,
 Błyszczą jak niegdyś błyszczał w szczęścia chwile;
 Lecz skoro pierwsze promienie poranka,
 Oświecą niebo w mgły różane strojne,
 Próżno go tuli do łona kochanka,
 On drży i zwraca oczy niespokojne,
 I coraz gaśnie i coraz blednieje;
 I tak jak księżyc kiedy słońce zoczy,
 Blednie i we mgłach topi się i mroczy,
 Tak Solim w mgły się błękitu rozwieje.”

Więc jeszcze szczęścia usułaś budowę?
 Zniszczę ją! Solim do ciebie nie wróci!...

Znalazłem trupa i uciąłem głowę,
 Upiór mogiły stepów nie porzuci.
 Teraz dziewica cienia nie zobaczy,
 Napróżno czeka każdego wieczora;
 I miała umrzeć w objęciach upiora —
 Przemennie — tylko umarła — z rozpaczy...

Dalej wielbłądzie! tak pusto dokoła!...
 Czy już na ziemi szczęśliwych nie stało?
 Żaden jęk do mnie w pustyni nie woła,
 Tylko sęp krąży nad samotną skałą,
 I głośno bije skrzydłami czarnemi.
 Szczęśliwszych niema odemnie na ziemi!

IV.

O nie! ta palma musi być szczęśliwa!
 Źródło się kryje pod stopami drzewa, —
 Patrz, jako liściem miłośnie powiewa,
 Kocha się w źródle, przed słońcem zakrywa,
 Bo słońce wzrokiem wykradłoby wody;
 Lęka się oczu srebrnego księżyca,
 Na liściach spuszcza rosę i ochłody;
 Wodom niebieskie odebrała szaty,

I dała swoją barwę — swoje lica;
Kocha się w źródle, i stroi się w kwiaty . . .

Stój! stój wielbłądzie! tę palmę podpalę . . .
O, nie! zasypię źródlane kryształę!
I skona palma w piekielnym upale.
Wkrótce z jej czoła kwiat opadnie biały,
Zostanie sama wśród pustej krainy,
Jak ja sam jeden zostałem wśród świata.
Niech cień uwiędłej wskazuje godziny,
Jak cień cierpienia wskazuje mi lata.

Stój! stój wielbłądzie, zakończyłem drogę.
Trudno już szkodzić ludziom — śmierć się zbliża.
Czuję do biegu mniej polotną nogę,
I strzała z mojej cięciwy mniej hyża.
Widzę zdaleka śmierć posępną, ciemną,
Już się czarnemi skrzydłami nasuwa;
Zasnę... Już widzę, jak wkrótce nademną
Ten wielbłąd, który śmierci nie przeczuwa,
Gdy wichur w stepach posępnie zawyje,
I zwłoki moje toczy przez tumany,
W piaskach się czai, myśli, że pan żyje,
Że się pod śpiące skrada karawany.

Wielbłądzie! pan twój w innym błędzi kraju,
Zasnął na stepach i marzy o raj.

Nie! nie chcę raj! — lecz proszę proroka,
Niech mojej duszy da stepy bez końca,
Dzikiem i puste, bezbrzeżne dla oka,
I wiecznie wrzące promieniami słońca.
A gdy zapragnę, wśród dzikiego błonia,
Na me skinienie niech źródło wypływa;
Niech mi tam prorok wróci mego konia,
Który gdzieś w piaskach pustyni spoczywa;
Niech dla rajskiego duszy zachwycenia,
Step ten mych wrogów okryją mogiły;
Niech mi się wróćą znów młodości siły,
Lecz nie wracają młodości cierpienia.
O takim szczęściu serce moje marzy!
Ach! wtenczas będę spokojny, szczęśliwy!
Niech tylko żaden, żaden człowiek żywy,
Tej samotności przerwać się nie waży!

Juljusz Słowacki.

TESENOTA.

A znasz ty kraj ten, gdzie brzegiem strumieni
Niezapominajki i kaliny rosną,
Gdzie zbóż falami niwa się płomieni,
A bory ćmią się jedliną i sosną,
Gdzie chmiel złociste rozwiesza festony
Po szczytach olszyn osrebrzonych mchami,
Gdzie biała brzoza i jawor zielony,
Błyszcza malownic nad łąk kobiercami?

Och! za tym krajem
Jakby za rajem,
Codzień wzdycham i płaczę;
I nie będę szczęśliwy,
Aż te lasy, te niwy,
Jeszcze raz choć obaczę! —

A znasz ty kraj ten, gdzie wzdłuż bitej drogi,
 Co płynie wstęgą pod topoli cieniem,
 Każdy wędrowiec, czy pan, czy ubogi,
 Wita przechodniów Chrystusa imieniem, —
 Gdzie szary bocian na dachu przedsienia
 Wije swe gniazdo za wiosny powrotem;
 Gdzie krzyże z drzewa, lub święci z kamienia
 Stoją na straży przed wiosk kołowrotem?

Och! za tym krajem
 Jakby za rajem,
 Codzień wzdycham i płaczę;
 I nie będę szczęśliwy,
 Aż te sioła, te niwy,
 Jeszcze raz choć obaczę!

A znasz ty kraj ten serdeczny, wesoły,
 Gdzie się gospodarz pełen uprzejmości
 Wszystkiem czem może dzieli z przyjaciół,
 I tęskni w domu kiedy niema gości;
 Gdzie lud choć biedny, rad w święto się stroi,
 W tańcu czy w pracy, zawsze piosnki śpiewa,
 Gdzie czapka chłopca i warkocz dziewoi
 Szychem się świeci, wstęgami powiewa?

Och! za tym krajem
 Jakby za rajem,
 Codzień wzdycham i płaczę;
 I nie będę szczęśliwy,
 Aż te lasy, te niwy,
 Jeszcze raz choć obaczę. —

A znasz ty kraj ten, gdzie w chwilę wesołą,
 Gdy 'grzmi od ucha zapustna kapela,
 Sunie poważnie poloneza koło
 Jak szyk pancernych na nieprzyjaciela;
 Gdzie rzeźka młodzież przy hucznym mazurze,
 Brzękiem podkówek gromko takt wybija,
 Gdzie żywym wieńcem, przy piosenek chórze,
 W rączych się płasach krakowiak przewija?

Och! za tym krajem
 Jakby za rajem,
 Codzień wzdycham i płaczę;
 I nie będę szczęśliwy,
 Aż te lasy, te niwy,
 Jeszcze raz choć obaczę.

Konstanty Gaszyński

D W I E.

Ja lubię różę, bo rumieniec jej
Technieniem rokoszy tak pała!
I lubię lilję, co w sukience swój
Tęskni dziewicza i biała. —

Ja lubię dźwięki, gdy harmonji moc
Z miększą melodją się żeni;
I lubię słuchać w jasną, letnią noc,
Ciszy drgającej w przestrzeni. —

Ja lubię biesiad rozhukany gwar,
Taniec gdy wstęgą powiewa, —

I lubię sam być, gdy na skrzydłach mar
Dusza i tęskni i śpiewa.

Bo lubię piękność, której blasku dzień
W skwarnym jaśnieje promieniu!
I lubię piękność owiniętą w cień; —
Trzeba odszukać jej w cieniu.

Wł. Wolski.

DZWONECZKI.

W chłodnym cieniu dąbrowy, gdy wiatr wionie majowy,
Leśne zioła rozniosą swe wonie;
Ja na wzgórzu zakwitnę i w dzwoneczki błękitne
Dzwonię sobie nieboże, a dzwonię!
Bo w tej puszczy zielonej, gdzie drzew wonne zasłony,
Bogów świętem bywały schronieniem;
Starych grobów jest tyle, — a na żadnej mogile
Nikt z pobożnym nie klęka westchnieniem!
Nim więc przyjdą kapłany, zapomniane kurhany,
Cicho łzami poświęcić srebrnemi,
Kwiat mój wierny je strzeże — tajemnicze pacierze
Dzwoneczkami wydzwania wonnemi. —
A ty Ojciec Przyrody! coś w cudowny chór zgody
Wszystkie dźwięki wszechświata zespolił,
Usłysz głos mój co woła: ześlej grobom anioła,
By ją tęczą światłości okolił!

Marja Ilnicka.

F U K S J A.

Ty jesteś jak marząca w okienku dziewczyna,
Gdy spłonioną twarzyczkę ku piersi przegina,
A łza jej cicha spadła na suknię z atłasu...

To ci nie żal słoneczka, co płonąc z nad lasu,
Spojrzy chyba dla ciebie w strumień kryształowy?
Pochylona, rozwijasz płaszcz amarantowy —
I choć wonią nie nęcisz, lecz ci tak wytworną
Suknię widać z pod płaszcza...

Nie! tyś niepokorną!

Ty snać wiesz, co w twej barwie życia i pamiątki,
I wiesz, że kto chce podnieść wysmukłe twe prątki,
Niżej niżli przed lilją, niż przed róż szkarłatem,
Chyli czoło przed twoim pochylonym kwiatem.

Wł. Wolski.

TREŚĆ

KLEJNOTÓW POEZJI POLSKIEJ.

	str.
<i>Antoniewicz X.</i> —Wianek krzyżowy	295
<i>Baliński Karol.</i> —Farys	129
— Kwiat paproci	188
— Prośba o krzyżyk	203
— Palma przekłeta	288
<i>Bielowski August.</i> —Pobojowisko	274
<i>Brodziński Kazimierz.</i> —Do konika polnego	38
— Jodła	70
<i>Chęciński Jan.</i> —Zamki na lodzie	177
— Wejście kompanii	236
<i>Czajkowski Ant.</i> —Pająk	147
<i>Cieszkowski.</i> —Tęsknota.	26
<i>Deotyma.</i> —Modlitwa	139
— Pieśń o Kruszwicy	192
<i>Dominowski.</i> —Do naszych dziewic.	161
<i>Gaszyński Konst.</i> —Samotność.	149
— Sielanka młodości	164
— Tęsknota	330
<i>Gosławski Maurycy.</i> Życzenia	198
<i>Goszczyński Sew.</i> —Chwila—Iza	194
<i>Ilnicka Maryja.</i> —Dzwonek	335

II

<i>Jabłoński.</i> —Dumka	249
<i>Kochanowski J.</i> —Treny	60
<i>Korotyński.</i> —Huli-babuli	243
— Brzozka	271
<i>Krasicki.</i> —Świat zepsuty	66
<i>Lenartowicz.</i> —Rozmowa ze słowikiem	7
— Złoty kubek	21
— Wiecznie to samo	32
— Życie—sen	44
— Jagoda	48
<i>Magnuszewski.</i> —Dwie piastunki	150
<i>Maryja z Gniezna.</i> —Madonna	299
<i>Mickiewicz.</i> —Rozmowa wieczorna	141
<i>Morawski Fr.</i> —Dumanie	40
<i>Naruszewicz.</i> —Pacierz staruszka	112
<i>Olizarowski.</i> —Hymn do słońca	119
— Dumka od Ukrainy	200
— Fantazmat	216
— Śpiew łabędzi	224
<i>Odyniec.</i> —Starość ducha	137
— Branka Litwina	261
<i>Pol W.</i> —Żale	5
— Do Wisły	15
— Cicho a cicho	29
— Improwizacja	258
<i>Pług A.</i> —Żukowy borek	302
<i>Rej z Nagłowic.</i> —Znaki gniewu Pańskiego	58
<i>Siemieński L.</i> —Dziecięce lata	256
<i>Słowacki J.</i> —Pieśń powrotu	206
— Arab	318
<i>Syrokomla W.</i> —Grabarz	9

III

<i>Syrokomla W.</i> —Gawęda o bocianie	24
— Urywek	116
— Warjant	190
<i>Ujejski Kornel.</i> —Dumka sieroty	226
— Ziemia	233
— Do młodego poety	284
<i>Węgierski Kaj.</i> —Mądrość	144
<i>Wolski Włodz.</i> —Fryderyk Szopen	72
— Wioska	85
— Powitanie	209
— Pożegnanie	266
— Dwie	333
— Fuksyja	336
<i>Zaleski Bohdan.</i> —Westchnienie	1
— Śpiewak tęskniący	13
— Panna młoda	17
<i>Zmorski R.</i> —Fantazyja	252
<i>Żmichowska.</i> —Szczęście poety	120
— Miłość kobiety	156
<i>A. G.</i> —Oblężenie Głogowa	213
<i>E. W.</i> —Samotność	230
<i>Ustęp z poematu.</i> —Wielki pan	87



INSTYTUT
HISTORII SZTUKI I ETNOLOGII PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-350 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-81

<http://rcin.org.pl>

2

F